

Jerry T. ...

MAYNE-REID

WYGNAŃCY W LESIE

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO J. B.
WYDANIE CZWARTE
Z 12-MA RYCINAMI



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW - G. GEBETHNER I SPÓŁKA



Jerry Tyszkiewicz

Jerry Tyszkiewicz

WAGNAŃCY W LESIE
WYGNAŃCY W LESIE

Medya

Od Zos. Medjolan



Ucieczka wygnańców.

MAYNE-REID



WYGNAŃCY W LESIE



PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

J. B.

WYDANIE CZWARTE

Z 12-MA RYCINAMI



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

93841



264839

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku

FUW0136349

KRAKÓW. Druk W. L. Anczyca i sp.

W 250/02p

I.

Największy las na świecie.

Jeśli chcecie, drogie dzieci, odbyć ze mną podróż ciekawą i nauczającą, zwróćmy się na zachód, przepłynemy ocean Atlantycki, a skoro staniemy w Ameryce, zaprowadzę was do lasu olbrzymiego, największego na całej ziemi, do lasu, którego liście są zawsze zielone, a rośliny pięknymi strojne kwiatami. Chcąc wam dać wyobrażenie o wielkości tego dziewiczego lasu, powiem wam, drogie dzieci, że rozległość jego równa się rozległości całej Europy; że linia prosta, wyciągnięta w najszerszym miejscu, miałaby najmniej 3900 kilometrów długości; że średnica koła otaczającego jedną część jego, przechodziłaby 1600 kilometrów. Cała ta ogromna przestrzeń pokryta jest pysznymi drzewami, z wyjątkiem łożyska rzek płynących pośród tego oceanu zieloności.

Ileż to dziwnych, nieznanych rzeczy znajdziemy w tej nieporównanej dolinie, gdzie pnie olbrzymich drzew jak *cejba*, *zamang*, *kaoba* (caoba) spletają *pnące*, prawie równie grube jak drzewo, które ściskają

25r

w swych zwojach, jak gdyby go udusić chciały; gdzie mlekwiec, zwany także krowiem drzewem, dostarcza smacznego mleka; gdzie china daje nam swą tak użyteczną korę, *volador* swe latające nasionka, orlean farbę, wanilia swe trójgraniaste wonne strączki; gdzie wysmukłe palmy kołyszą swe wspaniałe wierzchołki o pięćdziesiąt metrów ponad ziemią; gdzie na powierzchni wód, *Victoria regia* rozpościera swe szerokie liście i rozwija śliczne, wielkie kwiaty obok irisów i lilij wodnych (*nénufars*), a tuż przy nich wyrasta olbrzymia trzcina złocista, bambus i *kanna brava*, prawie równie wysokie, jak otaczające je drzewa.

Różne zwierzęta ukrywają się w zaroślach, wygrzewają na słońcu lub zamieszkują gałęzie drzew, jak na przykład: jaguar centkowany, oselot czyli żbik, panterokot, puma, tapir, kapibara, mrówkojad, pancernik i czwororękie, począwszy od wielkiego wyjca aż do matolki (*onistiti*) nie większej od wieiórki. Nieprzeliczone mnóstwo ptaków, polyskujących świetnymi barwami, jak papugi i tukany, skaczą wesoło w pośród liści; nad wodami stoją ibisy, czaple, czerwonaki; w powietrzu unoszą się sępy i orły; w rzekach pływają kajmany i krokodyle, żółwie i drętwy; na pniach drzew siedzą potworne legwany grzebieniaste; nad brzegami jezior *anakonda* wielki boa wodny, nieruchomy i rozciągnięty na gałęzi wystającej nad wodą, oczekuje na swoje ofiary: świnki morskie pekary, paki lub aguty, aby je schwycić i połknąć, kiedy inny, równie wielki wąż, obwinięty około pnia drzewa rosnącego w suchem miejscu, czatuje na przebiegające sarny lub daniele.

Zobaczymy jeszcze jak mrówko-lew, wygrzebu-
jąc dołek w piasku, zastawia tym sposobem sidła,
w które wpadnie mrówka, jeśli tylko stanie nad
brzegiem; będziemy podziwiać piramidy, zbudowane
przez termyty, i znajdziemy zawieszone na gałęziach
mnóstwo gniazd, podobnych do woreczków walcowa-
tych, które tam zawieszają pewne gatunki mrówek,
oraz ptaki, zwane żóltaczkami i łysaczkami (*icterus*
i *cassicus*).

Wszystko to i wiele innych godnych podziwie-
nia rzeczy, znajdziemy w olbrzymim lesie doliny
Amazonek.

II.

Wygnańcy.

Kilkadziesiąt lat temu, wieczorem, małe grono
podróżnych, jedną składających rodzinę, usiłowało
przebyć łańcuch Andów, piętrzący się na wschód
miasta Kuzko (*Cuzco*).

Głową i przywódcą tej rodziny był piękny
i wysoki mężczyzna, liczący około lat czterdziestu;
rysy jego zdradzały pochodzenie hiszpańskie i w isto-
cie był *Spano* — Amerykaninem czyli kreolem. Może
wam już wiadomo, że w żyłach kreolów niema ani
jednej kropli krwi murzyńskiej; inne rasy amery-
kańskie, pochodzące od murzynów, nazywają mula-
tami, kwarteronami, kwinteronami i metysami, lecz

nigdy kreolami; gdyż nazwa ta służy wyłącznie Amerykanom rasy europejskiej.

Tak więc podróżny nasz, don Pablo Ramero, był kreolem, urodzonym w Kuzko, dawnej stolicy Inków peruwiańskich.

Don Pablo wydawał się starszym nad swój wiek: praca umysłowa, niepokój i zmartwienia odbiły się na jego twarzy i sprowadziły przedwczesne zmarszczki; lecz pomimo tej powagi i smutku, oko jego żywym jaśniało blaskiem, a piękne i swobodne ruchy zwiastowały siłę. Włosy miał krótko przystrzyżone; stosownie do zwyczajów Spano-Amerykanów, nie zapuszczał brody, lecz gęsty, czarny wąs ocieniał mu usta; miał na sobie aksamitne spodnie, buty ze skóry naturalnego koloru, kurtkę ciemną, zapiętą pod szyję, jedwabną ponsową szarą, zawiązaną w pasie, a jej szerokie i długie końce, obszyte frandzlą, spadały po lewej stronie; za pasem miał nóż hiszpański i dwa bogato obsadzone pistolety. Prócz tego don Pablo miał na sobie obszerny ponsz (*poncho*), który w Ameryce południowej w dzień zastępuje miejsce płaszcza, w nocy zaś służy za kołdrę; jest to kawał materyi wełnianej wielkości zwyczajnej kołdry, przecięty w środku tak, aby głowa przejść mogła, a końce spadały po obydwóch stronach ciała. Zazwyczaj *poncho* bywa utkany z kilku kolorów, tworzących różne desenie. W Meksyku noszą powszechnie bardzo podobne do tego ubranie zwane *Serapé*. *Poncho* don Pablo utkany ręcznie z wyborowej wigoniowej wełny, mogło kosztować około pięćset franków i nie tylko że zabezpieczało od zimna,

ale tak dobrze, jak *mackintosh* (Makintosh, płaszcz z materyi nieprzemakalnej) chroniło od przemoknięcia. Kapelusz don Pablo był równie kosztowny: był to *panama* czyli *guayaquil*, tak zwany od miejsca zamieszkałego przez Indyan, zajmujących się wyrabianiem tych kapeluszy, z bardzo rzadkiej trawy morskiej, rosnącej na brzegach oceanu Spokojnego. Nie tylko że dobry *guayaquil* zabezpiecza od deszczu, ale jeszcze zasłania od promieni zwrotnikowego słońca i to właśnie stanowi główną jego zaletę i tak wysoką nadaje wartość; prócz tego jest nadzwyczaj trwałe i może służyć od dwudziestu kilku do trzydziestu lat. Kapelusz don Pablo należał do najkosztowniejszych i uzupełniał ubranie zapowiadające człowieka bogatego, należącego do arystokracji krajowej.

Toż samo można było poznać z całej postawy i ubioru żony don Pablo, pięknej Hiszpanki z kruczymi włosami; miała na sobie czarną materyalną suknię, z aksamitnym, bogato haftowanym stanikiem, piękną mantylę i kapelusz taki sam, jak nosił don Pablo. Pozostaje nam jeszcze opisać dzieci don Pablo: syn, miał około lat czternastu, ciemne włosy i wielkie ogniste czarne oczy; siostra, młodsza od niego, miała tegoż koloru włosy, równie piękne i wielkie oczy, długimi ocienione rzęsami, co im nadawało wyraz nadzwyczajnej słodyczy.

Dzieci pochodzenia hiszpańskiego są może piękniejsze w świecie; ich ciemna lecz nadzwyczaj gładka i delikatna cera, posiada połysk aksamitu, a z pod szeroko otwartych powiek padają spojrzenia

pełne szlachetnej dumy, które rzadko zdarza się spotkać w dzieciach innej narodowości. Kobiety długo zachowują ten szlachetny wyraz oka, mężczyźni utracają go daleko wcześniej, ponieważ obyczaje ich nie są tak czyste, a skażenie serca i duszy odbija się zawsze na twarzy. Występki i złe nalogi, nawet na pięknym z natury obliczu wypiętnują niezatarte ślady spodlenia i znikczemnienia; cnota przeciwnie, uszlachetni nawet brzydotę i darzy trwałym, serca pociągającym wdziękiem.

Jednak nawet w Hiszpanii nie znalazłby milszych i piękniejszych dziełek, nad dzieci don Pabla i dony Izydory, Leona i Leonore.

Ostatni podróżny, o którym nie wspominaliśmy jeszcze, widocznie do zupełnie innej należał rasy. Wzrostem równał się don Pablowi, lecz był kościst szy i szczuplejszy. Po dziwacznym jego stroju, czarnych, długich i niekręjących się włosach, miedzianej cerze, bystrem oku i dzikim spojrzeniu, łatwo było w nim poznać Indyanina z Południowej Ameryki. Guapo był tylko służącym don Pabla, chociaż pochodził ze szlachetnej rasy Inkasów peruwiańskich; wszakże istniała między nimi jakby serdeczna poufałość, zapowiadająca, że łączy ich z sobą jakiś jeszcze ściślejszy związek, niż zwykły stosunek między panem a sługą.

W czasie powstania, wybuchłego przeciwko Hiszpanom, nasz Indyanin połączył się z Tupakiem Amaru. Schwycony, został uwięzionym i na śmierć skazanym; starania don Pabla zachowały mu życie, a wdzięczny Guapo nie tylko został gorliwym sługą,

lecz jeszcze szczerym i pełnym poświęcenia przyjacielem swego dobroczyńcy i całej jego rodziny.

Guapo, w miejsce obuwia nosił sandały; kolce kaktusów i krzewiastej akacyi, rosnącej na górach, głębokimi szramami pokryły gołe jego nogi; krótka, z grubej welnianej materji spódniczka spadała mu za ledwie do kolan; wyższa część ciała, niczem nie okryta, zdawała się być wykutą z kamienia, tak silnie odznaczały się mięskuly pod tą miedzianą skórą, cechującą właściwych mieszkańców nowego świata. Jeśli było chłodno, Guapo okrywał się rodzajem pon-sza, tegoż samego kroju, jak powyżej opisany, lecz z materji pospolitej, utkanej z grubej welny łamy. Z wyrazistej jego twarzy można było wyczytać roz-tropność i pojętność, a krok pewny i swobodne ru-chy, obiecywały długie i czerstwe życie.

Leon jechał konno; dona Izydora z córką siedziały na mule, dwie łamy, te wielbłądy peruwiańskie, szły obciążone rzeczami podróżnych: don Pablo wraz z Indyaninem szli piechotą.

Don Pablo zdawał się być bardzo strudzonym, twarz jego wyrażała głęboki smutek, w spojrzeniu widać było niepokój; dona Izydora niespokojnie spoglądała wokół siebie, dzieci milczały smutne, odga-dując, że im zagraża jakieś niebezpieczeństwo; na-wet Guapo był zamyślony, a na każdym zakręcie drogi z trwogą spoglądał w stronę Kuzko. Cóż było powodem tego smutku i tej obawy? Don Pablo ucie-kał i obawiał się pogoni. Czy popełnił jaką zbrodnię? Bynajmniej, całą jego winą była gorąca miłość kraju; uciekał, aby uniknąć haniebnej śmierci.

Wypadki te miały miejsce w końcu zeszłego wieku, przed wyswobodzeniem hiszpańsko-amerykańskich prowincyj, kiedy jeszcze w imieniu króla hiszpańskiego, rządili niemi wicekrólowie absolutniejsi od samego monarchy. Otoczeni wspaniałym dworem, żyli z przepychem, cechującym napół barbarzyńskie narody, a korzystając ze swej władzy, z niecną samowolnością szafowali wyrokami śmierci. Przybysze z Hiszpanii, znikczemnieni ulubieńcy dworu, wszystkie posady rozdawali oficerom przybyłym z Europy, którzy znów ze swej strony nie dopuszczali kreolów nawet do niższych urzędów, bez względu na ich zdolności i wykształcenie. Ta zgłodniała rzesza, której Peruwianie nadali nazwę *gachupinos*, obok tyrańskiej administracji, zdzierstw i grabieży, obrzucała krajowców wzgardą i zniewagą. Tak straszne nadużycia wywoływały częste zaburzenia, przytłumiane barbarzyńskimi okrucieństwami, aż nareszcie wybuchło ogólne powstanie, zakończone po piętnastu latach krwawej walki wyswobodzeniem hiszpańskich posiadłości.

Było to więc przy końcu zeszłego wieku, kiedy wpływ rewolucyi francuskiej z 1789 r. dał się uczuć nawet w koloniach hiszpańsko-amerykańskich. Kilka razy porywano się do broni, lecz przedwczesne te usiłowania spełzły na niczem, powstańców zaś karano śmiercią. Don Pablo byłby także podzielił los nieszczęśliwych swych współbraci, gdyby nie szukał ratunku w ucieczce; cały jego majątek przeszedł w ręce chciwych łupieżców, których chciał wygnać ze swej ojczyzny.

Wiecie już teraz, dlaczego don Pablo z rodziną i wiernym swym Guapo wdzierał się na niebotyczne góry i czemu, pomimo utrudzenia, nie szukał spoczynku. Obawiając się pogoni, chciał jak najprędzej dostać się do olbrzymiego lasu, rozciągającego się po wschodniej stronie Andów. Wprawdzie, raz już potrafił omylić pogonię, lecz któż mógł przewidzieć, jak długo pozostaną w błędzie, a nawet czy już nie trafili na jego ślady?

III.

Drzewa trujące.

Podróźni nasi, postępujący ciągle skalistą ścieżką, wijącą się na pochyłości góry, znajdowali się obecnie w miejscu wznoszącem się na kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza. W kolo nich coraz nędzniejsza roztaczała się roślinność, miejsce drzew zastępowały rosnące gdzieśgdzie karłowate *quenoas* (*polylepis racemosa*) i kępy ratanii (*crameria*), rosnące na pochyłościach skały. Ratania dostarcza Indianom lekarstwa przeciwko biegunce i pluciu krwią, oraz drzewa na opał. Ekstrakt z korzeni tego drzewa sprowadzają także do Europy, gdyż dla swych własności, ściągających i tamujących krew, używają go jako lekarstwo.

Don Pablo był doskonałym naturalistą i równie jak większa część patryotów, biorących udział w tem

powstaniu, odznaczał się zamięłowaniem nauki; dziś jednak myśląc o niebezpieczeństwie, grożącym mu wraz żoną i dziećmi, nie zwracał uwagi na otaczającą go faunę i florę, i nie spojrzał nawet na piękny gatunek locustier, nazwanego przez Peruwian *krwią Chrystusa*, z powodu swych pięknych, jasno-czerwonych kwiatów. Myślał o tem jedynie, aby ująć jak najdalej od zaciętych wrogów swej rodziny; lecz teraz nie było już innej drogi nad łożysko wyschłego potoku, którem z największą trudnością wdzierali się na górę. Biedne lamy, rzadko uchodzące więcej nad piętnaście do dwudziestu kilometrów dziennie, zaczęły ustawać znużone tak długą podróżą, pomimo usiłowań Guapa, zachęcającego ich swym, tak dobrze im znanym głosem. Coraz to silniej dawało się słyszeć mruczenie, przypominające dźwięki eolskiej arfy, jakie zazwyczaj wydają te zwierzęta, kiedy są bardzo zmęczone. Podróżni nasi sądzili już, że będą zmuszeni przepędzić noc w tym ciasnym wąwozie, kiedy na zakręcie drogi wyszli na małą płaszczyznę, pokrytą pospolitemi w Andach, niskimi drzewami, zwanymi *molesy*. Liście tego drzewa wysokiego na 3 do 4 metrów, podobne są do liści akacyi; kiedy zaś dojrzeją jego owoce, pokryte jest gęsto gronami małych, świetnie czerwonych jagód, z których Indianie wyrabiają rodzaj piwa lekarskiego, wielce u nich szacownego; drzewo zaś, używane na opał, już dlatego samego jest wysoko przez nich cenione, że rośnie w miejscach, w których znajduje się mało innych drzew. Molesy poszukiwane są także przez rafinatorów cukru, ponieważ popiół z nich jest silnie

alkaliczny, a z tego powodu zdutniejszy do oczyszczenia syropu z trzciny cukrowej. Liście jego są aromatyczne i szczególnie po zgnieceniu silny wydają zapach.

— Zatrzymamy się tutaj — rzekł don Pablo do Guapa — położymy się spać pod temi drzewami.

— Tu, mój panie! — zawołał zdziwiony Indianin.

— Tak, tutaj. Idąc dalej wąwozem, może nie prędko znaleźlibyśmy równie dogodne miejsce; zresztą, lamy nie zechcą pójść dalej.

— Czy nie widzisz? panie! — rzekł znowu Guapo.

— Czego? — zapytał don Pablo.

— Tych drzew, panie.

— Widzę: liście ich nie dopuszczają do nas rosy i tem smaczniej spać będziemy.

— Lecz to niepodobieństwo, panie; są to drzewa trujące: kto uśnie w ich cieniu, już się nigdy nie przebudzi.

— Co za nedorzecznosc! Jesteś zabobonny, mój Guapo; pozostaniemy tutaj: lamy już się pokładły i zaręczam, że nie zechcą iść dalej.

Guapo zwrócił się do lam, w nadziei, że jeżeli potrafi je poprowadzić za sobą, don Pablo zdecyduje się opuścić to miejsce; lecz jest to charakterystyczną cechą lamy, że skoro przebiegnie około dwudziestu kilometrów drogi, ani kroku dalej postąpić nie chce; kiedy zaś jest przeciążona, dopóty nie powstanie z miejsca, póki każą jej dźwigać więcej nad 60 do 70 kilogramów: tak w jednym, jak w drugim razie,

ani biciem, ani pieścizotami nie można przelamać ich oporu. Guapo widząc, że z tej strony usiłowania jego były daremne, zaklinał don Pabla, aby unikając zdradliwego cienia molesów, przepędził noc wraz z swą rodziną na skałę, pod gołem niebem; lecz don Pablo nie odstąpił od swego zamiaru, chcąc tym sposobem przekonać wiernego sługę, jak dalece jego mniemanie było nieuzasadnione. Rozsiodlano konia i muła, zdjęto z lam ciężary i puszczone je wolno, aby same sobie szukały pożywienia.

Najprzód zajęto się wieczerzą, gdyż podróżni nasi przez cały dzień nic w ustach nie mieli; uciekając, trudno było zaopatrzyć się w żywność i całe zapasy spiżarniowe składały się z kilku kawałków suszonego mięsa wołowego, które Guapo zabrał z sobą. Kawalek tego mięsa i kilka korzeni *oki* (*oca*), które Indyanin wyrwał, przechodząc koło pola, zasadzonego tą rośliną, składały całe pożywienie wygnańców. Korzeń *oki* (*oxalis tuberosa*), jest grudkowaty, owalny, bladoróżowy z wierzchu, wewnątrz biały, podobny bardzo do karczocha jerozolimskiego, lecz trochę dłuższy i cieńszy; smak jego słodkawy, dość przyjemny, przypomina smak dyni; korzenie te jedzą gotowane lub pieczone. Peruwianie jadają jeszcze inny gatunek korzenia, także grudkowatego, który nazywają *ulluca*; korzeń ten bardzo klejowaty i nie tak smaczny jak poprzedzający, bywa okrągły, podługowaty, prosty lub krzywy, z wierzchu żółto-czerwony, a zielony w środku; ugotowany niema żadnego smaku, lecz bardzo smaczny, skoro go przyprawi tureckim pieprzem (*capsicum*). Don Pablo

zaczął szukać, czy w pobliżu nie znajdzie jakiej rośliny, zdatnej do jedzenia, i wkrótce spostrzegł komose, mączyniec (*chenopodium Quinsa*); ziarenka tej rośliny pożywne i smaczne, podobne są do ryżu, ale trochę mniejsze. Przed odkryciem Ameryki, kiedy w niej jeszcze nie znano pszenicy, komosa *quinsa* zastępowała krajowcom zboże, uprawiana w Europie dość dobrze się udawała; młode jej listki można jeść tak jak szpinak, z którym zresztą do jednej należą rodziny.

Kiedy już tak się ściemniło, że dymu nie można było dojrzeć zdaleka, wygnańcy nasi rozpalili ogień, a dona Izydora zajęła się przygotowaniem wieczerzy. Trzeba wiedzieć, że pomimo swych bogactw i dostatków, dona Izydora doskonale знаła sztukę kucharską, co tem więcej zasługiwało na pochwałę, że po większej części, damy peruwiańskie strojem się tylko zajmują. Wkrótce potem podróżni smacznie zjadali wieczerzę, a po chwili zasnęli twardo, otuleni ponszami.

IV.

Wieczerza Guapa.

Sam tylko Guapo nie skosztował nawet suszonego mięsa wołowego, zwanego *charqui*, ani też korzeni *oki*; miał on w swoim worku inne dla siebie pożywienie, którego by nie oddał za najsmaczniejsze

potrawy: pożywieniem tem była *koka*. Koka jest to drzewko około dwóch metrów wysokie, rosnące w najgorętszych dolinach Andów; w języku naukowym nazywa się *erythroxylon coca peruvianum*; owocem jej są drobne czerwone jagódki, małe jej listki są świetnie zielone, a kwiaty białe. Jakkolwiek w Peru koka rośnie dziko, zakładają jednak jej plantacje, zwane kokarniami (*cocalis*), i uprawiają starannie. Plantatorowie zasiewają kokę i przesadzają, skoro ma około 45 centymetrów wysokości; chcąc ją zabezpieczyć od palących promieni słońca, sieją w pewnych odstępach kukurydzę lub sadzą kępy drzew palmowych, a jeśli deszcz nie pada, polewają co pięć lub sześć dni; koka daje pierwszy zbiór w półtrzecia roku po zasadzeniu. Liście, to jest jedyna użyteczna część tej rośliny, zbierane są z równą ostrożnością, jak w Chinach liście herbaty; tak tu, jak w państwie niebieskiem, kobiety zajmują się tą robotą. Zbiór rozpoczyna się, gdy liście dojrzeją, to jest, kiedy zupełnie rozwinięte, stają się kruchemi; zebrane rozpościerają na grubej welnianej materyi i suszą na słońcu, a po wysuszeniu składają do worków, które przysypują suchym piaskiem. Pół kilograma takich liści kosztuje na miejscu 1 fr. 25 cent. Liście koki zbierają się trzy razy na rok, to jest, co cztery miesiące; sto drzewek dostarcza przy każdym zbiorze około dwunastu kilogramów liści. Plantacja koki jest długotrwałą, jeśli, co się często zdarza, nie zniszczą jej mrówki.

Opisałem szczegółowo uprawę tej rośliny, ponieważ stanowi bardzo ważny przedmiot w domo-

wem gospodarstwie Indyan tej okolicy. Widzimy, że w każdej części ziemi, jest mniej więcej upowszechnione użycie pewnej rośliny, której upajające lub pobudzające własności zdają się odpowiadać jakiejś nieodzownej potrzebie, i tak: w Chinach herbata, w południowej Azji betel, na Wschodzie opium, tytuń i tyle innych, które żują lub palą. Dla Indyanina, koka nietylko jest dobroczynnym środkiem, przynoszącym mu rozrywkę i zapomnienie, ale jeszcze główną podstawą pożywienia. Indyanin może wytrzymać sześć dni bez innego, prócz niej pożywienia, a biedni górnicy peruwiańscy, którzy bez wyjątku są kokerosami, czyli pożywającymi kokę, bez niej nie zdołaliby wytrwać w tak ciężkiej pracy. Zbytne używanie koki może zniszczyć zdrowie, lecz umiarkowane wcale nie jest szkodliwem i nie spowoduje tak złych skutków jak opium, a nawet jak tytuń.

Guapo, tak jak zapowiedział, oddalił się od molesów, chcąc zdala od ich zgubnego cienia, wyszukać sobie miejsce spoczynku. Po chwili spostrzegł skałę, wystającą nad przepaścią, na którą postanowił wdrapać się i pozostać aż do rana. Długo siedział nieruchomy z oczami zwróconemi na drzewa, pod któremi spoczywali ukochani jego państwo, drżąc z przerażenia na myśl, że może już nigdy się nie przebudzą. Powoli jednak uspokoił się zupełnie, zastanowiwszy się nad tem, że gdyby don Pablo nie był pewnym nieszkodliwości drzewa, nie narażałby swej rodziny na niebezpieczeństwo.

Indyanin zajął się wkońcu przygotowaniem dla

siebie wieczery; z zawieszonego na szyi woreczka ze skóry szynszylowej, wyjął sześć listków koki i zaczął je żuć powoli, następnie zapomocą zębów, ust i języka, utworzył z nich małą galeczkę i obracając ją w ustach, odetkał flaszczykę z wysuszonej tytkwy, zatkał koleczkiem, w którym obsadzona była szpilka tak długa, że koniec jej opierał się na dnie flaszki; zwilżył w ustach koniuszek szpilki, zanurzył we flaszczyce, a kiedy wyciągnął ją napowrót, sam koniec oblepiony był białym proszkiem. Proszek ten nie zawsze bywa jednakowy, kokerosi używają zarówno popiołu z molesu lub bananu, jak i utartego na proszek niegaszonego wapna; sądzimy jednak, że Guapo, który był wielkim smakoszem, musiał przekładać popiół z molesu, jako przyprawę najwięcej cenioną przez Indyan południowych. Tak przyrządzoną szpilką poprzekał na wszystkie strony leżącą na końcu języka galeczkę koki, strzegąc się aby sobie ust nie poparzyć białym proszkiem, poczem obtarł szpilkę, zatkał flaszkę i przeżuwał galeczkę przez czterdzieści minut, to jest przez czas konieczny do spożycia koki; Indyanie tak ściśle pilnują się tego przepisu, że w podróży przebyta przestrzeń mierzą na kokeady (*coceada*). Jedna kokeada oznacza czas potrzebny do przebycia piechotą trochę więcej nad trzy kilometry drogi.

Po skończonej wieczery Guapo okrył się ponaszem i zasnął głęboko.

V.

P u n a.

Guapo obudził się przed wschodem słońca, posilił się tak samo jak wieczorem i zszedł na płaszczyznę, gdzie jeszcze wszyscy spali. Muł i konie pasły się spokojnie wraz z lamami, które od wczoraj nic nie jadły, ponieważ te zwierzęta nie pasą się w nocy.

Indianin ze drżeniem zbliżył się do molesów. Jakże pragnął usłyszeć głos don Pabla! Zatrzymał się i słuchał: żaden dźwięk nie doszedł do niego; zbliżył się, wszyscy spali w tej samej postawie, jak ich zostawił wieczorem, tylko twarze ich pokrywała jakaś chorobliwa bladłość. Guapo drżący z przestachu, pochylił się nad swym panem, lecz napróżno wołał na niego, krzyczał i wstrząsał za ręce: don Pablo się nie przebudził. Zrozpaczony Guapo podwoił usiłowania i wkońcu ukochany pan jego poruszył się z trudnością.

— Co to jest? czego chcesz? — wyszeptał zaledwie zrozumiałym głosem.

— Już słońce weszło, mój panie: czas zabierać się w drogę.

— Nie pojmuję, czemu jestem tak śpiący i ociężały, że oczu otworzyć nie mogę?

— To skutek drzew trujących, wszak przestrzegalem cie, panie.

Odpowiedź ta zrobiła tak żywe wrażenie na don Pabla, że, zebrawszy wszystkie siły, zerwał się

szybko; lecz czuł się tak odurzonym, jak po zażyciu opium i z trudnością mógł się utrzymać na nogach.

— Miałeś słuszną, Guapo; żałuję, że nie poszedłem za twoją radą. Ależ, mój Boże! co się dzieje z moją żoną i dziećmi!

Przestrach rozbudził zupełnie don Pabla, który z trudnością zdołał obudzić resztę podróżnych, bardziej jeszcze od niego odurzonych narkotycznymi wyziewami drzewa.

— Chodź Izydoro — zawołał — oddalmy się stąd co prędzej, tam na górze zjemy śniadanie; Guapo miał słuszną: trzeba uciekać od tego zabójczego cienia.

Wkrótce świeże ranne powietrze otrzeźwiło naszych podróżnych; posilili się kawałkiem suszonego mięsa i korzeniami oki i w dalszą udali się podróż. Droga stawała się coraz trudniejszą do przebycia; cały wąwóz zasłany był kamieniami, w wielu miejscach skały, wznoszące się prostopadle, tworzyły po obu stronach rodzaj muru z czarnego porfiru, z którego głównie jest uformowany olbrzymi łańcuch Andów. Po nad głowami wygnańców, odzywały się małe, świetnie upierzone papugi, należące do rodzaju papug skalnych, *comurus rupicola*, które, wbrew zwyczajowi ptaków, należących do tej rodziny, żyją i zakładają gniazda na stromych cyplach skał. Są tu także wiewiórki, żyjące ciągle na ziemi i nigdy nie skaczące po drzewach, na których pokrewne im zwierzątka przepędzają życie, oraz małpy, mieszkające w grotach, i z tego powodu nazwane *troglodytes* (z greckiego *tróglé* grotta i *duó* wchodzić).

Już słońce zbliżało się do zachodu, kiedy wygnańcy nasi stanęli na najwyższym punkcie obranej przez siebie drogi, która doprowadziła ich do wielkiej równiny, wzniesionej na 3,700 metrów nad poziom morza. Płaszczyna otoczona była wysokimi górami, wznoszącymi swe śniegiem pokryte szczyty na kilka tysięcy stóp nad jej powierzchnią. Dolina smutny przedstawiała widok; powietrze zimne, grunt jałowy, nagie skały, trawa sucha i pożółkła; żadne, choćby najmniejsze drzewko nie rozweselało oka. Podróżni znajdowali się na jednej z tych wielkich górskich płaszczyn, zwanych w tej części Andów *puna* i zamieszkałych jedynie przez kilku Indyan pasterzy, mieszkających tak daleko od siebie, że można podróżować przez kilka dni i żadnego z nich nie spotkać.

Guapo, urodzony poza górami, w olbrzymim lesie, do którego schroniło się wielu krajowców po rzezi, dokonanej przez Pizarres'a, znał dobrze tę okolicę, i przypomniawszy sobie, że w pobliżu mieszka jeden z jego przyjaciół, u którego znajdą serdeczną gościnność. Zatrzymano się na chwile, a lamy, sądząc, że już dzień ich skończony, nie miały ochoty iść dalej. Guapo ukląkł przed niemi, pieścił je, całował, przemawiał do nich najczulszemi wyrazami i tym sposobem skłonił do dalszej drogi. Wkrótce stanęli przed chatą Indyanina; biedne to było schronienie, podobniejsze do stosu zeschłego ziela, jak do mieszkania ludzkiego. Opiszemy jak było zbudowane: ułożono w kształcie koła jeden rząd kamieni, nakładziono na nich suchej trawy, na tem ustawiono znów kamienie

i przyłożono je trawą i tak dalej, aż do pięciu stóp wysokości, na ośm do dziewięciu stóp średnicy. Na tym murze obwodowym, opierały się pochyło tyczki, połączone z sobą wyższemi końcami i zrobione z lodyki kwiatu agawy, będącej gatunkiem aloesu amerykańskiego i nazwanej przez krajowców *maquey*. Przytwierdzone do tych tyczek łaty, podtrzymywały strzechę z grubego zielska, rosnącego w *punie*, przy-mocowanego powrozami z tegoż samego zielska, przywiązanemi na szczycie dachu. Rozwieszona skóra wołowa zastępowała drzwi wchodowe i zasłaniała zupełnie otwór, załedwie na dwie stopy wysoki, tak, że tylko na czworakach można było wejść do chaty.

Leon od jakiegoś czasu szedł piechotą, lecz skoro zbliżali się do chaty, Guapo prosił go, aby wsiadł na konia: obawiał się, aby go nie pokąsały psy, chowane przez pasterzy, mieszkających w *punie*, które, pomimo swego małego wzrostu, są najdzikszyimi ze wszystkich dotąd znanych. Złe i brzydkie te zwierzęta, zwane psami Inkasów (*Canis Ingae*), mają pysk spiczasty, ogon podniesiony w górę, sierć długą i grubą; na obcych rzucają się z taką wściekłością, że własny ich pan z trudnością może uwolnić gościa od ich napaści. Na białych z większą jeszcze napadają zaciętością, jak na Indyan; dlatego byłoby niebezpiecznie zbliżać się do tych chat samotnych, przy których znajdują się zazwyczaj trzy lub cztery takie psy, potrzebne mieszkańcom puny do strzeżenia trzody i polowania. Używają ich często do ścigania *yutu*, gatunku kuropatwy, kryjącej

się w trawie na bagnach, którą te psy chwytają nader szybko i zręcznie.

VI.

Spotkanie z bykiem.

Guapo zbliżył się do chaty ostrożnie, kilka razy zawołał na swego przyjaciela, a nie odbierając odpowiedzi, przysunął się do drzwi, trzymając w ręku wielki nóż, podniósł skórę i przekonał się, że w chacie nie było nikogo.

Guapo nie zmieszał się tem wcale; wiedział, że bez pozwolenia przyjaciela mógł rozgospodarować się pod jego dachem, dlatego bez wahania wszedł do chaty. Ponieważ Indyanin nie miał żony, mieszkanie jego było zawsze puste; wychodził pilnować swej trzody baranów i alpaków. W chacie znajdowały się tylko rzeczy niezbędnie potrzebne, jak na przykład dwa *ollas* czyli garnki: jeden z nich służył do gotowania zupy, drugi do kukurydzy; kilka tykw poprzerzynanych poprzecznie, zastępowało miejsce talerzy i filiżanek: inne sprzęty nieznane są pasterzom puny. Ognisko składało się z dwóch kamieni, pomiędzy którymi pozostawiono szparę dla przeciągu powietrza; w miejscu drzewa Indyanin używał na opał wysuszonego gnoju krowiego, zwanego *taquia*; dwie rozciągnięte skóry baranie służyły mu za całą po-

ściel. Oczy Guapa z przyjemnością zatrzymały się na worku, zawieszonym na ścianie; poznał, że znajduje się w nim zapas korzenia, zwanego makas (*macas*), stanowiącego główne pożywienie biednych mieszkańców puny. Macas jest to korzeń brodawkowaty, wielkości dużego kasztana, do którego ma smak podobny, skoro jest ugotowany w mleku; uprawiają go na tej wysokości Andów, gdzie już nie udają się kartofle i oka. Korzenie te, wysuszone na słońcu i trzymane na wietrze, przeszło rok się konserwują. Indianie robią z nich rodzaj papki, którą jedzą z pieczoną kukurydzą. Drugi worek, napelniony kukurydzą, podwoił radość Guapa.

— Ach! — zawołał wesoło — głód nie da nam się dziś we znaki: z dodatkiem suszonego mięsa, doskonala będziemy mieć wieczerzę!

Po chwili wyszedł z chaty, aby uwiadomić podróżnych o tak szczęśliwym odkryciu.

Zimno było przejmujące, jak to prawie zawsze bywa na tak znacznej wysokości i dlatego dona Izydora weszła z dziećmi do chaty, a don Pablo i Guapo zaczęli szukać, czy nie znajdą czego, coby się zdało na opał; na całej równinie nie było widać nawet najmniejszego krzaczka, musieli więc zbierać wyschły gnój krowi, używany zamiast drzewa przez Indian tej okolicy. Jeszcze nie skończyli tak niemiłego zatrudnienia, kiedy Guapo podniósł się raptem, wydając krzyk przerażenia: posłyszał ryk zbliżającego się byka, a byki puny znane są ze swej srogości. Zwierzę biegło ku nim szybko, z oczami palającymi ogniem i spuszczoną głową.

We wszystkich posiadłościach hiszpańskich w Ameryce byki są dziksze i okrutniejsze niż gdziekolwiek na świecie i dlatego wybierają z pośród nich zwierzęta, przeznaczone do walki. Wakerosi (*vaqueros*) hiszpańsko-amerykańscy powiększają jeszcze ich dzikość okrutnem obchodzeniem się z bydłem; często nawet i krowy są tak złośliwe, że tylko siedząc na dobrym koniu, można pilnować swej trzody. Jednak nie we wszystkich posiadłościach hiszpańskich zwierzęta te są również dzikie: i tak pochodzące z Illanos de Venezuela i z obszernych równin Buenos-Ayres, są nieco łagodniejsze od byków z puny, które, jak tylko spostrzegą człowieka, rzucają się na niego z największą zapalczywością; nie jeden Indianin, idący piechotą i napadnięty niespodzianie, życiem przypłacił to spotkanie z rozwścieczonem zwierzem.

Guapo i don Pablo nie mieli nawet kija do obrony, pistolety i noże zostawili w chacie, od której byli zbyt daleko, aby mogła im służyć za schronienie. Jak się ustrzedz tak wielkiego niebezpieczeństwa? Wściekłość zwierzęcia wzrastała za każdym skokiem; już zaledwie trzydzieści kroków oddzielało go od don Pabla, kiedy nagle, jednakowa myśl zabłysła w głowie pana i sługi: z największym pośpiechem zdjęli z siebie ponszę i, nie ruszając się z miejsca, oczekiwali na byka, aby, skoro przybiegnie, zarzucić mu je na głowę i zanim zdola uwolnić się od nich, uciec i wdrapać się na najbliższą skałę.

Don Pablo, którego byk wybrał za pierwszą

swoją ofiarę, zapewne dla rażących go w oczy jaskrawych kolorów ponsza, z wielką zręcznością plan swój wykonał i z łatwością dostał się na skałę, gdzie wkrótce wszedł i Guapo. Lecz któż zdoła opisać jego przestרח, kiedy, spojrzawszy w dolinę, ujrzał zdalą od chaty żonę i dzieci, które z niej wybiegły, usłyszawszy krzyk Guapa. Dona Izydora, spostrzegłszy rozloszczonego byka, coprędzej zawróciła do chaty, rozkazawszy dzieciom biedz naprzód; lecz nie łatwo było przejść przez drzwi tak niskie.

— Boże, ratuj ich! — zawołał don Pablo.

Rozwścieczone zwierzę, pozbywszy się wkońcu zakrywającego mu oczy ponsza, spostrzegło nową ofiarę i szybko zbliżało się do biednej matki, zasłaniającej sobą ukochane swe dzieci: zdawało się, że już nic jej ocalić nie zdoła, gdy w tem tętent galopującego konia rozległ się po dolinie. Don Pablo spostrzegł wtenczas jeźdźca, wywijającego nad swą głową jakąś dziwną bronią: w tej że chwili zaświszczały w powietrzu trzy pasy rzemienia, połączone z sobą w górze, a u dołu zakończone kulami. Rzemienie zakreśliło się kilka razy w powietrzu i spadając owinęło się około nóg zwierzęcia, które upadło i na próżno usiłowało powstać. Jeździec krzyknął radośnie, zeskoczył z konia, przybiegł do zwierzęcia i zatopił mu nóż w gardle: potok krwi wytrysnął z rany i po chwili niebezpieczne zwierzę leżało bez życia.

Nowoprzybyły odkręcił spokojnie rzemienie, krępujące nogi byka, poczem zwrócił się ku podróżnym.

VII.

Wakeros.

Wybawcą dony Izydory był przyjaciel Guapa i właściciel chaty; pozdrowił swych gości i z grzecznością Spano-Amerykanów powiedział im: że dom swój i wszystko, co się w nim znajduje, oddaje na ich rozkazy.

Przyrządzono wieczerzę, składającą się z *makasu*, kukurydzy i kawałka mięsa z zabitego przed chwilą zwierzęcia; wzamian za to don Pablo ofiarował gospodarzowi dość znaczny podarunek, Guapo zaś podzielił się z nim swym zapasem koki i więcej go tem ucieszył niż don Pablo pieniędzmi.

Po ukończonej wieczerzy, kiedy już obydwaj Indianie spożyli swój ulubiony przysmaczek, Guapo pewny, że może zaufać przyjacielowi, odkrył mu powody tak dalekiej i utrudzającej podróży. Poczciwy Indianin nie tylko przyrzekł zachowanie tajemnicy, ale jeszcze zobowiązał się wskazać mylną drogę żołnierzom wrazie, gdyby aż do puny posunęli swoje poszukiwania. Nieraz już słyszał o don Pablo, wiedział, że jest dobrym patryotą, wrogiem Hiszpanów, przyjacielem biednych Indian i dlatego z chęcią naraziłby się na niebezpieczeństwo, byle mu oddać przysługę, gdyż żaden naród nie dał tyle dowodów zupełnego poświęcenia się dla swych przyjaciół, jak Indianie Andejscy. Ileż to przykładów wierności, szlachetnych ofiar, bohaterskiej śmierci, możnaby zapisać na kartach ich historii, od czasu zawojowania

ich kraju przez okrutnego Pizara i srogiej jego bandy.

Skoro Indyanin dowiedział się o smutnem położeniu wygnańców, jeszcze szczerzą okazywał im gościnność; czynił co tylko mógł, aby wygodniej odpoczęli w jego chacie, a w końcu pożegnał ich, oznajmiając, że pójdzie zastawić sidła na szynszyle i wiskachy. Leon miał wielką ochotę towarzyszyć Indyaninowi i z łatwością otrzymał pozwolenie rodziców.

Szynszyla i blisko z nią spokrewniona wiskacha, są to małe zwierzątka, zamieszkujące najwyższe góry w Chili i Peru, i należące do rzędu skrobogryzów. Obiedwie są prawie tak wielkie jak króliki, z którymi też mają jednakowe obyczaje, lecz powierzchownie odróżniają je od nich krótsze znacznie uszy i długie ogony. Ubarwienie pięknego i miękkiego futerka szynszyli powszechnie jest znane; wiskacha nie jest tak piękną, rdzawego koloru, z głową zbliżającą się kształtem do zajęczki, ma policzki czarne i także same wąsy, sterczące jak u kota. Zwierzątka te żyją na najwyższej pochyłości Andów, w norach i rozpadlinach skał, gdzie kryją się przez cały dzień i tylko wieczorem i bardzo rano wychodzą na żer. Łapią je w sidła z włosienia, zastawiane przy wejściu do ich mieszkań, tak jak w Europie chwytają króliki, z tą jedynie różnicą, że tu w miejsce włosienia używają cienkiego i elastycznego druciku.

Leon nie posiadał się z radości; nie tylko że dobry Indyanin nauczył go zastawiać sidła, ale jeszcze

opisywał mu życie w punie i opowiadał ciekawe szczegóły o znajdujących się w niej zwierzętach. Przechodząc około jeziora, otoczonego błotnistym brzegiem, spostrzegli pływającą na niem piękną gęś dziką, zwaną przez Indyan *huachua*; całe jej ciało pokryte było białem jak śnieg pierzem, z wyjątkiem skrzydeł, ubarwionych czysto zielonym i fioletowym kolorem: dziób i nogi były świetnie czerwone. Dalej napotkali ibisy i kurę wodną, prawie tak wielką, jak indyka, nazywaną przez uczonych *fulica gigantea*: upierzenie miała ciemno szare, a przy nasadzie czerwonego dzioba, narodził żółtą w kształcie bobu, dla której Indyanie nadali jej nazwisko *bec-feve*. W dolinie, nad brzegiem bagna, zobaczyli piękną siewkę (*charadrius*), upierzoną tak samo jak *huachua*, której zielone skrzydła pięknie błyszczały na słońcu. Po nad ich głowami przeleciał drapieżny ptak z rodzaju sokola (*polyborus*). Indyanin nazwał go *huarahua* i powiedział, że ten ptak nie jest szkodliwy i pozwala zbliżyć się do siebie; rzeczywiście, kiedy *huarahua* usiadł na kamieniu, Indyanin poszedł ku niemu tak blisko, że mógł uderzyć go kilka razy kijem, a pomimo to ptak pozostał na miejscu. Prócz tego, Wakeros objaśnił Leona, że *huarahua* żyje tylko padliną i nigdy nie napada na żyjące istoty *).

*) Sądźmy, że *huarahua raquerosa* jest to *milvago polyborinus*, dający się widzieć tak na górach jak i w dolinach; gniazda zakłada w zakrętach skał i żywi się padliną, larwami i owadami. Szpony jego silne lecz przytępione, szerokie i płaskie, są mu użyteczniejsze do chodzenia po ziemi, gdzie biega równie łatwo jak kura, niż do walczenia z nieprzyjacielem.

Wakeros był po części naturalistą; znał doskonale wszystkie zwierzęta puny, tak jak niektórzy gajowi znają ukrywające się w ich lesie. Pokazał jeszcze Leonowi dzięcioła, którego nazwał *pito* (*Colaptes rupicola*) mieszkającego na skalach. Równie jak wspomniane powyżej papugi stanowi on wyjątek w swej rodzinie, z której inne gatunki żyją w lesie.

Polyborus (Orlik); typ tej gromady, którego nazwa oznacza *jedzący wszystko*, nie żywi się samą tylko padliną, jak twierdzi dobry Wakeros. Prawda, że nią wcale nie pogardza, że nie napastuje nawet wróbla, ale za to wykrada z gniazda pisklęta zaledwie pokryte pierzem i młodzietkie jagnięta; napada na różne gady i polyka węże. Jeśli kilku z nich znajduje się razem i napotkają *ścierwnika* zwanego *urubu*, dopóty ścigają go połączonymi siłami, dopóki nie wyrzuci napowrót połkniętego pokarmu, który zaraz chciwie pożerają. Groźny dla słabych, jest słaby i bojaźliwy z odważniami, i ucieka przed ścigającymi go mucholówkami.

Mylą się także utrzymujący, że ten ptak jest gatunkiem sokoła: sokół jest to ptak odważny, z zaostrzonym i ząbkowanym dziobem, szpony ma zakrzywione, ostre i zasuwalne; lot jego potężniejszy od lotu orla, gdyż opiera się najsilniejszym wiatrom na górzystych wybrzeżach morskich. Poluje więcej dla przyjemności, jak dla nasycenia głodu; walczy z takim upodobaniem, że swe zdolności i swoją odwagę oddaje na usługi człowieka i prawie nie wymaga za to wynagrodzenia. Dziwi nas to i gniewa zarazem, jeśli ktoś te szlachetne ptaki kładzie na równi z gatunkami, zbliżającymi się do sępów, które żywią się padliną, napadają na słabych, z tchórzami zachwale, uciekają przed ścigającymi je wróblami. Zresztą zaokrąglone ich skrzydła powinnyby je na zawsze odłączyć od tych szlachetnych ptaków; sokoły z zaokrąglonymi skrzydłami! to brzmi tak samo jak gdyby ktoś powiedział: *skrzydła zaokrąglone śpiczasto*.

Pito jest mały, brunatny, nakrapiany z wierzchu, a pod spodem żółty; Leon spostrzegł ich bardzo wiele zgromadzonych w jednym miejscu.

Najwięcej jednak zadziwił Leona ptaszek wielkości szczygła, brunatny z czarnymi pręgami na grzbiecie i białą piersią; lecz nie upierzenie jego obudziło takie zajęcie w młodym podróżnym. Indyanin opisał mu zwyczaj ptaszyny, co godzina smętnym w nocy odzywającej się głosem; z tego powodu Indyanie nazwali go *kogutem Inkasów*, i mówią o nim z rodzajem jakiegoś zabobonnego uszanowania.

Wracając, zbliżyli się do podnóża góry i spostrzegli lisa, wybiegającego z wąwozu: zdążył prosto do bagna, na którym zamierzał wyprawić sobie polowanie. Był to *canis azarae*; szkaradne to zwierzę znajduje się w całej Ameryce południowej, gdzie wielkie czyni spustoszenia w trzodach baranów i alpaków. Pasterze puny tem zaciętszą prowadzą z nimi walkę, że właściciel trzody daje barana za zabicie starego lisa, a jagniętko za młodego. Jak wiemy, Indyanin, dla bezpieczeństwa Leona, pozostawił psy przy domu i dlatego lis uniknął śmierci, któraby go niezawodnie spotkała, gdyby towarzyszyły swemu panu.

Już zupełnie było ciemno kiedy wrócili do chaty; a gdy już Leon opowiedział wszystko co zobaczył w czasie swej wycieczki, wszyscy udali się na spoczynek i wkrótce smacznie zasnęli.

VIII.

Lamy, alpaki, wigonie i gwanaki.

Nazajutrz podróżni obudzili się równo ze świtem, a gdy weszli przed chatę, ujrzeni na równinie cztery gatunki wielbłądowców, pochodzących z Andów, które rzadko kiedy można widzieć razem. Tuż przy nich znajdowały się lamy i alpaki, należące do ich gospodarza; dalej pasło się siedm gwanaków, a za nimi jeszcze liczna trzoda wigoni szukała sobie pożywienia. Wszystkie gwanaki były zupełnie jednakowe, równie jak i wigonie, w których ubarwieniu nie było żadnej różnicy; przeciwnie zaś lamy i alpaki przedstawiały co do ubarwienia mniej lub więcej wybitną odmianę w każdym zwierzęciu. Spostrzeżenie to na tem większą zasługuje uwagę, że odnosi się do ogólnej i ciekawej reguły: zwierzęta jednego gatunku, żyjące dziko, są zawsze jednakowo przyodziane, w ubarwieniu zaś oswojonych ciągle różne zachodzą zmiany.

Może w całej Ameryce południowej niema zwierzęcia, któreby tak dalece ściągnęło na siebie uwagę Europejczyków, jak lama. Przed zawojowaniem Peru było to jedyne zwierzę robocze znane krajowcom, a podróżni hiszpańscy rozpowiadali o niem różne, często nieprawdziwe historie. Utrzymywali naprzykład, że krajowcy jeżdżą na lamach, co nigdy być nie mogło, chybaży jakie dziecko wsiadło na nią dla zabawy.

Lama jest to zwierzę średniej wielkości, wyso-

kie na jeden metr, rachując od łopatki, chociaż wydaje się wyższą z powodu swej długiej szyi. Ubarwienie lamy jest brunatne, pocienione czarnym i żółtym kolorem, czasem nakrapiane lub centkowane; bywają lamy czarne i białe, lecz ostatnie rzadko się widzieć zdarza. Welna samców jest długa i gruba, samiec delikatniejsza i w lepszym gatunku: są one mniejsze od samców i nigdy nie dźwigają ciężarów.

Lamy dopiero w cztery lata po urodzeniu zdane są do pracy; ciężary noszą zapomocą siodła zwanego *yerqua*, wyrobionego z grubej welny. Powiedzieliśmy już wyżej, że ciężar ten nie może przenosić 60 do 75 kilogramów i że ani biciem, ani pieszczotami niepodobna przewyciężyć oporu lamy, kiedy jest zmęczona. Jeśli gwałtem chcą ją przymusić, rozgniewana parska ostrą śliną, od której na ciele wyrzucają się bąble.

Widziano lamy doprowadzone do szaleństwa złem obchodzeniem, tak dalece, że zabijały się same, uderzając głową o skały.

W kopalniach peruwiańskich używają ich powszechnie do przenoszenia rudy; pewny ich krok nadaje im wyższość nad mulami, nie mogącymi się utrzymać na stromych i urwistych pochyłościach, po których lamy stępują z największą łatwością. Czasami sprowadzają je aż w niziny, dla zabrania stamtąd soli i innych artykułów żywności; lecz w podróżach takich wiele z nich utracą życie, gdyż te mieszkanki puny nie mogą znieść upałów, panujących w płaszczynach.

Podróżująca trzoda lam ciekawy przedstawia

widok. Jedna z największych idzie przodem, inne postępują za nią szeregiem, krokiem wolnym i miarowym, z dzwonekami na szyi i ze wstążkami na głowie; każda z nich przypatruje się bacznie otaczającym ją przedmiotom, a przestraszone rozpierzchają się na wszystkie strony i trudno je potem przyprowadzić do porządku. W chwilach spoczynku wydają dziwny głos; jest to jakiś rodzaj brzęczenia, przypominającego dźwięki eolskiej harfy. Lamy śpią z podniesioną głową, leżąc na piersiach, na których mają szeroką i twardą narośl, i w tejże samej postawie przyjmują na siebie ciężary. Mówiliśmy już, że w nocy nigdy nie jedzą i że w ciągu jednego dnia nie zajdą zbyt daleko; jednak mimo to mogą odbywać dalekie podróże, jeśli co pięć lub sześć dni odpoczywają przez dwadzieścia cztery godziny. Tak samo jak wielbłądy, długo obywają się bez picia; Buffon mówi o lamie, która przez ośmnaście miesięcy nie nie piła, lecz Buffon jest powagą, której nie zawsze można wierzyć.

Po odkryciu Ameryki, lama kosztowała ośmdziesiąt do stu franków; później cena ich znacznie spadła, skoro zaprowadzono tam muły i inne zwierzęta robocze. W pobliżu kopalń sprzedają je po dwadzieścia franków, lecz można dostać za dziesięć franków, kupując w miejscach, gdzie je hodują.

Niegdyś, jeszcze za Inkasów, mięso ich służyło krajowcom za pożywienie; dziś jadają go jeszcze, lecz przekładają baraninę, która jest daleko smaczniejsza.

Gwanaka jest większą od lamy; długo ją uwa-

żano za dziką lamę lub za lamę powróconą do stanu dzikości, co zupełną stanowi różnicę. Obadwa te zdania są mylne: gwanaka stanowi oddzielny gatunek tego samego pokrewieństwa. Żyje na wysokich górach, może być oswojoną i użytą do pracy, lecz oblaskawienie jej wymaga wiele pracy i trudów. Gwanaka co do kształtu podobna jest do lamy, z wierzchu czerwono-brunatna, ze spodu brudno biała; wargi ma białe, a twarz ciemno szarą; wełna jej jednakowej długości na całym ciele, krótsza jest jak na lamach. Gwanaki są nadzwyczaj pierzchliwe: jak tylko zobaczą kogoś, chronią się w najnieдоступniejsze miejsca; żyją w gromadkach, złożonych z pięciu lub siedmiu sztuk.

Alpaka z całej tej rodziny najwięcej jest zbliżona do pospolitego barana. Pokrywa ją miękka, gęsta i cienka wełna, mająca dwanaście do trzynastu centymetrów długości; wyrabiają z niej piękne materye i dlatego stanowi ważny artykuł handlu.

Zazwyczaj alpaka jest czarna lub biała, znajdują się jednak centkowane i nakrapiane; należy do zwierząt domowych, lecz do pracy nie zdatna; hodują liczne jej trzody i strzygą je tak, jak u nas owce, których także posiada upór i głupotę.

Jeśli przypadkiem alpaka odłączy się od gromady, niczem nie można jej zmusić, ażeby poszła za swym pasterzem i choćby ją kto zabił uderzeniem, nie poruszy się z miejsca; kiedy przeciwnie, za innemi leci na oślep, tak jak nasze owce.

Żaden jednak z powyżej wymienionych gatunków nie jest tak piękny, jak wigoń: kształtem przy-

pomina sarnę i antylopę, welna, pokrywająca wyższą część jego ciała z powodu niezwyklej swej barwy, jest uważaną przez Peruwian, jako typ oddzielnej barwy, zwanej przez nich kolorem wigoniowym. Jest to odcień pomarańczowego koloru, podobny do tego, jaki widzimy na kotach domowych, zwanych trójkolorowymi; niższa część ciała jest zupełnie białą.

Mięso wigonia jest bardzo smaczne, welna lśniąca i miękka, jak jedwab, jest cztery razy droższa od welny z alpaki; wyrabiają z niej kapelusze i materye, których używali sami nawet Inkasi w czasie swej potęgi i chwały.

Wigonie zamieszkują góryste okolice, lecz rzadko kiedy zapędzają się między strome skały, wśród których kryją się gwanaki; kopyta ich są zdutniejsze do stąpania po równinach pokrytych trawą, niżeli do czepiania się po skalistych i nagich pochyłościach gór. Żyją gromadnie po ośmnaście lub dwadzieścia sztuk; każda taka gromada składa się z samiec zostających pod przewodnictwem starego samca, który gorliwie czuwa nad niemi, kiedy się pasą, a dostrzegłszy jakieś niebezpieczeństwo, gwiżdże przeraźliwie i bije nogą w ziemię; ostrzeżone tym sposobem jego towarzyszy, zgromadzają się razem, wyciągają głowę ku stronie, z której grozi im niebezpieczeństwo i zaczynają uciekać, z początku wolno, później zaś z rącością jelenia: samiec biegnie za niemi, zatrzymując się czasem, jakby dla zasłonięcia ich odwrotu.

W Andach istnieje wiele pośrednich odmian pochodzących z pomieszania się tych gatunków lub z ich

mutów; niektóre z tych odmian uważano niekiedy za oddzielne zupełnie gatunki.

IX.

Polowanie na wigonie.

Indyanie polują na wigonie dla wybornego ich mięsa i kosztownej welny. Najczęściej używany przez nich sposób, wymagający współdziałania wielu razem myśliwych, nazywa się *chacu*. Zazwyczaj cała ludność wioski bierze udział w tem polowaniu, przynoszącem bardzo znaczne korzyści; nawet i kobiety wychodzą na te oblawy i zajmują się przyrządzaniem pożywienia dla myśliwych, gdyż podobne wyprawy zazwyczaj długo się przeciągają.

Pięćdziesiąt do stu ludzi udaje się w miejsce zamieszkałe przez wigonie, zabiera z sobą bardzo długie sznury, znaczną ilość rozmaitych galganów i kolki wysokie blisko półtora łokcia. Kiedy już wybiorą stosowne miejsce, wbijają kolki w ziemię, o cztery do pięciu kilometrów jeden od drugiego i tym sposobem wytykają koło, mające półtora kilometra średnicy; do tych kółek przywiązują sznur na łokieć lub półtora po nad ziemią i przytwierdzają do niego różnokolorowe galgany, którymi wiatr powiewa w rozmaite strony. W takim kole od strony, z której spodziewają się przybycia wigoni, pozostawiają otwór sze-

roki na dwieście metrów*). Indyanie po większej części konno, ścigają wigonie i napędzają je do koła, poczem zamykają wejście do niego, zsiadają z koni i jużto za pomocą bolasów, już poprostu porywając je rękami za tylne nogi, chwytają w krótkim czasie wszystkie te biedne zwierzęta tak nierozumne, że zatrzymują się przed tą pozorną zaporą, nie próbując nawet, czy jej przebyć nie potrafią. Gwanaki daleko są rozumniejsze; sznur ich nie zatrzyma, przeskoczą go lub zerwą w potrzebie, a co więcej, jeśli w pośród wigoni znajduje się choć jedna gwanaka, nietylko, że sama ucieknie, ale za jej przykładem idą wigonie, a strzelcy muszą na nowo rozpoczynać obławę.

Polowanie takie ciągnie się przez kilkanaście dni, jak to nadmieniliśmy wyżej: wszystkie przyrządy przenoszą z miejsca na miejsce i dopóty zastawiają sidła, dopóki wigonie znajdują się w dolinie, poczem podzieliwszy się zdobyczą, wracają do domu. Wszystkie skóry wigoniowe powinny być oddawane proboszczowi, którego dochody powiększa znacznie ten rodzaj dziesięciny, gdyż każda skóra kosztuje pięć franków, a często się zdarza, że w ciągu jednego polowania zabijają czterysta do pięćset wigoni.

Są jeszcze inne sposoby polowania, których powodzenie zależy od zręczności myśliwego. Wakeros, spostrzegłszy pasące się wigonie, postanowił popisać się ze swą zręcznością przed podróżnymi; oddalił się więc na chwilę i powrócił do nich przebrany za lamę, to jest przyodziany w jej skórę. Szyja i głowa

*) Metr: około 1 łokcia i 3 ćwierci.

zwierzęcia były tak wypchane, że utrzymywały się prosto, wsparte na głowie Wakerosa, którego twarz przysłaniała wełna, znajdująca się na piersiach mniemaney lamy. Tak przebrany Indyanin oddala się od chaty, zaopatrzony w bolasy. Mówiąc o tej broni, z powodu szczęśliwego jej użycia przeciwko rozwścieczonemu bykowi, powiedzieliśmy, że składa się z kamienia lub trzech kul ołowianych, z których jedna mniejsza i lżejsza. Każda z tych kul przymocowana jest do końca mocnego rzemienia, czyli raczej sznura, ukłęconego z suchych żył wigoniowych, przeciwne zaś końce tych sznurów są razem złączone i związane. Myśliwy trzyma w ręku najmniejszą kulę, większymi zaś wywija po nad głową, dopóki im nie nada potrzebnej szybkości; wtenczas puszcza je w żądanym kierunku, a bolasy spadają, zataczając w powietrzu szybkie koło i okręcają się około pierwszego przedmiotu, jaki napotykają w swej drodze. Tak rzucone bolasy, w jednej chwili powalają na ziemię najsilniejsze nawet zwierzęta; lecz trzeba wielkiej wprawy i zręczności, ażeby dosięgły do wyznaczonego celu: ktoś niezręczny lub niewprawny, łatwo może uderzyć się sam w głowę.

Wigonie pasły się spokojnie o 500 lub 600 metrów od chaty; Wakeros trzymając bolasy w ręku, spieszenie przebył połowę drogi i dopiero zbliżając się do celu swych życzeń, zwalniał stopniowo kroki. Minał już gwanaki, nie przestraszywszy ich wcale, co dobrą było wróżbą; wigonie zjadały smacznie, zaufane w czujności swego przewodnika, którego łatwo było poznać po tętszej budowie, wyższym wzroście

i dumnym chodzie. Ku niemu-to właśnie zbliżał się Wakeros, lecz czy stary samiec dozwoli oszukiwać się dłużej? Bynajmniej, już uderza nogą w ziemię, już słyhać przenikliwe jego gwizdnięcie; wigonie zbiegły się razem i zamierzają uciekać: wtem lama staje na tylnych nogach, bolasy zakreśliły się w powietrzu, spadły, a stary samiec upadł na ziemię.

Gdzież się podziały samice? zapewne zdołały uciec daleko od srogiego myśliwca? O! nie, biedne te zwierzęta dobrowolnie wróciły podzielić los tego, który im zawsze przewodniczył i otoczyły go wkóło, wydając bolesne krzyki. Wakeros nie potrzebuje już używać podejścia; zabija jedną po drugiej te nieszczęśliwe ofiary, a żadna z nich nie myśli ratować się ucieczką: to też nóż myśliwca nie oszczędził ani jednej z tych wiernych małżonek. Wkrótce ucichły ostatnie ich krzyki, nie już nie słyhać w dolinie, prócz odgłosu wydawanego przez uciekające alpaki, lamy i gwanaki.

Leon policzył zabite wigonie, było ich dziewiętnaście; Indyanin upewnił go, że to nie pierwszy raz w życiu tak szczęśliwie powiodło mu się podobne polowanie i że ile razy uda się schwytać i zabić samca, samice dobrowolnie podzielają los jego i bez najmniejszego oporu pozwalają się przy nim zabić.

X.

Schwywanie kondora.

Wakeros, z pomocą Guapa, muła i konia, sprowadził wkrótce zabite wigonie i złożył je w pobliżu swej chaty. Rozebrano zaraz jedną z nich, upieczono spory kawałek, a podróżni, których apetyt zaostriżyło chłodne powietrze puny, szczerze podziękowali gospodarzowi za tak smaczne śniadanie.

Leżące przy chacie wigonie i świeża skóra zabitego wczoraj byka, niedługo ściągnęły do siebie wielkie sępy, zwane kondorami, żywiące się padliną. Już kilku z nich unosiło się w pobliżu chaty, kiedy Indyanin zapytał Leona, czyby nie chciał zobaczyć, jakim sposobem chwytają te olbrzymie ptaki. Łatwo zgadnąć odpowiedź Leona; ciekawy był dowiedzieć się, jak można złapać ptaka, nie pozwalającego zbliżyć się do siebie, nawet na wystrzał fuzyi: czyżby bolasy i jego mogły dosięgnąć?

Kondora wtenczas tylko łatwo schwytać, kiedy tak jest objedzony, że nie może unieść się w powietrze; naczco jest to rzeczą niepodobną, gdyż podejścia używane przez krajowców dla złapania tego ptaka, powiększają jeszcze wrodzoną jego podejrzliwość. Nawet prawa krajowe, nakładające kary pieniężne za zabicie innego gatunku sępów, zwanych ścierwojadami (*cathartes aura* i *cathartes atratus*), ponieważ te oczyszczają kraj z padliny, przyznają nagrodę za zabicie kondora, zrządzającego wielkie szkody w trzodach: lam, alpaki i owiec, których młode unosi i pożera. —

Myśliwi polują na nie jeszcze dla tej przyczyny, że wielkie ich pióra są bardzo poszukiwane w miastach Ameryki Południowej.

Wakeros powiedział Guapowi, ażeby poszedł za nim i poprowadził z sobą dwa konie, sam zaś zabrał tylko długi sznur i skórę zabitego byka. W dość znacznej odległości od chaty, znajdował się dół naumyślnie wykopany; Indyanin położył się w nim i rozciągnął na sobie skórę, odwróciwszy na wierzch jej zakrwawioną stronę. Obecność Guapa z końmi, potrzebną była dla omylenia czujności kondorów, przypatrujących się z wysokości, czy mogą bezpiecznie spuścić się w dolinę. Skoro więc Indyanin ukrył się tak dobrze, że niepodobna go było dostrzedz, Guapo odszedł z końmi, a kondory, przekonane, że już w dolinie niema nic, prócz skóry, którą brały za padlinę, zaczęły się spuszczać na dół.

Wkrótce największy z nich, a zapewne i najżarłoczniejszy, usiadł w pobliżu zasadzki, wolno przybliżał się do niej, po chwili wskoczył na skórę i zaczął ją szarpać dziobem; lecz w tejże chwili skóra się podniosła, kondor zatrzepotał skrzydłami, lecz na próżno usiłował wznieść się w górę: Indyanin trzymał go za nogę; przestraszone tem inne kondory, szybko uleciały.

Leon sądził, że Indyanin wyjdzie zaraz z ukrycia, lecz ostrożny myśliwiec wiedział dobrze, że gdyby odkrył głowę, sęp wydziobałby mu oczy, lub przynajmniej ciężko go pokaleczył; siedział więc pod skórą na ziemi, trzymając ciągle kondora i dopiero kiedy



Schwytanie kondora.

przywiązał mu sznur do nogi, zerwał się raptem i zaczął uciekać jak najprędzej.

Sep, sądząc się zupełnie wolnym, chciał ulecieć w górę wraz ze swą zdobyczą; lecz Indyanin dobrze trzymał za sznurek i dzięki żarłocztwu sępa, nie chcąc go wypuścić swej zdobyczy, potrafił ściągnąć go na ziemię, gdzie przy pomocy Guapa, zdołał przeciągnąć mu przez nozdrza sznurek, poczem przyprowadził go do chaty i przywiązał do białego w ziemię kolka, przy którym miał pozostać, dopóki Indyanin nie namyśli się, co ma z nim zrobić.

XI.

Peruwiańskie drogi w górach.

Polowanie na wigonie i kondory nie wiele zajęło czasu; było więc jeszcze zupełnie rano, kiedy don Pablo postanowił opuścić chatę, w której nieprzyjaciele łatwo mogli go znaleźć, jeśli przypadkiem trafią na jego ślady. Guapo osiodłał konia i muła, umieścił dwie zabite wigonie na grzbietach lam, a kiedy już wszystko było gotowe, podróżni podziękowali Indyaninowi za szczerą jego gościnność i opuścili chatę, kierując się ku wschodowi.

Do wieczora przebyli punę; noc przepędzili w naturalnem zagłębieniu skały, a równo ze wschodem słońca zapuścili się w góry, coraz trudniejszą do przebycia drogą.

Podróźni nasi przebyli wierzcholek Kordylierów i spuszczały się teraz po wschodniej ich pochyłości; za dwa dni najdalej staną już na skraju olbrzymiego lasu, rozciągającego się aż po brzegi oceanu Atlantyckiego. W tym dziewiczym lesie nie było i niema innej drogi nad łożyska rzek i potoków; roślinność taka w nim bujna, że w niektórych miejscach nawet jaguary nie mogą wśród zarośli utorować sobie drogi, a chcąc ścigać dalej swą zdobycz, muszą skakać po wierzchołkach drzew. Don Pablo wraz z rodziną znajdzie wreszcie bezpieczne ukrycie, *montana* już nie daleko, gdyż przez dziwne jakieś nadużycie znaczenia wyrazów, nadano taką nazwę temu dziewiczemu lasowi, co tem więcej zadziwia, że język hiszpański nadzwyczaj jest bogaty w wyrażenia opisowe.

Jedynymi mieszkańcami tej rozległej puszczy są rozsiani w niej gdzieniegdzie dzicy Indianie, przebywający tu od wieków. Hiszpanie nie mogli ich zawojuować w najświetniejszych nawet chwilach swej potęgi, a Portugalczycy w swych posiadłościach rozciągających się na drugim brzegu, nie byli także szczęśliwsi. Równie bezskutecznymi okazały się usiłowania misjonarzy, starających się o nawrócenie ich na łono katolickiego Kościoła i dziś jeszcze, z wyjątkiem znajdujących się gdzieniegdzie, nad brzegami jakiej rzeki śladów po spustoszonej misyi, *montana* (góra) jest równie dziewiczą, jak w czasach, kiedy okręty Krzysztofa Kolumba po raz pierwszy przerywały fale, otaczające brzegi nowego świata.

Hiszpanie nie mogli tam nigdy pozakładać kolonii; wysyłali wprawdzie wyprawy wzdłuż rzeki,

w celu wynalezienia bajecznej krainy *Manoa*, której król, jak mówiono, co rano obsypywał się złotym proszkiem i dlatego nazwano go *el dorado* (złoty); lecz nie odkryto tej wymarzonej ziemi, a osady hiszpańskie nie posunęły się poza najniższe pasmo Andów, zwane Sieras, tworzące jakby najpierwszy stopień tych gór niebotycznych i odległe o dwadzieścia do trzydziestu mil od wielkich miast, znajdujących się na wzniesionych peruwiańskich płaszczynach. Don Pablo przebył już granice oddzielające ten świat dziewiczy od ucywilizowanego świata być może, że napotka gdzie chatę Indianina, lecz z pewnością nigdzie nie znajdzie człowieka białej rasy i coraz dalej zapuszczał się w pustynię.

Lecz, czyż znalazł tę pustynię? Czy znalazł te miejsca, w których jaguar, krokodyl, wampir, węże i tysiące owadów, czołgając się, rycząc i brzęcząc w pośród tej ognistej atmosfery, zdają się wypędzać człowieka i sprzeczać się z sobą o pierwszeństwo? Nie, on wiedział tylko, że wróg nieubłagany krwi jego pragnie, że bez narażenia życia nie mógł wrócić do kraju, że majątek jego zabrany, rodzina pozbawiona chleba i że w tym lesie tylko mógł ukryć się przed zemstą swych prześladowców. Teraźniejszość nie dozwalała mu myśleć o przyszłości.

Ścieżka, wiodąca naszych podróżnych do stóp góry, wydeptana przez zwierzęta, ciągnęła się nad brzegiem szumiącego potoku, toczącego zapewne swe wody ku jednej z tych olbrzymich rzek, których źródła biorą swój początek u pochyłości Andów, na przestrzeni obejmującej dwadzieścia stopni szerokości

geograficznej. Wieczorem podróżni zbliżali się już do stóp góry, lecz droga stawiała się coraz niebezpieczniejszą; wązka ścieżyna należała do tych, które Hiszpanie nazywają *cuesta arriba* i *cuesta abajo* (na wysokości góry i u stóp góry); to wznosiła się raptownie po stromej pochyłości góry, to znów spuszczała się w tak głębokie wąwozy, że światło z trudnością dochodziło do niej.

Podobne drogi znajdują się tylko w Andach; jest to właściwość wyłącznej budowy tego łańcucha gór, w którym często można napotkać rozpadliny głębokie na dwa tysiące stóp, zwane w Południowej Ameryce *quebradas*. Możliwyby mniemać, że cała góra zniknęła gdzieś w przepaści, zostawiając po sobie tak ogromną próżnię; a jednak trzeba wejść do tej otchłani, stanąć na samem jej dnie, spuszczać się ścieżyną, wykutą ręką przyrody w skalistej jej ścianie i miejscami tak wąską, że za ledwie mógł stąpać po niej może. Czasem nad przepaścią, w głębi której bystry potok z szumem toczy swe wody, znajdziesz zawieszony most ze sznurów i pnących roślin, bujający się w powietrzu za każdym twoim krokiem.

Podróżny, przebiegłszy całą Europę, nie może jeszcze powziąć wyobrażenia o dzikości dróg prowadzących przez Andy; niebezpieczeństwa towarzyszące wyprawom w Alpy lub Karpaty, są niczem w porównaniu z temi, jakie grożą podróżującym po drogach peruwiańskich, gdzie za każdym krokiem można utracić życie. Muły ześlizgują się z wąskiej i pochyłej ścieżki, ciężarem swym rozrywają sznurowe mosty, wraz z jeźdźcami spadają w przepaść i rozbijają się

o sterczące skały. Podobne wypadki zdarzają się bardzo często, a pomimo to apatya Spano-Indyan jest tak wielką, że nawet w najwięcej uczęszczanych miejscach, rzadko kiedy znaleźć można most naprawiony, lub drogę dobrze utrzymaną, gdyż tylko zupełne przerwanie komunikacji, może ich skłonić do sporządzenia mostu lub poprawienia drogi.

Ścieżka, którą postępowali nasi podróżni nie była dziełem ręki ludzkiej; czasami niknęła w wodach strumienia, który trzeba było wplaw przebywać; następnie znów wspiwała się na strome skały, poza któremi kryła się w szumiącym potoku, wiodąc za sobą podróżnych, niepewnych, czy ich nie zaprowadzi w jakie niepodobne do przebycia miejsce.

XII.

Spotkanie nad brzegiem przepaści

Znużeni tak długą i niebezpieczną podróżą, wygnańcy musieli noc przepędzić w wąwozie; wyszukali więc trochę mniej kamienistego miejsca, na które remby się można było położyć.

Wyczerpali już zapasy oki i ulluki i mięso wigonia stanowiło całe ich pożywienie; don Pablo patrząc na zwierzęta, zjadające soczyste liście kaktusa opuncyi, zaczął szukać, czy nie znajdzie także jakiej rośliny, któraby przy wieczerzy mogła zastąpić miejsce chleba, lub kartofli. — Długo szukał napróżno,

w końcu Guapo przyszedł mu na pomoc, wskazując dziki *moguey* (agawa), której mięsista łodyga i wyższa część korzenia, stanowi bardzo smaczny posiłek, szczególnie jeśli jest ugotowana z mięsem. Ten gatunek agawy rośnie obficie pośród skał w najbardziej jałowych miejscach; z grubych jej liści, po rozłupaniu, wypływa obficie świeży i orzeźwiający płyn, nieocenioną posiadający wartość dla spragnionego wędrowca. W północnych płaszczynach Meksyku, koczujące pokolenia Apaszów, Komanszów i Nawajosów, gotują tę roślinę z końskim mięsem, stanowiącym główne ich pożywienie; pewna nawet część Apaszów, u których roślina ta nazywa się *mezcal*, została przezwana Mezcaleros'-ami. W wielu częściach Andów dziki *maguey* jest prawie jedyną rośliną, znajdującą się na tym dzikim i jałowym gruncie; jest ona prawdziwym skarbem dla biednych Indyan, zamieszkujących tę okolicę, a dla nas nowym dowodem dobroci Boga, który nawet w pustyniach obmyślił pożywienie dla człowieka.

Nazajutrz, po przebyciu dwóch lub trzech kilometrów drogi, podróżni znajdowali się znów na jednej z tych wąziutkich ścieżyn, które właściwiej byłoby nazwać naturalnym gzymsem wystającym na pochyłości skały; na kilkaset stóp pod niemi toczył się z szumem bystry potok, a po lewej stronie niebotyczne porfirowe skały tworzyły mur nieprzebyty. — Ścieżka miejscami była tak wązka, że muł i koń z trudnością po niej stąpali i na każdym zakręcie nikła poza skałami z przed oczu podróżnych. Chcąc uniknąć niebezpiecznego spotkania się w zwężonych



Spotkanie nad brzegiem przepaści.

miejscach z kimś idącym z przeciwnej strony, krajowcy wydają okrzyki podobne do naszego nawoływania się w lasach i zatrzymują się na szerszej drodze, słuchając, czy im kto nie odpowie poza skalami. Łatwo pojąć, jak straszne niebezpieczeństwo zagraża podróżnym, jeśli zaniedbają tej ostrożności, a ich muly lub lamy zejść się na środku drogi. Jeden z podróżnych musi pozdejmować ciężary z lam i ciągnąć je z tyłu, doprowadzić do szerszego miejsca, co staje się powodem kłótni i bójek i często straszne spowodować nieszczęścia.

Na czele małej karawany siedł muł, na którym siedziała dona Izydora z córką, za nim Leon jechał konno, następnie szły lamy jedna za drugą, a na koniec don Pablo, a za nim Guapo. Potok toczył się z groźnym szumem, powiększającym zawrót głowy podróżnych; sam tylko indyanin siedł śmiało, przyzwyczajony od dziecka czepiać się nad przepaściami. Znajdowali się właśnie na zakręcie drogi, a wystająca skała nie dozwalała im widzieć na kilka kroków dalej, kiedy muł zatrzymał się raptem, okazując tak wielki przestrah, że obiedwie kobiety krzyknęły z przerażenia. Wygnańcy nie umieli sobie wytłumaczyć powodów tego zdarzenia, tem więcej, że na wołanie don Pabla, żaden głos nie odpowiedział z poza skały; za chwilę dopiero spostrzegli wysuwającą się głowę dzikiego byka, a tuż za nią rogi jego towarzysza. Muł przeczuwając, jak straszne zagraża mu niebezpieczeństwo, z rozpaczą przycisnął się do skały i bezwątpienia nie uszedłby śmierci, gdyby go od niej nie wybawiła opiekuńcza ręka.

— Twoje pistolety, panie! — krzyknął Indyanin.

Guapo przesłiznął się pomiędzy nogami lam i konia, podniósł się nawpół przed mułem, wtedy właśnie, kiedy rozwścieczone zwierzę pochyliło głowę, aby rogami utorować sobie drogę. Indyanin wystrzelił dwa razy, a po każdym strzale słyhać było konwulsyjne tupanie na skalistej ścieżce, a po niem głuchy loskot spadającego w przepaść ciężaru. Guapo, przekonawszy się, że za skałą niema więcej nieprzyjaciół, powrócił prędko oznajmić panu, że żadne już nie grozi im niebezpieczeństwo.

XIII.

Krzyż w lesie.

Po dwóch dniach utrudzającej podróży, taż sama ścieżka zaprowadziła naszych wędrowców na szczyt wysokiej góry, tworzącej kąt prosty z głównym łańcuchem; później spuściła się znów na dół, lecz zaledwie widoczna z początku, zniknęła niezaślugo na pokrytej bujną roślinnością pochyłości, nazwanej *Ceja de la Montana*; gdyż nazwę Montany posiada wyłącznie ocean zieloności, rozciągający się na płaszczynie, zaczynającej się u stóp Andów, których najniższą pochyłość, ceję, pokrywa swym zielonym płaszczem.

Ścieżka zarosła dziś zupełnie krzakami i różnymi pnąciami, musiała kiedyś prowadzić do osady odda-

wna już opuszczonej; lecz teraz roślinność zatarła wszelkie ślady pobytu człowieka i Guapo musiał torować drogę, wycinając gałęzie wielkim nożem, zwanym *macheté* i powszechnie używanym w posiadłościach hiszpańskich; służy on zarówno do obrony, jak i do wycinania krzaków, tamujących przejście.

Smutno to wyznać, że Spano-Amerykanie, nie wyłączając Meksykan, cofnęli się wstecz, zamiast się posunąć naprzód; kwitnące niegdyś osady i ludne ich miasta, dziś puste, rozsypują się w gruzy, a uprawiane przez nich pola, znów dzika zarasta roślinność. Indyanie odzyskali napowrót całe prowincye i łatwo byłoby dowieść, że potomkowie Pizara i Korteza pozostawieni własnym swym siłom, już przed kilkudziesięciu laty byłiby wygnani z tej ziemi, dla której podbicia naddziadowie ich tyle popełnili okrucieństw, tak wiele krwi niewinnej przelali. Indyanie odzyskali już znaczną część północnych prowincyj Meksyku, kiedy Anglo-Amerykanie w interesie cywilizacyi, wstrzymali ich postępy. Lecz wróćmy do naszych wygnańców.

Zniknięcie ścieżki nie zadziwiło don Pabla, od dawna spodziewał się tego, myślał tylko, gdzie wraz z rodziną noc przepędzi. — Lamy zmęczone więc jeszcze gorącem, niż drogą, nie mogły iść dalej; szczęściem znaleźli niedaleko malutką łączkę, zatrzymali się więc na niej, a roznieciwszy ogień, upiekli kawałek wigoniowego mięsa. Jeszcze zmrok nie zapadł, kiedy skończyli wieczerzę. Don Pablo był smutny i jakby przygnębiony cierpieniem; Leonora spała na kolanach matki; Leon spostrzegłszy smutek na twa-

rzy ojca, siedział zamyślony, a Guapo zajmował się lamami. Dona Izydora zwróciła się do męża i zmuszając się do uśmiechu, rzekła:

— Czemuż jesteś tak smutny? wszak jesteśmy już bezpieczni; żołnierze wicekróla nie dościgną nas tutaj.

— Tak — odpowiedział smutnie don Pablo — lecz na cóż nam się to przyda? Po to tylko uniknęliśmy śmierci z rąk naszych katów, ażeby tu stokroć gorsze znosić cierpienia; ażeby żyć, jak dzieci, w tym lesie, lękając się co chwila napaści krwiożerczych zwierząt, lub dzikich Indyan i może umrzeć wkońcu wśród strasznych męczarni głodu.

— O! nie mów tego — rzekła — nie słyszałam nigdy, ażeby Indianie tych okolic odznaczali się dziłkością: czemuż więc mieliby zabijać ludzi pragnących jedynie ich dobra, którzy zresztą już przez swe położenie nie mogą im szkodzić? Nie potrzebujemy także obawiać się głodnej śmierci; w tym lesie znajduje się tysiące drzew i roślin, których owoce lub korzenie mogą nam dostarczyć zdrowego i posilnego pożywienia, a któż lepiej od ciebie potrafiłby ich wyszukać? O! nie lękajmy się niczego! Bóg wyzwolił nas z rąk naszych wrogów, uchronił od nieszczęścia w tak niebezpiecznej drodze, czemużby nas tutaj opuścił?

Te pocieszające słowa obudziły nadzieję w sercu don Pablo i nową natchnęły go odwagę; uściśnął żonę i powstał, a na twarzy jego malowało się jakieś silne postanowienie. Po chwili wszedł na wysokie drzewo, pod którem siedziała dona Izydora, spoglądał

bacznie w okół, a przedstawiający mu się widok, wywołał z jego piersi krzyk radosny; długo patrzył w jedną stronę, pogrążony w głębokiem zadumaniu i wtenczas dopiero spuścił się na ziemię, kiedy cienie nocy zakryły przed jego wzrokiem otaczające przedmioty. Napróżno dona Izydora zapytywała go kilka razy, co było powodem jego radości; zatopiony w myślach don Pablo nie słyszał jej i nie odpowiedział.

— Czy odkryłeś jaką tajemnicę, o której nie wolno mi wiedzieć? — zapytała, kiedy stanął przy niej.

— Nie, droga moja żono; przebacz, że odrazu nie uwiadomiłem cię o mojem odkryciu: teraz opowiem ci wszystko.

Dona Izydora usiadła obok don Pablo na pnium drzewa, ściętego przez Guapa, którego gałęzie porąbał na ogień, gdyż znajdowali się w okolicy zamieszkałej przez jaguary i trzeba było przez całą noc utrzymywać wielki ogień, dla odstraszenia tak niebezpiecznego nieprzyjaciela.

— Miałas słuszność, droga Izydoro — powiedział don Pablo — Bóg opiekuje się nami i o tych tylko zapomina, co sami zapominają o sobie; to, co tam widziałem, natchnęło mnie błogą nadzieją, że jeszcze możemy być szczęśliwi. W pośród tego oceanu zieloności rozciągającego się w okół na niedoścignionym okiem przestrzeni, dostrzegłem najprzód błyszczącą się od promieni zachodzącego słońca, wielką rzekę, płynącą w kierunku północno-wschodnim; zadrżałem z radości, przekonany, że jestem w pobliżu rzeki *Madre de Dios*, o której istnieniu powątpiewano, ponieważ została odkryta przez misjonarza, mieszkającego

w tej części lasu, który zginął bez wieści po zniszczeniu misyi, do której należał, nie zostawiwszy wskazówek, pozwalających odszukać wspomnianą rzekę! Pomimo to jestem przekonany, że to jest właśnie owa *Madre de Dios* i patrząc na nią, pomyślałem: «Zbudujemy tratwę i popłyniemy tą rzeką, ona doprowadzi nas do Amazonki, przy jej ujściu znajdziemy posiadłości portugalskie i miasto Para, w niem będziemy zupełnie bezpieczni. Wszakże po głębszym namyśle przekonałem się, że zamiary moje nie dadzą się wykonać; nie już nie posiadamy, pomyślałem ze smutkiem: wrogi wydarli nam wszystko, cóż więc robilibyśmy w Para, czy gdziekolwiek, choćbyśmy nawet przybyć tam zdołali? — Zresztą do tak długiej podróży trzeba mieć znaczne zapasy żywności, a nam może jutro jej zabraknie. Jakże to smutne przeznaczenie cierpieć głód na puszczy lub w wielkim żyć mieście o żebranym chlebie i machinalnie odwróciłem głowę, jakby dla pozbycia się widoku własnej nędzy, której obraz przedstawiała mi wyobraźnia. Wtenczas właśnie wzrok mój zatrzymał się przypadkiem na kilku drzewach chinowych, których różowawa barwa czyniła je wydatnymi na zielonem tle lasu; pocieszony tak szczęśliwym odkryciem, z uwagą spoglądałem w około siebie i wkrótce spostrzegłem w pobliżu tego miejsca, gęste kępy drzew chinowych, zajmujące znaczną przestrzeń ziemi. Wtedy to okrzyk radości wydarł się z mej piersi, gdyż, jak ci wiadomo, kora tych drzew jest najskuteczniejszym lekarstwem przeciwko febrze. Straciliśmy całe nasze miejsce, ale możemy odzyskać go pracą, pomyślałem ura-

dowany; zostanę *cascarillero*sem*); z pomocą Guapa nazbieramy znaczną ilość kory, następnie zbudujemy tratwę i puścimy się rzeką do posiadłości portugalskich, gdzie staniemy już nie jako żebracy, zmuszeni wyciągać rękę i wzywać litości obcych, lecz z zasobem bogactwa, zapewniającego nam dostatnie i wygodne życie.

Najgłówniejszą teraz rzeczą było wyszukanie potrzebnej żywności, zapuściłem więc znowu wzrok w gęstwinę i spostrzegłem, nie dalej, jak o pięćset stóp przed sobą, małą dolinkę, ciągnącą się nad brzegiem strumienia; wkrótce po lśniących liściach poznałem rosnące na niej banany, a w pobliżu nich nieoszacowaną roślinę, zwaną jukka (*jucca*), co dowodzi, że jesteśmy blisko jakiejś osady, lub też miejsca, w którym kiedyś istniała: być może jest to jakaś zniszczona misya, lecz w każdym razie mamy już zapewniony zdrowy posiłek, a co więcej tak blisko drzew chinowych.

— Ach! patrzcie — zawołał Leon, powstając szybko — krzyż! krzyż tam stoi, między drzewami.

Don Pablo z żoną pobiegli w stronę wskazaną przez Leona i zobaczyli krzyż drewniany, cały mchem porosły, na którym jednak można było jeszcze wyczytać ten napis głęboko wryty na jego przekreśleniu:

Brazos de Dios (ręka Boga).

Izydora uchwyciła dłoń męża, a wskazując mu napis, rzekła:

*) Tak nazywają trudniących się zbieraniem kory chinowej.

— Czyż niesłusznie mówiłam, że ręka Boga czuwa nad nami?

XIV.

Opuszczona misya.

Wygnańcy zasnęli spokojnie, pocieszeni myślą, że przy tej dawnej osadzie znajdą zapewne kawałek ziemi uprawionej, na której przechowały się dotąd rośliny zdatne do pożywienia. Wprawdzie, Montana posiada wiele drzew, których owoce są smaczne i zdrowe, wiele roślin, których korzenie służą na pożywienie, lecz nie zawsze można je spotkać; w wielu zaś miejscach roślinność jest tak bujna, że człowiek nie może przedrzeć się przez nią i głębiej w las zapuścić, jeśli nie napotka rzeki.

Co do polowania, to nawet nad brzegami rzek jest niepodobne, z powodu zbytnej gęstwiny; zresztą don Pablo i Guapo nie posiadali broni myśliwskiej, nie mogliby więc korzystać z najszybszej sposobności zaopatrzenia się w zwierzynę.

Krzyż był więc dobrą wróżbą, niewątpliwą oznaką, że w pobliżu istniała kiedyś misya; a don Pablo przebudziwszy się równo ze wschodem słońca, wszedł na drzewo, które mu już raz służyło za obserwatorium, chcąc rozpatrzyć się dokładnie, w jakim kierunku mają odbywać dalszą drogę, gdyż w tej olbrzymiej puszczy trudno jest, bez busoli, trafić do

oznaczonego celu. Często, po całodziennem błakaniu, podróżny wraca wieczorem w to samo miejsce, z którego wyszedł rano.

Rozpoznawszy dokładnie położenie doliny, don Pablo zszedł z drzewa i wraz z Leonem obciążył lamy i osiodłał konia i muła; Guapo tymczasem wycinał krzaki wielkim swym nożem i po niejakiem czasie natrafił na ślady drogi, wiodącej ku dolinie i dotąd jeszcze niezupełnie zarosłej; w godzinę potem radosne okrzyki podróżnych zwiastowały ich przybycie na miejsce. Przed nimi, nad brzegiem wody, wznosiły się wielkie drzewa z rodziny bananowych: banany (*musa paradisiaca* i *musa sapientum*), liście mają szerokie, gładkie, połyskujące jak atlas i długie na cztery do pięciu metrów, owoce zaś zebrane w tak wielkie grona, że każde z nich waży pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kilogramów. Owocami z drzew, rosnących w tej dolinie, można było wyżywić setki osób. Nieco dalej od rzeki, na mniej wilgotnym gruncie, znajdowała się równie użyteczna roślina, wysoka na cztery do pięciu metrów, gruba jak ręka w kostce: była to roślina *maniok* (*jatropha manihot*), której korzenie dostarczają kassawę, zwaną także maniokiem, to jest mąkę, zastępującą ludom Ameryki Południowej, powszechnie znaną w Europie psenną mąkę.

Prócz chleba i bananów znaleźli tam jeszcze wiele smacznych owoców, jak mangostany, gwajawy, pomarańcze i soczyste cytryny. Wietrzyk poruszał jedwabiste liście trzciny cukrowej i kołysał żółte jej kłosa; dalej znaleźli drzewka kawowe, okryte dojrzałymi jagodami i drzewa kakao (*Theobroma cacao*),

z którego nasion wyrabiają czekoladę. Następnie spotkali drzewko, podobne do pomarańczowego, był to gatunek ostrokrzewu, herbata paragwajska, *yerba mate* krajowców, *ilex paraguensis* uczonych. Jakże trudno byłoby opisać radość biednych wygnańców, kiedy torując sobie drogę wśród powojów i bujnych chwastów, za każdym prawie krokiem czynili nowe odkrycia; nawet Guapo ucieszył się szczerze, rozpoznawszy listki koki, swego ulubionego przysmaku.

Widać jakiś poczciwy zakonnik posadził tutaj te drzewa, pielegnował je starannie, marząc, że założy w tem miejscu klasztor i tę część puszczy zamieni w kwitnącą osadę; później wybuchło powstanie Juana Santos albo może późniejsze Tupaka Amaru. Dzicy rzucili się na zakonnika z wściekłością, jaką w nich budził widok każdego białego, a domek misyi spalili. Teraz nie było nawet śladu jakiegobądź budynku i bez rozumnego połączenia wszystkich tych roślin, nadającego temu zakątkowi ziemi podobieństwo do owocowego ogrodu, niktby się nie domyślił, że to miejsce było kiedyś zamieszkane.

Kiedy już pierwsza radość minęła, podróżni zaczęli zastanawiać się, co im nadal czynić wypadało i po krótkiej naradzie postanowili wybudować domek w środku ogrodu i zamieszkać w nim przynajmniej na czas jakiś.

Następnie zdecydowali się zabić biedne lamy; Guapo lubił je bardzo, lecz wiedział, że i tak gorąco wkrótceby je zabiło. Zresztą choć mięso ich nie jest zbyt smaczne, miało wielką wartość dla naszych po-

dróżnych nie posiadających innego, welna zaś i skóra mogły być korzystnie użyte.

XV.

Guako i wąż koralowy.

Guapo podjął się wykonać ten smutny wyrok na biednych lamach; poczem zdjął z nich skórę, mięso zaś pokrajał w cienkie pasy i porozwieszał na drzewie, ażeby wyschło na słońcu. Osuszenie to było niezbędne do przechowania mięsa, które bez tego wkrótce uległoby zepsuciu, gdyż podróżni nie mieli soli: jest to zresztą zwykły u Spano-Amerykanów sposób konserwowania mięsa. Chociaż w tym kraju sól znajduje się obficie nietylko w głębi ziemi, ale na jej powierzchni i w niektórych jeziorach, handel stoi na tak niskim stopniu, że w wielu miejscach trudno jej dostać.

Suszone mięso wołowe, Meksykanie nazywają *tajaso*, Peruwianie *charqui*; baranina zaś tak przyrządzona nazywa się *chalona*, ponieważ lama należy do jednej z baranami rodziny; Indyanin nasz przyrządził *szalonę*.

Reszta podróżnych nie próżnowała także. Don Pablo z Leonem oczyszczali miejsce, na którym domek miał stać, a Izidora po raz pierwszy w życiu zajmowała się praniem, z pomocą małej Leonory, pragnącej dopomóc matce. Skądże wzięły mydła?

spytacie zapewne; don Pablo, jak wiecie, był dobrym botanikiem, a w pobliżu rosło drzewo, należące do gatunku zapianowatych, nazywane przez Indyan *parapara*, przez podróżnych: drzewem mydlanem (*sapindus saponaria*); woda pieni się, skoro jagodami tego drzewa pociera ktoś bieliznę, a ta piana oczyszcza z brudu, równie jak najlepsze mydło; z pięknych pestek tych jagód, oczyszczonych z miększu, misyonarze wyrabiają koronki i różańce. Leon bawiąc się nimi, przekonał się, że odskakują, jak elastyczna piłka.

Wygnańcy zadowoleni z tak dobrego użycia czasu, usiedli wieczorem na pniu obalonego drzewa, ażeby spocząć po całodziennych trudach. Dona Izidora przyrzadziła kawę (Guapo, pomimo tak pospiesznej ucieczki, zabrał niezbędnie potrzebne naczynia kuchenne) i okazało się, że rosnąca tam kawa była wyborną; należała do tego oddzielnego gatunku uprawianego w Peru przez misjonarzy i tak wysoko cenionego, że wicekrólowie przesyłali ją królom hiszpańskim. W miejsce cukru użyto syropu z trzciny cukrowej, a pieczone banany zastępowały chleb.

Kiedy zjadali smacznie, rozmawiając wesoło i czyniąc żartobliwe uwagi nad zastawą stołu, tak daleką od dawniejszego przepychu, posłyszeli wołanie: *Guako! Guako!*

— Ktoś cię woła — rzekł Leon do Indyanina, a tenże sam głos powtórzył znów: «Guako! Guako!»

— To ptak węża — odpowiedział Guapo, który, jako urodzony w tym lesie, znał większą część zamieszkujących go zwierząt.

— Ptak węża! — zawołał Leon ciekawie.

— Tak, młody mój panie; spojrzysz, siedzi tam na drzewie.

Leon spostrzegł ptaka, wielkości gołębia, podobnego do krogulca; po rozdzielonym, jak u jaskółek, ogonie, po locie i kształcie ciała, łatwo w nim było poznać gatunek kani. Ptak powtarzał ciągle swój okrzyk, skacząc z gałązki na gałązkę i śledząc oczyma jakiś przedmiot znajdujący się na ziemi, jeszcze ukryty przed wzrokiem podróżnych; wkrótce jednak dostrzegli na ścieżce wiodącej na brzeg rzeki, węża, mającego blisko jeden metr długości. Całe jego ciało w paski czerwone, czarne i żółte połyskiwało się za każdym poruszeniem; czerwony kolor przeważał i od niego widać pochodziło nazwisko gadu, gdyż don Pablo i Guapo krzyknęli razem: «Wąż koralowy!» Pomimo swej piękności jest to najjadowitszy gad w Ameryce Południowej; dobrze o tem wiedział Guapo, dlatego, chcąc go zabić, pochwycił za kij; ale don Pablo powstrzymał go, mówiąc:

— Nie spiesz się tak, zobaczymy, jak sobie z nim ptak postąpi.

Zaledwie don Pablo przestał mówić, guako rzucił się na węża, chcąc go uchwycić za szyję; lecz musiał się cofnąć, gdyż gad zwinawszy się w kłęby z szybkością błyskawicy, wyciągnął ku niemu groźną swą głowę z błyszczącymi oczyma. Guako zawrócił się i uderzył z drugiej strony, ale wąż równie jak ptak, szybki w swych ruchach, udaremnił i ten powtórny atak. Guako rozdrażniony tym oporem zaniechał wszelkiej ostrożności; dziobem i szponami ude-

rzeź nieprzyjaciela, a sądząc, że tym razem omyli jego przezorność, natarł na niego z przodu, pewny, że zdoła pochwycić go za gardło, zanim wąż pomyśli o obronie; lecz głowa gadu poruszona nagłym ruchem dotknęła się ptaka, który uciekł, wydając krzyk wściekłości i bólu. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, sądząc, że za chwilę padnie martwy, gdyż ukąszenie węża koralowego w kilka minut odbiera życie człowiekowi. Lecz guako usiadł na pniu drzewa, koło którego obwijała się pnąca roślina, której liście zaczął polykać coprędzej, a kiedy zjadł ich kilkanaście, rzucił się znów na swego przeciwnika, leżącego w tem samym miejscu i w takiej samej postawie, jak go zostawił, odlatując. Teraz jeszcze zacieklejsza rozpoczęła się walka: ptak walczył z podwójną odwagą i ufnością, wąż stawiał rozpaczliwy opór. W końcu guako uderzył węża w głowę, pochwycił za szyję, uniósł na drzewo i pożarł.

Guapo ucieszony widokiem tej walki, choć nie raz już widział podobną, pobiegł do drzewa oplecionego liśćmi, które ptak polykał i przyniósł ich kilkanaście swemu panu; don Pablo poznał, że należały do rośliny z rodzaju *mikania*, zwanej pnączem guaka lub *mikanią guaco*. Indyanin nie wiedział naukowego nazwiska tej rośliny, ale znał doskonale szacowne jej własności; widział, jak za jej pomocą leczono ukąszenie grzechotnika, a nawet centkowanej żmii, tych najzjadliwszych gadów w Ameryce.

Posiekał więc drobniutko liście tej rośliny, potem włożył je w kawałek płótna i wycisnął z nich sok; następnie końcem swego noża porobił sobie lek-

kie nacięcia na piersiach, pomiędzy palcami i na wielkich palcach nóg; w te rany zaszczerpił sok mikanii, nacierając potem świeżymi listkami; w końcu pożył pewną ilość tychże samych liści i połknął łyżeczkę ich cudownego soku. Po ukończeniu operacji, Guapo oświadczył, że jest zabezpieczony od ukąszenia jadowitych gadów.

Z początku wygnańcy opierali się namowom Indyanina, chcącego im także zaszczerpić mikanię; lecz po kilku dniach, kiedy każdego z nich o mało co nie ukąsiła żmija, lub *jararaka* (*craspedocephalus*), don Pablo uznał za rzecz stosowną poddać się wraz z rodziną tej operacji, którą też Guapo wykonał bardzo zręcznie.

XVI.

Lasek palmowy.

Po drugiej stronie rzeki znajdowała się wielka kępa drzew palmowych, na które Indyanin spoglądał chciwie okiem, gdyż w tak gorącej okolicy jest to drzewo najlepsze na budowlę, tem więcej, że dostarcza różnorodnych materyałów. Niestety wszystkie te palmy rosły na przeciwnym brzegu, po tej zaś stronie nie było ani jednej. Rzeka dość wązka z początku, w dolinie rozszerzała się nagle, przybierając postać jeziora i dopiero pośród skał niedostępnych wracała do swego łóżyska. Guapo pływał, jak ryba,

ale don Pablo wraz z synem, jako wychowañcy wielkiego miasta, nieszczególnymi byli pływakami, sam zaś Guapo nie mógł pościnać wszystkich drzew i przeciągnąć ich na przeciwną stronę. Po głębokim namyśle postanowiono przeprawić się na drugą stronę nieco opodal, gdyż przy końcu doliny, rzeka zwęzłała się tak dalece, że można było przebyć ją za pomocą długiej deski, której niestety! nie mieli; ale szczęściem, na przeciwnym brzegu rosło pyszne drzewo, zwane *cejba*, mogące ten brak zastąpić. Guapo przymocował siekiere do ramienia, rzucił się w rzekę i wkrótce ją przepłynął. W chwilę potem odgłos silnych uderzeń siekiery rozległ się między skałami. Guapo wymierzał razy w stronę drzewa, zwróconą ku rzece; tak samo postępuje bóbr, budujący sobie mieszkanie, a wszakże Guapo był rozumniejszy od niego.

W pół godziny później, drzewo zaczęło pochyłać się zwolna; don Pablo przerzucił swe łąasso Indyani-nowi, ten przymocował jeden jego koniec do gałęzi, do drugiego przywiązał kamień i cisnął go napowrót don Pablowi. Znowu uderzenia siekiery przerwały ciszę pustyni: jeszcze kora pozostawiona w całości po drugiej stronie, chroniła drzewo od upadku. Guapo uderzył w nią tak silnie, że drzewo runęło z trzaskiem, a wierzchołek jego oparł się na przeciwnej stronie, prawie u stóp don Pabla, który kierował jego upadkiem. Ścięte drzewo utworzyło most zawieszony między dwiema skałami.

Pomimo to wyprawa do lasu palmowego była nader niebezpieczną; jakże to łatwo dostać zawrotu

głowy, stając po pniu drzewa leżącego nad przepaścią, na której dnie fale rzeki roztrącały się z strasznym szumem o skaliste ściany. Dona Izydora odechnęła swobodniej, gdy don Pablo z synem stanęli szczęśliwie na przeciwnym brzegu i nie tracąc czasu, zaczęła trzeć korzenie manioku na kassawę.

Rozmaitość gatunków drzew palmowych, znajdujących się w lasu, naprowadziła don Pabla na domysł, że musiały tam być zasadzone ręką zacnego misjonarza, którego staraniom zawdzięczali już ogród, dostarczający im pożywienia.

— Nie wiem — zawołał — czy świętobliwy ten człowiek był dominikaninem, franciszkaninem, czy jezuitą, ale jestem przekonany, że był uczonym ogrodnikiem i z zamięłowaniem poświęcał się swej sztuce. Może nie wielu nawrócił Indyan, ale to pewno, że nie tylko myślał o zbawieniu ich duszy, ale także i o doczesnych ich potrzebach; gdyż niema jednej użytecznej rośliny lub drzewa, mogącego utrzymać się w tym klimacie, któregooby nie było w tym zakątku ziemi. Cóżto za pyszne palmy, a nadewszystko jaka ich rozmaitość! Jak widać, sprowadzał je z najodleglejszych brzegów Amazonki.

Najpiękniejsze drzewa na świecie, zamieszczone pod ogólną nazwą drzew palmowych, budzą żywą ciekawość w tych wszystkich, którzy ich nigdy nie widzieli; wiem, że i wy, moi czytelnicy, radzibyście byli zobaczyć te pyszne kolumny, uwienieczone ogromnymi liśćmi, o których trudno mi dać wam dokładniejsze wyobrażenie. Wiele, bardzo wiele o nich powiedzieć można, ale opis taki za dużo zabralby

nam miejsca. Samo tylko botaniczne opisanie wszystkich palm znanych, utworzyłoby tom tak gruby, jak cała ta książka i mielibyście tylko suchą nomenklaturę, czyli rodzaj katalogu wcale nie zajmującego.

Zapewne ze słyszenia znacie już niektóre gatunki palm, jak na przykład: sagowiec, kokos, daktylowiec, kapustę palmową i może sądzicie, że nie wiele więcej istnieje ich na świecie; zadziwicie się więc, kiedy wam powiem, że opisano już sześćset gatunków zupełnie odmiennych. Ponieważ największa część tych drzew znajduje się w najmniej znanych okolicach ziemi, być może, że istnieje ich więcej jeszcze, jak dwa razy tyle. Nie sądzcie, aby domysł taki był przesadzonym, gdyż palmy rosnące w jednym miejscu, często na malej przestrzeni, nie znajdują się nigdzie dalej. Blisko połowa znanych gatunków rośnie po większej części na wyspach starego świata; reszta przypada na Amerykę, lecz tam spotykamy je na stałym lądzie. — Nietylko sama piękność zaleca te drzewa; prawie wszystkie gatunki dostarczają człowiekowi użytecznych materiałów, oraz smaczny i zdrowy pokarm: są narody żywiące się prawie wyłącznie sokami i owocem niektórych palm.

Ponieważ bogactwo płodów krajowych może wielki wpływ wywierać na przeznaczenie narodu, łatwo pojąć, jak wysoką posiadają wartość rośliny użyteczne, jak na przykład *olejowiec* (*elais*), gatunek palmy rosnącej w Afryce. Wydaje on owoc, z którego wyrabiają oliwę palmową, używaną dawniej tylko do wyrobów mydlanych; lecz kiedy świeższe doświad-

czenia przekonały, że w fabrykacji świec nie ustępuje woskowi, zaczęto zakupywać go w znacznej ilości na wybrzeżach Gwinei, a książęta murzyńscy przekonawszy się, że lepiej wychodzą, kiedy każą wyrabiać swym poddanym oliwę, niż kiedy ich samych sprzedają, zaprzestali w wielu miejscach handlu niewolnikami. Tak więc jedna użyteczna roślina skuteczniej przyczyniła się do zniesienia tak niełudzkiego zwyczaju, niż długoletnie usiłowania filantropów i rządów ucywilizowanych.

XVII.

Domek palmowy.

Jak tylko don Pablo wszedł do lasu palmowego, jedno z drzew zwróciło na siebie szczególniejszą jego uwagę: była to *patawa*, należąca do rodzaju *aenocarpus*, którego wiele gatunków znajduje się w Ameryce Południowej, żaden z nich jednak nie jest piękniejszy od patawy, której pień wznoszący się na 20 metrów, uwieńczają piękne pierzaste liście, opatrzone przy podstawie wznoszącymi się w górę kolcami, mającymi blisko metr długości. Młode patawy nie są tak piękne, gdyż nie zrzucają kolców i całe są nimi najeżone; ogołocone z nich starsze drzewa, mają pień wysmukły, prosty i gładki, mający blisko jeden metr obwodu. Indianie używają kolców patawy na strzały, które ciskają za pomocą rurki, zwanej *sarbakaną*,

którą poniżej opiszemy. Pod liśćmi jej wiszą ogromne grona owalnych, ciemno-fioletowych owoców, wielkości śliwki: można z nich bardzo łatwo otrzymać doskonały napój. Wrzucają owoce w naczynie, napelnione gorącą wodą, którą odlewają po kilku minutach i zastępują zimną, rozgniatają w niej owoce rękami, dopóki pestki nie odejdą, następnie przecedzają i napój gotowy; wyborny smak jego przypomina smak śmietany i tureckich orzechów.

Podobny napój otrzymują także z owoców zbliżonych kształtem do naszych terek, pochodzących z innego gatunku palmy, zwanego *assai*. Napój ten, powszechnie używany w posiadłościach portugalskich, jest pięknego, fioletowego koloru i gęsty, jak śmietana: piją go z chlebem z kassawy, tak, jak u nas kawę, lub mleko.

Don Pablo nie dla owoców zamyslał ściąć patawę: w pięknym tem drzewie widział przede wszystkim doskonały materiał na słupy do ścian i belki, mające podtrzymywać dach jego domu. Guapo zabrał się do roboty i wkrótce wykonał rozkaz swego pana, który tymczasem szukał jakiej mniejszej palmy na krokwie i bale; jakoż niedługo spostrzegł *katingę* (*euterpe*), należącą do tegoż gatunku, co dopiero wspomniane przez nas *assai*. Katinga jest cienka, chociaż dochodzi do 13-tu metrów wysokości; gładki jej pień zdobią pierzaste liście, nieco podobne do liści patawy, lecz tem się od nich różniące, że od dołu są zamknięte w rodzaju kolumny, w górze której tworzą kapitel na wierzch się wydobywając. Ta kolumna czerwona, na kilka stóp wysoka, oddziela liście od owoców,

których grona, czyli raczej *kolby*, gdyż tak nazywają pęki kwiatów i owoców palmowych, tworzą się u jej podstawy i nadają katingie niezwykłą postać. Inną jeszcze cechą tej palmy, którą znajdujemy w wielu innych gatunkach, stanowi to, że korzenie jej wystają ponad ziemię, łączą się z sobą stożkowato w pewnej nad nią wysokości i na nich dopiero wyrasta pień drzewa.

Z owoców katingi mniejszych od owoców *assai*, wyrabiają także napój, który wiele osób przekłada nad otrzymywany z patawy.

— Panie — rzekł Indyanin — tam dalej w lesie widzę palmę *biussiu* (*bussu*), która nam dostarczy wszystkiego, co nam potrzebne do pokrycia dachu.

Guapo wskazywał drzewo niskie, pokrzywione, z pniem głęboko obrączkowatym, zupełnie odmienne od wszystkich palm tam rosnących. Pień jego miał zaledwie cztery metry wysokości, ale jakież zdobiły go liście! Dwa lub trzy tuziny liści olbrzymiej wielkości, długich na dziewięć do dziesięciu metrów, a szerokich na półtora, wznosiło się prawie prostopadle z wierzchołka dziwacznej palmy, nazwanej przez Guapa, *bussu*! Brzegi tych olbrzymich liści, całe w swej powierzchni, to jest bez ząbków i wykrawków, rozwijają się po obu stronach środkowej żyły, od której znów idą drobniejsze żyłki, rozchodzące się w linii przekątnej od środka do brzegów. Jeśli te liście mają służyć na pokrycie dachu, przecinają wzdłuż środkową ich żyłę i każdą połowę liścia przytwierdzają ukośnie do krokwi, tak, ażeby każda żyła leżała w kierunku prostopadłym i zastępowała miej-

sce rynny. Kilka liści wystarcza na pokrycie dachu, który może przetrwać lat dwanaście, jeśli był dobrze wykonany.

Indianie tak wielką cenę przywiązują do tych liści, że zamieszkujący okolice, w których te drzewa nie rosną, odbywają po nie czółnem kilkodniowe podróże. Z włóknistej, brązowego koloru pochwki, pokrywającej kwiaty tego drzewa, wyrabiają bardzo dobre worki, w które krajowcy chowają farby, służące im do centkowania ciała i wiele innych potrzebnych im rzeczy. Pochewki te, rozwinięte, mogą służyć na pokrycie głowy. Guapo spożytkował w ten sposób pierwszą, jaka mu wpadła w ręce.

Teraz trzeba było jeszcze znaleźć palmę, którą łatwo było rozłupać na łaty, deski i ławki. — Po krótkich poszukiwaniach znaleziono odpowiednie drzewo; była to *pashjuba*, z rodzaju *iriartea*. Gładki pień tego pięknego drzewa wyrasta na dwadzieścia pięć stóp, a na jego szczycie wznosi się kolumna grubsza od unoszącego ją pnia, przypominająca opisaną powyżej, kiedy mówiliśmy o katindze, lecz zielona, a więc odmiennego od tamtej koloru. Pierzaste liście wychodzące z tej kolumny były także odmienne od liści katingi, składały się z trójkątnych listeczków, powycinanych na brzegach i obsadzonych nieregularnie na wspólnym ogonku. Pashiuba odznacza się szczególnie ułożeniem swych korzeni, wyrastających ponad ziemię; korzenie te bardziej rozwinięte, jak u katingi, wyrastają na trzy do czterech metrów i u góry łączą się z sobą razem, tworząc pod spodem stożkowatą próżnię; pomiędzy korzeniami znaj-

duje się tyle wolnego miejsca, że można wygodnie wejść w środek tej szczególnej piramidy. Wyobraźcie sobie człowieka, stojącego w środku tego pęku kolumny z korzenia, pod pniem drzewa, którego liście kołyszą się na dwadzieścia pięć metrów nad jego głową.

Wiele jest rozmaitych gatunków palm, należących do gatunku *iriartea*: najwięcej z nich wydaje owoce żółtego lub czerwonego koloru, owalne, gorzkie i niezdatne do jedzenia, lecz za to drzewo ich jest wyborne na różne wyroby. Drzewo *pashiuby* naprzykład jest miękkie wewnątrz, a na zewnątrz twarde i bardzo łatwo daje się łupać*).

Kiedy już poćcinane drzewa, wyrobiono stosownie do celu, na jaki przeznaczal je don Pablo, powiązano z sobą wszystkie sztuki pnącem, zwanym *sipo* i tym sposobem utworzono tratwę, na której ułożono liście z palmy busu i znaczną ilość owoców pawtawy i katingi. Guapo wsiadł na tratwę, aby ją przyprowadzić do przeciwnego brzegu, a don Pablo z Leonem, przebywszy most z cejby, stanęli na sam czas, aby dopomódz do wylądowania.

Nazajutrz wkopano słupy i założono podwaliny, drugiego dnia ułożono ściany z bambusu (*bambusa gradua*), rosnącego obficie w dolinie, gdyż, jak widać, te olbrzymie trawy, szczególnie upodobały sobie okolice, rozciągające się u podnóża Andów; na koniec uło-

*) Taką twardość zewnętrzną w porównaniu z miękkością wewnętrzną tkanki, spotykamy nie tylko u tego rodzaju palm, ale także u wszystkich roślin jednoliściowych, które przeciwnie dwuliściowym, rozstają się z wewnątrz, i u których nowe słoje znajdują się w samym środku pnia.

żono liście biussiu i podróżni spoczęli pod własnym dachem.

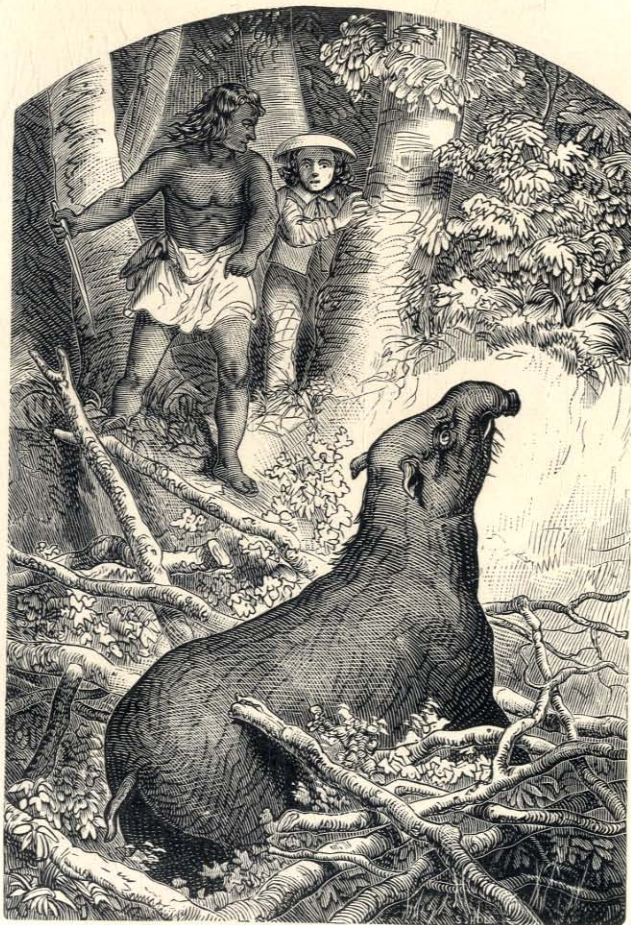
XVIII.

T a p i r .

Powiedzieliśmy już wyżej, iż rzeka tak dalece rozszerzała się w dolinie, że podobniejszą była do jeziora, lub przynajmniej do wielkiego stawu. Woda w środku bieżąca, na brzegach była stojąca. Tam wśród irysów i lilii wodnych rozkwitała pyszna wiktorya-regia, której w piękności żaden kwiat nie dorówna *).

Codzień wieczorem, kiedy podróżni zabierali się do wieczerzy, dochodziły do nich od rzeki jakieś dziwne odgłosy, jak gdyby ktoś pływał i pluskał się w wodzie; czasami znów słyhać było coś podobnego do kwiczenia przestraszonej świni. Było tam bezwątpienia zwierzę, ale jakie? Może to *aligator*, mówiły dzieci, lecz aligatory znajdują się powszechnie w rze-

*) Liście tej pięknej rośliny okrągłe i w kształcie tarczy (to jest środkiem przyrośnięte do gałązki), mają od półtora do dwóch metrów średnicy i otoczone są brzegiem szerokim na dziesięć do piętnastu centymetrów, ze spodu koloru jasno-zielonego, świetnie czerwonego z wierzchu. Wonne jej kwiaty, często bardzo licznie nagromadzone na jednym miejscu, mają czterdzieści centymetrów średnicy, są białe i różowe, a korona ich składa się z kilkuset listków.



Zasadzka na tapira.

kach krajów zwrotnikowych; w tej nie widziano ich nigdy. W dzień nigdy nie było słyhać pluskania i kwiku tak zaciekawiającego Leona i Leonorę, ale co wieczór z pewnością można go było oczekiwać. W końcu Guapo powiedział, że to był tapir, przychodzący użyć nocnej kąpieli i posilić się korzeniami irysów (kosaćcu) i lilii wodnych.

Temu, kto nigdy nie widział tapira, trudno dać o nim jakie takie wyobrażenie: zwierzę to, największe ze wszystkich, oddawna zamieszkujących Amerykę Południową, jest co się nazywa *sui generis*, czyli do siebie tylko podobne. W kształtach jego jest coś przypominającego wielkiego wieprza i coś z kształtów osła; lecz nogi jego są niższe, jak u tego ostatniego, a uszy nie tak długie; na nadzwyczaj krótkim ogonie wyrasta zaledwie kilka twardych szczecin; nos przedłuża się w rodzaj malej trąby, ruchomej w całej swej długości i wystającej po nad niższą wargą; prosta i krótka grzywa przedłuża się aż do czoła, na którem tworzy rodzaj grzebienia, dochodzącego aż do oczu; tylne nogi opatrzone są tylko trzema palcami, przednie czterema; wielkość taka, jak bardzo dużego osła: wszystko razem tworzy całość najcieńszą i najmniejgrabniejszą, jaką sobie wyobrazić można.

Tapir jest zwierzęciem zupełnie nieszkodliwym, nawet we własnej obronie nie używa swych mocnych szczęk, opatrzonych czterdziestu dwoma zębami; napastowany, w ucieczce szuka ratunku, a kiedy go nieprzyjaciół doścignie, bez walki pozwala się zabić. Żyje samotnie, zaledwie niekiedy można go spotkać w towarzystwie samicy, która naraz jedno tylko

miewa młode i opiekuje się niem z najczulszą troskliwością, dopóki samo nie może zaspokoić swych potrzeb; poczem rozstają się i nigdy już nie łączą z sobą.

Powiadano, że tapir jest zwierzęciem ziemnowodnem, zajmującym w Ameryce miejsce hippopotama i nosorożca, tych mieszkańców starego świata: w rzeczywistości jednak jest mniej wodnem zwierzęciem, niż szczególnie hippopotam; a chociaż szukając pożywienia w rzekach, bagnach i jeziorach, może przez kilka minut zostawać pod wodą, jednak znacniejszą część czasu przebywa na ziemi. W suchem miejscu ściele sobie legowisko z suchych liści i śpi w niem przez cały dzień, wychodzi zaś dopiero wieczorem; jednak kiedy deszcz pada, nie zawsze oczekuje nocy, aby wyjść na żer. Tak, jak wieprze, lubi tarzać się w błocie; lecz nigdy nie wraca do legowiska, nie obmywszy się dobrze w czystej wodzie.

Jakby na własną swą zgubę, tapir ma zwyczaj, zawsze jedną drogą wychodzić i wracać do swojej kryjówki; tym sposobem po kilku dniach ślady jego są widoczne dla każdego i wtenczas bardzo łatwo wprowadzić go w sidła. Guapo niedługo odszukał ślady kąpiącego się codzień w jeziorze i postanowił go schwycić: tak, jak wielu z jego współziomków, namiętnie lubił to twarde i nieprzyjemnego smaku mięso, budzące wstępną w delikatniejszych podniebieniach; prócz tego już nie wiem, na jaki użytek potrzeba mu było skóry tapira. Ta skóra, ciemno brązowa i prawie gładka, tak jest twardą, że robią z niej nieprzebite puklerze i dlatego Indianie wysoko ją cenia.

Nazajutrz rano, zaledwie w godzinę po wschodzie słońca, Guapo udał się na polowanie, zabrawszy z sobą Leona: za całą broń służył mu nóż wielki i rydel. Leon nie mógł się domyślić, na co może się przydać rydel, skoro tapir nie ukrywa się w jamie. Przebyli most, weszli do palmowego lasu i wkrótce wpadli na trop zwierzęcia: tapir pozostawił ślady nóg, przechodząc przez błoto. Tego właśnie było potrzeba Indianinowi; zatrzymał się i zaczął rydlem kopać dół, między dwiema palmami, właśnie w środku drogi, którą przechodził tapir. Leon wykopaną ziemię wkładał na liść z bursztynu i odciągał ją na stronę; w godzinę cała ta praca została ukończoną. Następnie Guapo nazbierał cienkich gałęzi, ułożył je nad otworem dołu i tak starannie i zręcznie przysypał trawą i liśćmi, że nawet lis nie domyśliłby się zasadzki. Teraz trzeba było obudzić tapira; Guapo wiedział, że jest nie daleko, jak o siedmset lub ośmset metrów; zalecił więc Leonowi głębokie milczenie, dopóki nie staną na miejscu. Szli zatem bardzo ostrożnie, czolgając się w wielu miejscach, gdzie odchyleniem gałęzi mogliby narobić szelestu. Kiedy już uszli około czterechset metrów, spotkali mały pagórek, zasłany poobalanami drzewami, na który weszli.

Guapo zatrzymał się, postąpił kilka kroków, znów się zatrzymał, skinął na Leona i palcem wskazał na niskie, lecz gęste krzaki, w pośród których można było dostrzedz jakąś brązową, zupełnie nieruchomą bryłę: był to uśpiony tapir. Guapo poszedł w jedną, Leon w drugą stronę; spotkali się z sobą w niejakej od zwierzęcia odległości, zawrócili i już

bez żadnych ostrożności zaczęli zdążać wprost ku niemu. Kiedy byli zaledwie o kilka kroków od legowiska, usłyszeli trzaskanie łamiących się gałęzi i ujrzeli zwierzę, uciekające galopem, z głową schyloną pomiędzy nogi: może nieraz zdarzyło wam się widzieć osły biegnące w tej postawie. Tapir zdążył zwyczajną swą drogą, chcąc, jak widać, skryć się w rzece przed nieprzyjacielem. Guapo i Leon pobiegli za nim, lecz wkrótce znikł im z przed oczu, ale kiedy zbliżyli się do zasadzki, Indyanin spostrzegł go szamocącego się w dole.

— Schwytań! — krzyknął radośnie i w tejże chwili wskoczył w rów, z wielkim swym nożem w rękę. Nie obawiał się tapira, wiedział dobrze, że go nie ugryzie; ale z pośpiechu źle swój skok obrał: pośliznął się i upadł na zwierzę, a zanim zdołał powstać, tapir wydobył się na wierzch i po ciele Indyanina, jak po wschodach, wybiegł z dołu. Leon pośpieszył zabiedz mu drogę, lecz uciekający tapir nie zważał na przeszkody: przewrócił Leona, który potoczył się aż pomiędzy drzewa, a zanim obydwaj myśliwi stanęli na nogi, głośnie pluskanie oznajmiło im, że zwierzę nie obawiało się już pogoni.

Guapo, rozgniewany takim niepowodzeniem, ze wstydem wracał z polowania z próżnemi rękami, a rachując na swoją zręczność i doświadczenie, przyrzekł Leonowi, że zwierzę dostanie się w ich ręce; tapir ciężko upokorzył jego miłość własną, i z tego powodu goręcej jeszcze zapragnął jego skóry i mięsa, a przechodząc koło rzeki, zawołał groźnie:

— Plywaj, twarda skóro! plywaj i kryj się pod wodą; pomimo to wpadniesz ty jeszcze w moje ręce.

XIX.

Zatrute strzały.

Niepowodzenie w czasie polowania na tapira, skłoniło Guapa do zaopatrzenia się w nową broń. Już przedtem zamyślał zrobić sobie *sarbakane*, zwaną także *grawatana*, lub pokuna (*pocuna*); nawet nie bez trudu przysposobił już sobie potrzebne do tego materiały.

Najprzód dla zrobienia potrzebnej rurki, ściął dwa pnie palmy, należącej do gatunku *iriartea*. Palma ta, nazywana przez Indyan *pashiuba miri*, nie wyrosta wyżej, jak na sześć do siedmiu metrów, a nie bywa grubsza, jak ręka w kostce. Jej korzenie wznoszą się także stożkowato po nad ziemię, lecz wyrostają zaledwie na kilka cali. Pnie, ścięte przez Guapa nierównej były grubości: jeden miał objętość kija od grabi, drugi zwyczajnej laski; obydwie były puste, gdyż Guapo wyjął z nich rdzeń, obciążwszy je pierwszej stosownie do potrzeby, to jest, zostawiając im około trzy metry długości.

W grubszą z tych rurek Indyanin wsunął cieńszą, starając się, aby przystawały do siebie, jak można najszczelniej. Każda dobra *sarbakana* musi być tak zbudowaną, gdyż inaczej nie byłaby dość prostą,

co jest główną zaletą tej broni; tym zaś sposobem rurki prostują się wzajemnie i sarbakana staje się mocniejszą. Następnie korzeniem paproci drzewiastej wygładził zupełnie sarbakane wewnątrz i zewnątrz; w cieńszym jej końcu założył munsztuczek drewniany, na grubszym zaś obsadził ząb paki, ażeby mu łatwiej było brać na cel zwierzyne; w końcu, dla przyozdobienia swej broni, obwinał ją wężykowato lśniąca korą pewnego gatunku pnączu i sarbakana była zupełnie skończoną.

Teraz trzeba było jeszcze zrobić kolczan, strzały i przygotować truciznę, gdyż strzały wyrzucane z sarbakany nie zadawałyby ran śmiertelnych, gdyby w krew ofiary nie zaszczepliły jadu trucizny. Mogą one być wyrobione z trzciny i z wielu gatunków drzew, lecz najlepszym na nie materiałem są kolce patawy, o której wspominaliśmy wyżej.

Kolce patawy są zupełnie czarne, często na jeden metr długie, nieco splaszczone i tej grubości, co gruby drut.

Guapo poprzecinał je prawie na połowę, zakończył bardzo ostro i ponacinał na siedm, lub ośm centymetrów nad ostrzem, tak, aby zatruta część strzały pozostała się w ranie, choćby ugodzone zwierzę usiłowało ją wyrwać. Drugi koniec obwinał jedwabnistym włóknem cejby, układając je coraz to cieniej ku środkowi i przymocował je nitką z aloesu. Do uzupełnienia dzieła już tylko trucizny trzeba było: Guapo znał doskonale wszystkie sposoby przyrządzania jej, co u Indyan rzadko się trafia, gdyż tam sami tylko *piaches'sy*, to jest kapłani, zajmujący się zara-

zem leczeniem chorób, posiadają tę sztukę. Są pokolenia, w których nikt nie umie przyrządzać trucizny do strzał i muszą drogą za nią płacić i długie po nią odbywać podróże.

Ta sławna trucizna znana jest pod wielu nazwiskami, z których najbardziej używane są: *kurara*, *tukuna* i *wouraly*. Jest to jedna z najjadowitszych znanych substancyj, równie straszna w swych skutkach, jak jawański upas (*strychnos tieute*), lub bób Świętego Ignacego, jeśli połączy się z krwią, choćby za pomocą lekkiego uklucia; lecz spożyta, staje się zupełnie nieszkodliwą i bywa używaną przez Indyan, jako środek wzmacniający żołądek.

Guapo przyniósł z lasu pęk drobnych gałązek, z których poobrywał drobne, podługowate, białawo-zielone, śpiczasto zakończone listeczki: był to pnącz kurara, zwany także mawakurą (*mavacure*), który don Pablo poznał, jako należący do rodzaju kulczyby (*strychnos*). Indyanin, korę i bielmo z tych gałązek utarł na rodzaj żółtawego ciasta, które włożył w lejek z liścia figi Adamowej, pokrytego kawałkiem liścia z bussu i przymocowanego do ramki z włókna palmowego, umieścił lejek nad otworem naczynia ogniotrwałego, nalał na ciasto zimnej wody i zaraz płyn żółtawy zaczął spływać do naczynia. Kiedy już wszystka woda przeszła przez ciasto, znajdujące się w lejku, Guapo postawił naczynie przy ogniu, a skoro płyn przez wyparowanie doszedł do wymaganej gęstości, dodał do niego płynnej gumy, wyciśniętej z wielkich liści *kirakaguera*; kurara utraciła wtenczas swój żółtawy kolor, a przybrała czarny, z powodu

rozkładu wodnika węgla, którego wodoród, wypalając się, pozostawił sam węgiel.

Trucizna była gotową; Guapo umaczał w niej kilkanaście strzał i ułożył je starannie w kolezanie, wyrobionym z kolanka trzciny bambusowej, resztę zaś trucizny wlał we flaszkę z wysuszonej tytkwy, którą zakorkował korkiem z palmowego drzewa.

Opierając się na zdaniu niektórych misjonarzy, a nawet na powadze pana de la Condamine, długo mniemano, że same wyziewy z kurary są bardzo szkodliwe i że dla przyrządzenia jej Indianie wybierają najstarsze kobiety, których życie mało jest cenione, i które zawsze padają ofiarą od tego zabójczego zatrudnienia. Zdanie to okazało się mylne, gdyż, jak to nadmieniliśmy wyżej, Indianie zażywają kurarę, jako środek wzmacniający, a Guapo przyrządzając ją, kosztował kilka razy, chcąc dojść po jej goryczy, czy już jest dość zgęszczoną.

Nie wszyscy Indianie w Ameryce Południowej zatruwają strzały mawakurą; niektórzy używają w tym celu korzenia, zwanego *kurara raiz*; inni znów pomieszanych z sobą soków *ambihuaski*, tytuniu i czerwonego pieprzu, z dodatkiem kory z pewnego gatunku jakwini, nazywanej *barbasco* i rośliny, zwanej *sarnango*: z tych wszystkich najsilniej działa *ambihuaska*, lecz ten rodzaj trucizny, jako składający się z wielu części, trudny jest do otrzymania.

Zaledwie Guapo skończył te przygotowania, kiedy głośnie świegotanie, przerywane niekiedy przeraźliwym krzykiem, zwróciło na siebie uwagę całej rodziny, a wkrótce ujrano stado wielkich ptaków,

obsiadające wierzchołek wysokiego drzewa, na którym już nie tak hulaśliwie świegotaly, niby prowadząc z sobą dalszą rozmowę; przyczepiwszy się do gałęzi, przebiegały je w różnych kierunkach z równą łatwością chodząc po nich z głową na dół i grzbietem zwróconym ku ziemi, jak i w mniej niedogodnej pozycji. Te ptaki mogły mieć czterdzieści pięć do pięćdziesięciu centymetrów długości; ciało ich było pokryte pięknymi czerwonymi i niebieskimi piórami, metalicznie błyszczącymi, dziób był zupełnie biały: don Pablo oznajmił, że to są *ary czerwone*.

Indianin zabrał swą sarbakaną i strzały, wciśnął się w gęstwinę aż pod samo drzewo, na którym ptaki siedziały i przez czas jakiś pozostał tam nieruchomie; potem włożył strzałę w sarbakaną, podniósł ją i przyłożył do ust, przy których, pomimo długości tej broni, przytrzymywał ją, przysunawszy rękę do ręki, co wielkiej wymaga wprawy. Następnie nadał policzki i w tejże chwili ujrano, jak ugodzona ara usiłowała wyrwać dzióbem strzałę, która w tem szamotaniu złamała się przy nacięciu i zatruty koniec pozostawiła w ranie. W kilka minut potem ptak zachwiał się na nogach, stracił równowagę, czas jakiś wisiał na gałęzi, przyczepiony do niej krzywymi szponami, a wkońcu spadł na ziemię; tymczasem Guapo drugą strzałę założył w sarbakaną i nową położył ofiarę, a nie zaprzestał rzucać pocisków, dopóki choć jeden ptak pozostał na drzewie. Kiedy Leon pobiegł pod drzewo, znalazł tam szesnaście zabitych ptaków; strzały tkwiły w rozmaitych miejscach, pomimo to każdy pocisk zadawał raz śmiertelny, a ku-

rara działa tak szybko i pewnie, że kilka chwil wystarczyło na pozbawienie ich życia.

Łatwo pojąć, dlaczego Indianie wolą wychodzić na polowanie z sarbakaną, niż z fuzyą. Zaraz za pierwszym strzałem, wszystkie nieugodzone ptaki by-lyby uleciały w powietrze; zresztą wystrzałem z fu-zyi trudno zabić ptaka, siedzącego na wierzchołku drzewa, wśród osłaniających go gałęzi, kiedy przeciwnie, strzała z sarbakany wznosi się bez szelestu na trzydzieści do czterdziestu metrów w górę, a najłżejsze jej zadraśnięcie śmierć zadaje. Zdaje się, że z tej broni łatwiej ugodzić w przedmiot zostający w pe-wnej wysokości, choćby był umieszczony zupełnie prostopadle, niż trafić w cel znajdujący się w każdym innym kierunku. Indianie utrzymują, że ich strzały pewniej dosięgają ptaka znajdującego się na wierz-chołku drzewa, niż siedzącego na krzaku.

Ponieważ, jak powiedzieliśmy, można bez obawy połykać kurare, tem więcej da się zastosować do zwierzyny, ubitej zatrutą strzałą. W Ameryce Połu-dniowej znajdują się nawet smakosze, którzy drób swój każą zabijać strzałami, umaczanymi w kura-rze, utrzymując, że tym sposobem nabiera lepszego smaku.

XX.

Drzewo mleczne.

Wtenczas właśnie, kiedy przyniesiono upolowane ary, mała Leonora przybiegła z nad brzegów jeziora, wołając:

— Mamo, widziałam wielką świnię.

— Gdzie, kochanko? — zapytała Izydora, oba-wiając się, czy dziecko nie bierze za świnię szkodli-wego jakiego zwierzęcia.

— W jeziorze, wśród irysów i lilii.

— To tapir — zawołał Leon — Carambo! to nasz tapir.

Guapo oskubywał zabite ary, lecz na te słowa Leona, zerwał się raptem, a piękne, błękitne pióra, tumanem wzbily się w górę.

— Gdzie, seniorito? — zapytał Leonory.

— Tam, w jeziorze, przy samym brzegu.

Indianin schwycił sarbakaną i przyczolgał się do jeziora, Leon w tenże sposób postępował tuż za nim. Kiedy już byli blisko brzegu, Guapo zatrzymał się, podniósł głowę i spostrzegł zwierzę do połowy za-nurzone w wodzie, które, jak widać, przestraszone niedawną pogonią, sądziło się bezpieczniejszem na tym, jak na przeciwnym brzegu. Guapo skinął na Leona, ażeby pozostał na miejscu, sam zaś, czołgając się dalej, znikł wkrótce z przed oczu młodego pana, wstrzymującego oddech, aby nie spłoszyć tapira. — Biedne zwierzę, nie obawiając się napaści, zajaśniało spokojnie, wyrывая korzenie irysów trąbą i zębami: nagle zatrzymało się i poruszyło niespokojnie, znów jeść zaczęło, lecz już nie tak żarłocznie; po raz drugi zaprzestało, zachwiało się na nogach i upadło na dno rzeki: działanie kurary pozbawiło je życia.

Guapo krzyknął radośnie, skoczył w rzekę i przy-ciągnął tapira do brzegu, gdzie już znajdowali się wszyscy podróżni, chcąc jak najprędzej zobaczyć tak

ciekawe zwierzę. Uszczęśliwiony swą zdobyczą Indianin, przyciągnął je do domu z pomocą don Pabla i Leona, i starannie zdjął z niego skórę, którą przeznaczal na podeszwy do sandałów i inne przedmioty do swego wyłącznego użytku. Spory kawałek mięsa tapira upieczono na kolację, lecz nikt go jeść nie mógł, z wyjątkiem Guapa, który się niem nasycił do woli; podróżni zaś ze smakiem zajadali ary, duszone z cebulą i czerwonym pieprzem: w istocie, była to bardzo smaczna potrawa, ale dla amerykańskiego podniebienia.

Zaraz po ukończeniu palmowego domku, don Pablo przedsięwziął zaopatrzyć go jak najprędzej w potrzebne sprzęty i statki, i nieraz późno w nocy pracował wraz z Guapem, aby je wykończyć, jak można najspieszniej.

Może pomyślicie sobie, moi czytelnicy, jakże mogli pracować w nocy bez lampy, lub świecy.

Otóż powiem wam, że mogli suto oświecić swój domek. U podnóża Andów rośnie jedno z najpiękniejszych i najwyższych drzew palmowych, jest to drzewo *woskowe* (*ceroxylon andicola*). Wosk występujący na wierzch pnia tej palmy, jest równie dobry, jak wydobywany z naszych ulów i zaraz po zebraniu może być użyty na świece. Misyonarze wyrabiali zazwyczaj z niego świece, palące się przy ceremoniach religijnych. W Ameryce Południowej znajduje się jeszcze inna palma woskowa, zwana *kanauba*, albo *kopernikija* (*copernicia cerifera*), której liście ze spodu pokryte są zupełnie białym i niepomieszanym z żywicą woskiem. Lecz gdyby nawet nasi wygnańcy nie byli

znaleźli tych dwóch gatunków palm i tak mogliby pracować w nocy, gdyż w owocach patawy znajduje się oliwa, paląca się doskonale i dająca piękne światło.

Może także sądzicie, że ponieważ w tej okolicy nie było soli, ani słonych jezior, że skoro wygnańcy nie posiadali krowy, kozy, lub oślicy, musieli się obchodzić bez mleka i soli; w takim razie mylicie się: w pobliżu rosło drzewo mleczone; *arbol del leche*, zwane także *palo de vaca* (drzewo krowie); prosty i bardzo wysoki pień jego zdobiły szerokie, podługowate, spiczasto zakończone liście, dochodzące do trzydziestu centymetrów długości. Drzewo mleczone wydaje owoce wielkości brzoskwini, zawierające jedną lub dwie pestki i zdatne do jedzenia; drzewo jest bardzo cenione z powodu swej trwałości i piękności słoju; sławę swą jednak zawdzięcza głównie krążącym w niem sokom, zupełnie podobnym do mleka, gęstego jak śmietana.

Sok ten, pożywny jak mleko krowie, do którego zupełnie zbliża się smakiem, wypływa za lekkim nacięciem kory. Zbierają go zazwyczaj o wschodzie słońca, gdyż wtenczas wydziela się najobficiej, jak na przykład słodkie soki klonu i innych tego rodzaju roślin. Niektóre osoby piją to mleko tak, jak wycieka z drzewa; inne utrzymując, że jest zanadto gęste i przesycone gumą, dolewają do niego trochę wody i cedzą przed użyciem. Kawa i herbata bardzo z niem smaczna; pozostawiona czas jakiś w otwartem naczyniu, zsiada się na wierzchu. Tę śmietaną krajowcy bardzo lubią i nazywają serem; prócz tego może być

użytą zamiast kleju w najkosztowniejszych robotach stolarskich.

Teraz wypada nam jeszcze powiedzieć, jakim sposobem sól otrzymali. Kto, tak, jak wy, moi czytelnicy, możecie ją mieć na każde zawołanie, nie potrafi wyobrazić sobie, jak dalece czują jej brak ci, co jej nie posiadają; nawet dzikie zwierzęta przychodzą zdaleka szukać wód słonych, znajdujących się w obszernych pustyniach amerykańskich. Za sól, wygnańcy nasi oddaliby chętnie cukier, kawę, owoce, banany, nawet kassawę, z której chleb piekli. Niedaleko rosło kilka gatunków *aji*, czyli *capsicum*, to jest pieprzu; wszystkie ich potrawy były więc korzeniami zaprawiane, ale to nie mogło zastąpić soli. Guapo widząc, że brak tej koniecznej przyprawy tak ciężko czuć się daje jego towarzyszom, że prawie wprowadza ich w jakiś stan chorobliwy, postanowił koniecznie wystarać się o nią; wiedział, że z owoców pewnej palmy można otrzymać sól, wyszedł więc rano poszukać jej na drugim brzegu rzeki. Tam, w miejscu bagnistem rosła niewielka palma, korzenie jej były prawie zanurzone w wodzie, mogła mieć do trzydziestu centymetrów obwodu, a ośm do dziesięciu metrów wysokości; wierzchołek jej wznosił się na sześćdziesiąt do siedmdziesięciu centymetrów po nad pękiem liści pierzastych, ostro zakończonych: była to *jara* z rodzaju *leopoldinia*. Pod liśćmi wisiały gęste grona owoców, nieco splaszczone, koloru żółtawozielonego, wielkości brzoskwini. Guapo wdrapał się na gładki pień jary, poobrywał owoce i z dobrze naladowanym workiem powrócił do domu.

Podróżni nie mogli się domyślić, na jaki użytek mogą służyć tak nieznosne gorzkie owoce, lecz Indyanin, nie odpowiadając na zapytania, rozpałił wielki ogień pod spodem pieca, w który wysypał owoce, a kiedy te przepaliły się zupełnie i obróciły w biały jak mąka popiół, podróżni przekonali się z radością, że ten popiół posiadał smak soli, wprawdzie nie tak dobrej, jak ta, którą zazwyczaj używamy, lecz zawsze zdalny do przyprawy potraw.

XXI.

Drętwa elektryczna i rybki ludożercze.

Niedługo potem nieprzewidziany wypadek o mało co nie pozbawił życia jednego z członków rodziny don Pabla. Dzień był nadzwyczaj gorący; zaledwie od rzeki zawiął czasem wietrzyk chłodniejszy. Leon, znużony upałem, postanowił ochłodzić się w zimnej kąpieli i kiedy wszyscy byli zajęci jakąś robotą wewnątrz domu, rozebrał się i z rozkoszą zanurzył się w rzece. Woda przy brzegach była tak płytka, że mógł bezpiecznie stąpać po dnie rzeki; ale Leon pragnął zostać tak dobrym pływakiem, jak Guapo, więc dla nabrania wprawy, skierował się ku środkowi i zaczął pływać.

Wypada nam tu nadmienić, że sam don Pablo zachęcał go do wydoskonalenia się w tej, tak potrzebnej dla każdego mężczyzny, sztuce. Leon wypłynął

więc aż na środek jeziora, szczęśliwy, że już bez wysilenia potrafi utrzymać się na jego powierzchni, gdy nagle uczuł silny ból, pochodzący od ukąszenia jakiegoś zwierzęcia; a zanim zdołał pomyśleć o zawróceniu się do brzegu, tenże sam ból tak dotkliwie dał mu się uczuć w kilku razem miejscach, że nie mógł powstrzymać się od krzyku. Kiedy na ten krzyk przybiegli rodzice z wiernym Guapem, sądząc, że tonie, lub że krokodyl go ściąga, spostrzegli, że usiłuje zbliżyć się do brzegu, ale nie widzieli, aby płaz jaki podążał za nim.

Na zadawane pytania Leon odpowiedział tylko:

— Zwierzę jakieś mnie gryzie.

Woda wokół niego krwią się zafarbowwała, co gdy spostrzegła dona Izydora, zaczęła wołać z rozpaczą:

— Ratujcie go, ratujcie!

Don Pablo z Guapem rzucili się w rzekę i wkrótce wynieśli Leona na brzeg; krew sączyła się z kilkunastu ran, ale teraz wiadano już, kto je zadał. Mnóstwo drobnych rybek, popielatych na grzbiecie, od spodu zaś i na skrzylach pomarańczowego koloru, ściągało swą ofiarę z otwartymi pyszczkami. Szczęściem, wybawcy niedługą mieli do przebycia drogę, gdyż żarłoczne rybki, widząc, że im zabierają tak smaczny kąsek, zaczęły się do ich nóg przyczepiać.

— To rybki ludożercze! — zawołał Indyanin — ale nie lękaj się, mój młody panie, ja się zemszczę za ciebie.

Guapo zaniósł Leona do domu, tam dopiero opa-

trzano rany; w wielu miejscach kawałki ciała były wygryzione i gdyby dalej od brzegu został napałdnięty, może nie zdołano go uratować, tak wielka ilość rybek otoczyła go w jednej chwili. Nieraz już ludzie silni i zdrowi, napastowani przez nie, na środku jakiej wielkiej rzeki, padali ofiarą ich tysięcznych ukąszeń, zanim zdołali dopłynąć do brzegu. Te okrutne małe kariby, czyli, jak je nazywają *caribitos*, gdyż *carib* znaczy ludożerca, leżą spokojnie na dnie rzeki, tak, że się obecności ich domyślić nie można; lecz, jak tylko jedna z nich rzuci się na dostrzeżoną przez siebie ofiarę, a kropelka krwi popłynie z zadanej przez nią rany, cała żarłoczna gromada rzuca się na swą zdobycz i rozszarpuje ją swemi trójkątnymi zębami.

Rany Leona, jakkolwiek bolesne, nie były jednak niebezpieczne, byleby nie dopuścić zbytniego upływu krwi, a pocziwy Guapo i temu zapobiedz potrafił.

Na mimozie, rosnącej tuż przy domu, już przedtem zauważano brunatne gniazda mrówek pięknego zielonego koloru, zwanych *formica spinicollis*; gniazda te z bawelnistego puchu, zbieranego przez mrówki na ładnym krzewie z gatunku melastomów, są doskonałym środkiem do zatamowania krwi, o czym Guapo dobrze wiedział. Sam nawet don Pablo słyszał, że Indianie przykładają je w tym celu do ran i były mu znane pod nazwiskiem *yesca de hormigas*, to jest mrówczej hubki; zapewniano go nawet, że gniazda zielonych mrówek są skuteczniejsze od gniazd mrówek z Hajeny, które przywożą aż do Europy, gdzie

są bardzo cenione. Guapo przyniósł tę osobliwą hubkę opatrzoną nią Leona, a rany jego natychmiast się zamknęły i można było być pewnym, że niedługo zupełnie wyzdrowieje.

Tego samego dnia wieczorem, innego rodzaju wypadek ostrzegł naszych wygnańców, że w wodach jeziora ukrywa się nowe niebezpieczeństwo. Po wieczery usiedli przed domem, chcąc użyć świeżego powietrza; muł, puszczonej wolno, pobiegł napić się w rzece i nie przeczuwając niebezpieczeństwa, do polowy wszedł w wodę.

Nagle zanurzył się prawie cały i widocznie usiłował wydostać się na ziemię; chrapał głośno, nozdrza rozdzieliły mu się gwałtownie i zdawało się, że oczy wyjdą mu z głowy; w końcu rozpaczonym rzutem dosięgnął do brzegu, ale potoczył się i w gwałtownych konwulsjach tarzał się na piasku. Jeden tylko Guapo pojmował przyczynę tak nagłej choroby, gdyż widział, że pod brzuch zwierzęcia wśliznął się gatunek wodnego, zielonawo żółtego węża, długiego na półtora metra, a grubego na dziesięć do dwunastu centymetrów; był to wielki węgorz elektryczny, zwany *temblador*, lub *drętwa elektryczna*. Drętwa, przyczepiona pod spodem muła, całem swem ciałem pozostawała z nim w zetknięciu, a przez to uderzenie elektryczne nie utraciło nic z swej siły. Muł niedługo przyszedł do siebie, ale tak był przestraszony, że odtąd ani pieszcotami, ani biciem nie można było skłonić go, aby wszedł do rzeki, lub przynajmniej zbliżył się do jej brzegów.

Guapo pomyślał także, jak wielkie groziło mu

niebezpieczeństwo, kiedy tyle razy wplaw przebywał rzekę i tem bardziej postanowił wywiązać się z ucynionej obietnicy, pomszczenia się na karibach, za jego przestרח i zadane mu rany. W tym celu wyszukał korzeni dwóch gatunków roślin, z których jedna należała do piscideów, druga do jakwiniów; utłukł je na miazgę i wycisnął z nich truciznę, znaną pod nazwą *barbasco* i używaną przez Indyan Południowej Ameryki, jako środek ułatwiający połów ryb. Guapo wiedział, że pewna ilość tej trującej cieczy, pozbawi życia nie tylko kariby i drętwy, ale i innych mieszkańców rzeki; pobiegł w to miejsce, gdzie rzeka zaczynała się rozszerzać i rzucił truciznę, która, dzięki powolnemu biegowi wody, zmieszała się z nią po jakimś czasie i zabieliła fale jeziora. Jeszcze trucizna nie przeniknęła do dna rzeki, kiedy już na jej powierzchni ukazały się drobne pośnięte rybki, potem ujrano większe, a w pośród nich znajdowały się drętwy; lecz najwięcej ucieszył Leona widok kilkuset karibów, na płask i nieruchomie leżących na powierzchni wody. Jednak Guapo nie samą tylko zemstę miał na celu; wiedział, że półmiskiem ryb ucieszy swych towarzyszy, a ponieważ wraz z don Pablem zrobili wielką sieć, skorzystał z tak dobrej sposobności i naładował cały kosz, wybierając, co najlepsze; kariby niepoślednie wśród nich trzymały miejsce, gdyż te drobne potworki, smakiem i delikatnością mięsa, równają się najlepszym rybom, zaludniającym rzeki Południowej Ameryki. Odtąd Leon i Guapo mogli bez obawy pływać po jeziorze, oczyszczonem ze swych niebezpiecznych mieszkańców, a kiedy przy wiecze-

rzy zajadali kariby, śmiali się, rozmawiając o ran-
nem zdarzeniu i o przestrachu mula.

XXII.

Drzewa chinowe.

Powiedzieliśmy już, że dom don Pabla był zupełnie skończony i zaopatrzony w potrzebne sprzęty, a wszedłszy wewnątrz, ujrzelibyście: pudełka wyrobione z palmowych liści, worki z włóknistych poche-
wek bussu, napchane jedwabistą bawełną z cejby, przeznaczone do uprzedzenia tkanki na koszule i suknie. Znaleźlibyście tam koszyki różnego kształtu i wymiaru, uplecione z kory liściowych gałązek palmy, zwanej *iú* (*astrocaryum*), nie mającej pnia, tylko same liście na trzy do czterech metrów długie, wyrastające przy samej ziemi; spoczęlibyście na krzeselkach z palmowego drzewa i bambusu, około wielkiego i pięknego stołu nakrytego obrusem z jedwabistych liści bananu; za naczynia stołowe służyłyby wam talerze, półmiski, filiżanki i butelki z kory tykwy, nazwanej *crescentia cujete*. Znajdowały się tam naczynia z jednej strony śpiczasto zakończone: były to poprostu pochwy kwiatowe wielkiej palmy, nazywającej się *inaga* (*maximiliana regia*), mającej trzydzieści cztery metry wysokości i liście pierzaste, długie na siedmnaście metrów. Palmy, o których mówimy, są tak duże, że Indyanie używają ich za kolebki dla swych dzieci,

a drzewo tej palmy tak jest twarde, że myśliwi wyrobione z niego kociołki zawieszają nad ogniem, napelnivszy je pierwaj wodą. Były tam także rozmaite narzędzia: w kącie leżał walek gęsto nasadzony kółcami, była to tarka do tarcia juki, z której robiono maniok; tarkę tę stanowił kawalek wyrastającego nad ziemię korzenia *pashiuby*, o której wspominaliśmy wyżej; nad nim wisiał *tapiti*, to jest śpiczasty worek, utkany z włókien palmowych, w niższej jego części znajduje się rodzaj ucha, przez które przechodzi mocny kij: w takim worku wyciska się utarty maniok, aby po odłączeniu soku został przerobiony na kassawę.

Worek taki przywiązuje się do mocnej belki, silnie przytwierdzonej do ściany i dopóty przyciska się koniec kija, służącego tu za dźwignię, póki nie odpłynie wszystka ciecz, znajdująca się w worku; tak wyciśnięte i utarte na mąkę korzenie, kładą w piec, a po zupełnem wysuszeniu pieką z nich chleb: większa część mieszkańców Ameryki Południowej nie zna innego chleba. Osad, znajdujący się w naczyniu, w które spływa ciecz wyciśnięta z manioku, tworzy substancję znaną powszechnie pod nazwą *tapioki*.

Dwa są gatunki juki: słodką można bezpiecznie jeść surową, gorzka spowodziłaby śmierć prędką i niewątpliwą, gdyż zawarty w niej sok jest najzjadliwszą trucizną roślinną; dlatego przy wyrabianiu kassawy strzegą się, aby dzieci, lub zwierzęta nie pokosztowały zabójczego płynu, wyciekającego z worka.

W całym jednak domu nie znaleźlibyście ani jednego łóżka; w Ameryce Podzwrotnikowej zaledwie znają ten sprzęt, tak u nas konieczny. W krajach

tak gorących, gady i owady oblegałyby śpiącego na łóżku i dlatego używają tam hamaków; a w domku wygnańców było ich pięć. Guapo upłócił je z zewnętrznej tkanki liścia pięknej palmy *tucum (astrocaryum)* i pozawieszał jedne wewnątrz, drugie zewnątrz domu, którego pokrycie wystawało, tworząc rodzaj werendy; tam po trudach dziennych wygnańcy używali wieczornego chłodu.

Teraz don Pablo postanowił zająć się pracą, mającą całej rodzinie szczęśliwą zapewnić przyszłość; już oddawna przypatrzył się drzewom chinowym i poznał, że należą do najlepszego gatunku, wydającego powszechnie poszukiwaną korę, znaną w handlu pod nazwiskiem kaskaryli z Kuzko.

Korę sprzedawaną za kinkinę, zbierają z dwudziestu do trzydziestu rodzajów drzew, wśród których znajdują się bezwątpienia drzewa chinowe, czyli kina, wydająca prawdziwą chinę; lecz do nich mieszają wiele eksostemów, z których niektóre nie mają żadnej lekarskiej wartości.

Gatunek, pokrywający wzgórze w pobliżu domku don Pabla, zbliża się bardzo do *cinchona condaminea*, rosnącej w okolicy miasta Loxa i dostarczającej najlepszej kory; dochodzi do dwudziestu siedmiu metrów wysokości, wydaje liście na trzynaście centymetrów długie, a sześć do siedmiu szerokie. Piękny różowawy kolor tych liści, już zdaleka pozwala odróżnić kinę od innych drzew, co ułatwia bardzo pracę kaskarylerosów, trudniejszą i mozolniejszą, niżby się to na pierwszy rzut oka zdawało. Drzewa chinowe nie znajdują się razem w znacznej ilości, są przeciwnie po-

rozsiewane w pośród zupełnie obcych gatunków, a często nawet zupełnie odosobnione.

Taż sama uwaga ściąga się do wszystkich drzew, składających *montanę*; kiedy w każdym lesie Ameryki Północnej rośnie wyłącznie jeden lub dwa gatunki drzew, w lasach Południowej panuje nadzwyczajna różnaitość, i wszystkie gatunki są z sobą pomieszane bezładnie, co nadzwyczaj utrudnia eksploatację; jedyna tylko *mauritia flexuosa* żyje towarzysko i tworzy nawet rozległe lasy.

Słusznie więc don Pablo cieszył się nie tylko gatunkiem, ale także ilością drzew swoich; widział piękne ich liście, powiewające na przestrzeni zajmującej najmniej akr szerokości, a zbiór taki był prawdziwym bogactwem. Wiedział, że jeśli mu się uda zebrać sto tysięcy funtów kory i doprowadzić ją na tratwach aż do ujścia Amazonki, z łatwością ją tam sprzeda za jakie dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków i nie będzie już potrzebował obawiać się nędzy. Podtrzymywany tą błogą nadzieją, postanowił natychmiast zabrać się do pracy, nie rachując, jak długiego będzie potrzebował czasu na spełnienie tak trudnego przedsięwzięcia.

XXIII.

Powolna para.

Po ukończeniu niezbędnych przygotowań, don Pablo wraz z całą swą rodziną poszedł drogą wio-

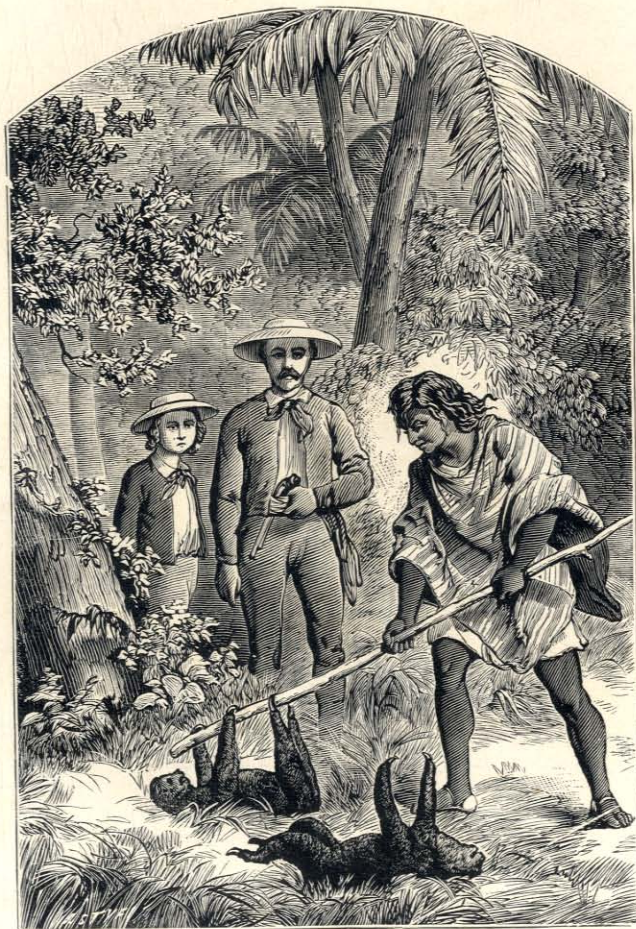
dającą ku chinowym drzewom. *Mancha*, gdyż tak nazywają kawałek gruntu, na którym rośnie znaczna ilość tych drzew, była tak blisko domu, że konia i muła pozostawiono w stajni, gdzie zjadały owoce *marumuru*, palmy z innego gatunku *astrocarym*; wieprze i dziki z chciwością wydobywają pestki tych owoców z gnoju końskiego i krowiego, nawet czarne sępy, zwane *samuros*, nie pogardzają tym soczystym owocem, zwłaszcza, kiedy są głodne.

Zaledwie dzień zaświtał, a już kaskarylerosi udali się w drogę; jak widzicie, nie lenili się do pracy, wiedząc zwłaszcza, że w tak gorącym klimacie najmiłsze są chwile poranne i wieczorne, a upał dzienny odejmuje chęć i siły do roboty. Droga, ciągnąc się wzdłuż rzeki, doprowadziła ich do kępy pięknych drzew, o pniu białym i srebrzystych liściach. Drzewa te swem ugałężeniem i prostym wysmukłym pniem, zbliżają się bardzo do palm, choć zupełnie do innej należą rodziny: don Pablo nazwał je *ambaibas*; lecz w języku uczonych znane są pod nazwą *cecropia peltata*.

— Nie zadziwiłbym się wcale — mówił don Pablo — gdybyśmy tu spotkali dziwne zwierzę, żyjące na gałązkach tego drzewa i żywiące się jego liśćmi.

— Zapewne mówisz o leniwcu, mój ojcie — rzekł Leon, który już nieraz czytał i słyszał o tem zwierzęciu.

— Tak — odpowiedział don Pablo — nazwano go leniwcem z powodu wrodzonej mu ociężałości i nadzwyczaj powolnego chodu, lecz dla naturalistów jest



Guapo i leniwcę.

to *bradypus*. Dwa, lub trzy gatunki tych zwierząt podzielili naturaliści francuscy na odrębne rodzaje, nie zważając na zgodność obyczajów, cechujących te dziwne zwierzęta.

— Czytałem w dziełach Buffona — mówił Leon — że ze wszystkich zwierząt leniwiec jest najbardziej upośledzonym, że gotów przepędzić całe życie na jednym drzewie, a skoro poobjada z niego wszystkie liście, dobrowolnie spada na ziemię, aby uniknąć trudów złażenia; po ziemi zaś chodzi tak wolno, że przez godzinę zaledwie dwa metry ująć potrafi.

— Opis ten nie zgadza się z prawdą, moje dziecię — rzekł don Pablo — wprowadź leniwiec nie umie szybko chodzić po ziemi, ale też cała jego budowa dowodzi, że przeznaczeniem jego jest żyć na drzewie: tam potrafi wystarać się o żywność i zabezpieczyć swoje potrzeby. Z łatwością utrzymuje się na gałęziach, czyli raczej pod gałęziami, gdyż wbrew zwyczajom małp i wiewiórek, chodzi po nich obrócony grzbietem do ziemi; dopomagają mu do tego zakrzywione i tak długie pazury, że może nimi objąć najgrubszą gałąź: w tej postawie, za pomocą bardzo długiej szyi, złożonej z dziewięciu kręgów, czego nie spotykamy u żadnego innego zwierzęcia, z łatwością liście wokół siebie objada; śpi w takiejże samej postawie. Myli się także Buffon, utrzymując: że, aby nie schodzić z drzewa, umyślnie z niego spada. Leniwiec bez koniecznej potrzeby nie zlati na ziemię, ale z łatwością przechodzi z drzewa na drzewo, a jeśli gałęzie zanadto są oddalone, umie korzystać z po-

wiewu wiatru, przechylającego je ku niemu, aby je pochwycić i przebyć tym sposobem rozdzielającą go przestrzeń. Ponieważ nigdy nie pije i samymi tylko liśćmi ambajmy żyje, nie opuszcza więc drzewa; dopóki na niem znajduje pożywienie. Spójrzycie na te drzewa, оголоcone z liści, to sprawka leniwca trójpalcowego (*bradypus tridactylus*).

Przenikające i żałosne aj, aj, było odpowiedzią na jego słowa.

— Czy nie prawdę mówiłem — rzekł, śmiejąc się z podziwienia, w które głos ten wprowadził jego rodzinę — odezwał się, abyśmy nie wątpili o jego obecności.

Don Pablo wskazał na drzewo i ujrano zwierzę wielkości kota, pokryte szorstkim i grubym włosem, z czarną i martwo pomarańczową łatą na grzbiecie. Zwierzę to nie miało ogona, a jego mała okrągła głowa, z twarzą spłaszczoną, nie mniejsza, jak u większej części małp, miała niejakie podobieństwo do głowy ludzkiej.

— Widzę tam drugiego — zawołał Leon, wskazując palcem na wierzchołek drzewa, gdzie rzeczywiście znajdował się drugi leniwiec, przyczepiony do gałęzi; po cokolwiek mniejszym jego wroście poznano, że to musi być samiec: domysł ten był uzasadniony, gdyż te zwierzęta żyją zawsze parami. Biedne stworzenia, widząc, że odkryto ich schronienie, zaczęły wydawać swój okrzyk żalсны, tak przeraźliwy, iż długo sądzono, że natura dała im go, jako broń do odstraszania nieprzyjaciół.

Don Pablo chciał iść dalej, lecz Guapo, pragnąc

posilić się na obiad pieczenią z leniwca, prosił pana, aby zaczekał, dopóki choć jednego z nich nie schwyci. Drzewo było cienkie, Indyanin ściał je w jednej chwili, a wraz z niem upadły leniwcе. Guapo zbliżył się do nich ostrożnie, gdyż wbrew zapewnieniom Buffona, że bez oporu pozwalają się chwycić, widocznie gotowały się do obrony; ułożywszy się na grzbiecie, szybko machały przednimi nogami, chcąc tym sposobem zabezpieczyć się od uderzeń, lub w razie zbliżenia przeciwnika, powitać go silnymi pazurami. Lecz Guapo znalazł dobrze ich zwyczaje; uciał dwie gałęzie i końce ich przytknął do piersi leniwców; w tejże chwili biedne zwierzęta tak silnie uchwyciły za gałęzie, że ich nikt nie potrafiłby im wyrwać. Indyanin oddał wtenczas siekiere Leonowi, w obiedwie ręce pochwycił gałęzie i zabrał z sobą leniwców, mówiąc, iż dlatego nie zabija ich zaraz, że zabite przed samem ugotowaniem są daleko smaczniejsze.

Kaskarylerosi udali się w dalszą drogę i po kilku minutach stanęli na malej łączce, mogącej mieć około pięćdziesięciu metrów szerokości; Guapo rzucił na środku gałęzie z leniwcami i poszedł dalej.

— Czy już nie chcesz zabrać ich z sobą? — zapytał Leon zdziwiony.

— Owszem — odpowiedział Indyanin — ale nie lękaj się, paniczu, znajdziemy je tu za powrotem. Gdybym je zaniósł z sobą do lasu, mogłyby się dostać na jakie drzewo, podczas kiedy zajęty robotą nie uważałbym na nie; stąd zaś, zaledwie za sześć godzin potrafiłyby dojść do lasu i ukryć się wśród gałęzi.

Don Pablo śmiejąc się, wskazał na stożkowate kopce, usypane przez termity, czyli białe mrówki. Poranek był chłodny i mrówki nie opuściły jeszcze swych podziemnych pałaców; podróżni przypatrywający się tym olbrzymim mrowiskom, stojącym, jak żołnierskie szalasy nad brzegiem lasu, zapuścili się w gęstwinę i wkrótce stanęli pod cieniem drzew chinowych.

XXIV.

Kaskarylerosi.

Kiedy Guapo pierwszy raz uderzył siekierą, jakieś dziwne uczucie ogarnęło wygnańców: dla nich był to początek kilkoletniej może pracy, a zarazem pierwszy krok do odzyskania dostatków i niezależnej przyszłości. Jak tylko pierwsze drzewo legło pod rąkami siekiery, Guapo przeszedł do drugiego, ścinając zawsze, jak można, najbliżej ziemi, a wtedy i don Pablo wziął się do roboty; uzbrojony śpiczastym i długim nożem, nacinał korę naokoło pnia w pewnych odległościach, a następnie przeciął ją wzdłuż całego drzewa: tak samo postępował z gałęziami i ze wszystkimi ściętymi przez Guapa drzewami. Kora miała być zdjęta dopiero we dwa lub trzy dni później, potem wysuszona na słońcu, a następnie złożona pod szopą, tuż przy domu wystawioną.

Robota szła prędko i ochoczo. Dona Izydora

usiadłszy na pniu, z zajęciem przypatrywała się wszystkiemu; przyszłość przedstawiała jej się w świetnych kolorach, a teraźniejszość nie była dla niej przykrą. Leonora usiadła przy Guapie, który, nie zatrzymując się w pracy, bawił ją opowiadaniem różnych rzeczy.

Leon w tym dniu nie miał żadnego zatrudnienia, musiał czekać, aż kora stanie się zdatną do zdjęcia: wtenczas będzie mógł rozkładać ją na słońcu lub prowadzić muła, przenoszącego ją pod szopę. — Tymczasem, ponieważ to był chłopiec pracowity, nie lubiący siedzieć z założonemi rękami, postanowił wrócić na łączkę i zobaczyć, co się dzieje z leniwcami, gdyż nie mógł uwierzyć, aby zwierzęta, opatrzone tak silnemi nogami i czujące, że im zagraża niebezpieczeństwo, nie potrafiły uciec, kiedy zaledwie trzydzieści metrów oddziela je od bezpiecznego schronienia.

Zbliżając się do łączki, posłyszał żałośnie krzyki, dowodzące, że w każdym razie nie musiały zająć daleko; lecz krzyki te odzywały się coraz częściej i coraz głośniej, jak gdyby były objawem rozpacz. — Cóż spowodowało tak rozdzierające skargi, pomyślał; wszak były zupełnie spokojne, kiedy Guapo je tam zostawił; czy je napastuje jakiś nowy nieprzyjaciel? Wkrótce Leon spostrzegł biedne zwierzęta, ale choć przy nich nie widział nikogo, tarzały się konwulsyjnie, jakby najstraszniejsze znosiły męczarnie!

— Musi tam być wąż przy nich — pomyślał, nie mogąc sobie wytłumaczyć inaczej, przyczyny krzyków i cierpień leniwców.

Dla przekonania się o prawdziwości swych domysłów, szedł dalej ostrożnie brzegiem lasu, dopóki nie stanął naprzeciw leniwców. Zdziwienie jego wzrastało w miarę zmniejszających się coraz krzyków i konwulsyjnych rzutów tych nieszczęśliwych stworzeń, które wkońcu widział bez tchu rozciągnięte na ziemi. — Teraz nowy domysł powstał w umyśle Leona, kiedy pomimo starannego przyglądania się, nie dostrzegł żadnego gadu, pełzającego wśród krótkiej trawy: może te biedne stworzenia były głodne, kiedy Guapo je schwytał, a nie mając się tu czem posilić, zjadły jakąś trującą roślinę. Tak myśląc, już bez obawy zaczął się zbliżać ku nim, a kiedy zaledwie na kilka kroków był od nich oddalony, spostrzegł, że ziemia poruszała się około leniwców i że one także były pokryte jakąś poruszającą się korą.

— Ach! — zawołał Leon, odgadując w końcu zagadkę — to białe mrówki.

Niezliczona ilość tych strasznych owadów przykryła ziemię i ciała biednych leniwców, a szarpiąc żarłocznie, zanosili kawałki aż do swych podziemnych schronień.

Leon ze drżeniem przypatrywał się tak straszному widokowi; słyszał, że termity w przeciągu kilku minut potrafią rozszarpać i przenieść do swych kryjówek ciało największego zwierzęcia, chciał więc, korzystając ze sposobności, przekonać się o tem naocznie; lecz, obawiając się i dla siebie tak niebezpiecznego nieprzyjaciela, wlaź na drzewo i postanowił czynić stamtąd dalsze spostrzeżenia. — Spostrzegł wkrótce, że zadziwiający porządek przewodniczył

temu dziełu zniszczenia; że kiedy jedne mrówki obciążone lupem, uszykowane w regularną kolumnę, odchodziły do swych podziemnych kryjówek, inne wychodziły natychmiast i w ściśniętych szeregach dążyły ku leniwcóm; i tak ciągle jedne zastępowały drugie, a każda z nich miała kawałek mięsa, lub skóry, pokrytej włosem, daleko większej, niż ona sama, objętości.

XXV.

Puma i mrówkojad grzywiasty.

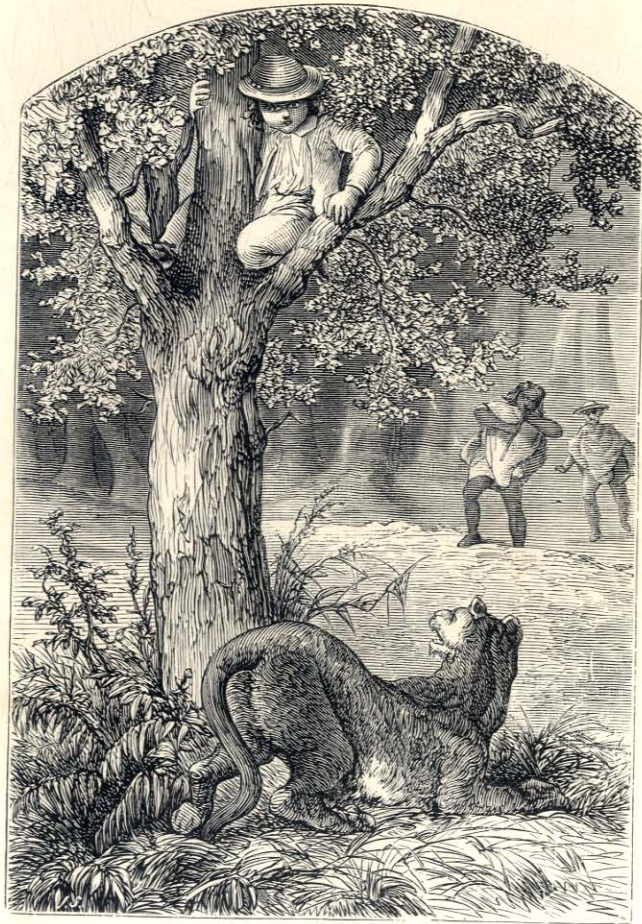
Lekki szmer wśród galezi, odwrócił uwagę Leona od tych milionów mrówek, których ustawiczne kręcenie się, już mu prawie zawrót głowy spowodowało. Liście zaszeleściały i wśród nich ukazał się po chwili jakiś przedmiot cienki i walcowaty. Nikt, a tem więcej Leon, nie mógłby wziąć tego przedmiotu za pysk zwierzęcia, gdyby na drugim jego końcu nie dostrzegł krótkich uszów i czarnych błyszczących oczu. Potem wysunęło się z gęstwiny całe zwierzę, wielkości dużego psa Newfoundlandzkiego, lecz zupełnie innej budowy; pokryte było długim, brunatnym i bardzo grubym włosem, a na łopatkach miało pręgę czarną z białymi brzegami; ogon podniesiony w górę i na grzbiet zakrzywiony, pokrywały gęste i długie kudły, a długość jego jeden metr wynosiła.

Lecz szczególniejszą na siebie uwagę zwracał

pysk tego zwierzęcia, dwa razy dłuższy, a o połowę cieńszy, jak u charta, zakończony małą paszczą, szeroką na trzy centymetry i pozbawioną zębów. Nogi były szerokie i silne, ale zwierzę stapało nimi w taki sposób, że tylne zdawały się krótsze od przednich. Sądząc z nóg tylnych, należałoby go zaliczyć do nastopowych, to jest stawiających nogę całą stopą, jak to czynią niedźwiedzie i kilka innych czworonogów. Przeciwnie pazury u nóg przednich nie były wyciągnięte, jak to widzimy u psów i kotów, lecz składały się wewnątrz, a zwierzę, nie chcąc opierać się na nich, stapało bokiem nogi, co nie dozwalało mu iść prędko i dziwną nadawało postawę. Wspomniane pazury służą do obrony i do odgrzebywania ziemi i zwierzę może je wyciągnąć, kiedy zechce, a wtenczas są obsadzone w ten sposób, jak zęby u grabi, lub ostrze motyki.

Leon nie znał tego zwierzęcia, ale nieraz widział go na obrazach i czytał o niem opisy; nie omylił się więc, sądząc, że to jest mrówkojad grzywiasty (*myrmecophaga jubata*), nie rozumiał tylko, skąd się wziął garb, który teraz widział na jego grzbiecie, a o którym nigdy nie wspomniano w opisach. Podniesiony ogon mrówkojada, nie dozwolił mu jeszcze dokładnie przypatrzeć się garbowi, ale zwierzę odwróciwszy głowę, lekko dotknęło go pyskiem, a garb spadł na ziemię pod postacią mrówkojada, zupełnie podobnego do matki.

Mrówkojad, pozbywszy się swego ciężaru tuż przy mrowisku, wspiał się na tylnych łapach, a przednie oparł na zbudowanej przez termyty piramidzie



Leon w niebezpieczeństwie.

i z uwagą przypatrywał się najdrobniejszym szczegółom, jakby chciał znaleźć jakieś słabsze miejsce, pozwalające mu zrobić wyłom w tej twierdzy. Te ogromne piramidy ulepione z ziemi i piasku, są tak twarde, że tylko rydlem, lub okutym dragiem można je wyszczerbić.

Lecz mrówkojad posiada pazury, doskonale zastępujące mu te narzędzia, byłby się więc bez wahania zabrał do roboty, gdyby nie odkrył, spojrzawszy wokół, że wszystkie mrówki wyszły na jakąś wyprawę. Ta okoliczność zmusiła go do zmienienia planów wyprawy; wrócił się natychmiast do młodego mrówkojada i popychając go przed sobą pyskiem, lub niosąc w przednich łapach, doprowadził go do ścieżki, którą przebiegały kolumny mrówek, poczem położył się i tak rozplaszczyl na ziemi, że pysk jego dosięgał do tej ruchomej kolumny, a rozciągnięty przy nim młody mrówkojad, naśladował go we wszystkim; zwierzę wyciągnęło swój długi, kleisty język i wciągnęło napowrót pokryty mrówkami. Język ten, przeszło trzydzieści centymetrów długi, a gruby, jak gęsie pióro, wysuwał się i chował dwa razy na sekundę. Czasami samica zatrzymała się chwilę i wtenczas przyuczała malego mrówkojada do tego dziwnego polowania, które bardzo bawiło Leona. Nie szczęściem, nagle ukazanie się innego zwierzęcia, zakończyło to sute śniadanie mrówkojadów. Nowo przybyłe zwierzę podobne było do wielkiego kota, jednostajnej, płowej maści; dosyć długie, z długim ogonem, okrągłą głową i dużymi wąsami, oczy miało błyszczące i świecące się w cieniu. Leon już nieraz je wi-

dział, oprowadzane przez Indyan po ulicach w Kuzko i poznał odrazu, że to jest *puma*, czyli amerykański lew bez grzywy. Na tamte mógł patrzeć bez obawy, gdyż były oswojone; lecz słyszał nieraz, że w stanie dzikim puma jest okrutnem i niebezpiecznem zwierzęciem. Zdanie to jest prawdziwem, co do pewnych okolic; w innych puma jest prawie bojaźliwym i spostrzegłszy człowieka, ratuje się ucieczką; jednak napadnięty, wszędzie broni się rozpaczliwie i nieraz w takich walkach psy, a nawet myśliwi, tracą życie.

Leon nie obawiał się mrówkojada, wiedział, że nie wdrapie się za nim na drzewo, chociaż w Ameryce Południowej znajdują się dwa mniejsze gatunki tych zwierząt, zręcznie łazące po drzewach; lecz widok pumy przeraził go bardzo, bo wiedział, że po najgładszym pniu wdrapać się potrafi, a w takim razie nie widział dla siebie ratunku.

Z początku miał zamiar zeskoczyć i biec ku drzewom chinowym, lecz puma siedł właśnie w tym samym kierunku, a że drzewo, na którym siedział, rosło samotnie na brzegu łączki, nieprzyjaciół spostrzeżby go niezawodnie i uchwycił, zanimby zdołał dobiec do lasu. Musiał więc biedny chłopczyzna pozostać na drzewie i przytulić się do gałęzi w nadziei, że może puma go nie dostrzeże, jeśli nie zdradzi się najmniejszym szelestem.

Wszakże zwierzę byłoby go dostrzegło niezawodnie i ścigało wśród gałęzi, gdyby wchodząc w dolinkę, nie zobaczyło pierwszej mrówkojadów. Puma ujrzawszy ich, zatrzymał się i przyczaił, jak kot, cza-

tując na myszy; w tej chwili samica odwróciła się do małego mrówkojada, a spostrzegłszy pumę, zarzuciła go sobie na grzbiet, oparła się o mrowisko i okrywając własnem ciałem swój skarb najdroższy, oczekiwała napadu nieprzyjaciela, z pyskiem pochylonym na piersi i przysłoniętym długim ogonem, zarzuconym aż na czoło.

Puma skoczył i rozpoczął walkę; mrówkojad broniąc się, zagłębił mu pazury w szyję, wszakże ta rana rozbudziła bardziej jeszcze gniew jego przeciwnika i nauczyła ostrożności. Puma ponawiał ciągle ataki, lecz za każdym razem musiał się cofać przed wyciągniętymi pazurami przeciwnika; mrówkojad zaś nie tyle pragnął dosięgnąć go nimi, jak pochwycić go przednimi łapami i zdusić, jak to czynią niedźwiedzie.

Zapewne walka długo jeszcze zostałaby nierozstrzygniętą, gdyby młody mrówkojad nie wyciągnął nieostrożnie pyska, jakby chcąc zobaczyć, co się dzieje; puma schwycił go natychmiast i w tejże chwili zębami roztrząsał mu głowę.

Teraz już nieszczęśliwa matka zapomniała o wszelkich środkach ostrożności: opuściła ogon, pysk jej zasłaniający i kiedy usiłowała pochwycić nieprzyjaciela w swe silne łapy, puma skoczył na jej pysk odkryty, powalił ją na ziemię, usiadł na niej i zaczął szarpać zębami.

Leon nie śmiał iść na pomoc mrówkojadowi, choć smutny los jego obudził w nim litość i bezwątpienia nie przerwałby najmniejszym szelestem tej krwawej

uczty, gdyby niespodziewany i dotkliwy ból nogi, nie wywołał z jego piersi mimowolnego krzyku.

XXVI.

Napad białych mrówek.

Krew ścięła się w żyłach Leona, kiedy poznał przyczynę bólu; mrówki otoczyły drzewo i pień jego pokrywały z przerażającą szybkością: kilka siedziało już na jego nogach i właśnie ukąszenie jednej z nich, krzyk jego spowodowało.

Wspomnienie o strasznej śmierci leniwców, dreszczem go przejmuje; przechodzi z gałęzi na gałęź, wspina się aż na wierzchołek drzewa, wydając rozpaczliwe krzyki, a żarłoczna tłuszczka coraz wyżej wstępuje i doścignie go niezadługo. Chce uciekać, depcząc mrówki, czyhające na jego zgubę, lecz zatrzymuje się, przypomniałszy sobie pumę; spogląda tam, gdzie go widział przed chwilą: widzi szkielety mrówkojadów, lecz już przy nich nie było pumy.

Leon sądził, że to dzikie zwierzę, przestraszone jego krzykiem ukryło się w lesie, lecz i ta nadzieja okazała się mylną, gdyż po chwili ujrzał je pełzające ku sobie. Co tu począć? za minutę puma będzie już przy nim: Leon stracił wszelką nadzieję i głos zamarł mu w piersiach. Jednak zwierzę nie wskoczyło odrazu na drzewo, jak mniemał Leon *), przyczaiło

*) Puma nie wdrapuje się na drzewo, jak kot, lub jaguar, lecz wskakuje i zeskakuje z niego.

się napowrót i okrażyło drzewo, czolgając się na brzuchu, lekko poruszając ogonem i otwierając paszczę, zbaczoną krwią mrówkojadów, jakby już zawczasu nasycalo się nadzieją pokosztowania tak delikatnego i smacznego kaska.

Raptem coś zaświszczało w powietrzu: puma podskoczył i ryknął przeraźliwie; strzała utkwila mu w karku, a gdy chce ją wyrwać zębami, ostrze drugiej zagłębia mu się w ciało. W tej chwili Leon spostrzegł ojca i Guapa, którzy, posłyszawszy jego krzyki, przybiegli mu na pomoc.

Puma uciekł, lecz przy końcu łączki zachwiał się i upadł; don Pablo, obawiając się, aby to nie było chwilowe omdlenie, przyskoczył do niego i rozciął mu leń siekierą, poczem dopiero uściskał Leona, którego już pocziwy Guapo usadowił na swych ramionach.

Don Pablo postanowił zdjąć z pumy piękną jego skórę i dlatego zaciągnął go za sobą pod drzewa chinowe. Mrówkojady pozostawiono na pastwę termitom, a kiedy kaskarylerosi szli na obiad do domu, znaleźli już tylko bielące się kości; resztę, mrówki rozszarpały i przeniosły do swych kryjówek.

Zapewne trzask upadających drzew musiał przebudzić i wypłoszyć mrówkojada z legowiska, którego zazwyczaj nie opuszcza we dnie, a być może, że tenże sam loskot i pumę wystraszył z kniei, choć wogóle łatwiej go spotkać w dzień niż poprzedniego.

Kiedy wygnańcy byli już blisko domu, Guapo spostrzegł mrówkojada samca, który, jak widać obudzony wraz z innymi, porzucił swoje legowisko uslane

z suchych liści; nie zabił go wszakże, gdyż chciał pokazać swym towarzyszom rzecz bardzo ciekawą: schował się między gałęzie i w taki sposób zaczął nimi poruszać, że wydawały szmer, podobny do kropli deszczu, spadających na liście. Mrówkojad podniósł natychmiast w górę swój wielki ogon i rozciągnął go, jakby parasol, ponad swą głowę *): Guapo zbliżył się wtenczas do niego i pędząc go przed sobą, jak kozę lub barana, przyprowadził aż do domu. — Indyanin dodał później, że gdyby go rozgniewano, mrówkojad uciekłby zaraz, lub stanął w obronnej postawie.

Widzimy więc, że jakkolwiek mrówkojad jest łagodny i nieszkodliwy, w razie potrzeby umie bronić się odważnie; nieraz pokona oselotą, lub młodego lwa, i gdyby samica, o której pisaliśmy, nie miała z sobą młodego, pewno zmusiłaby pumę do odwrotu. Niektórzy utrzymują, że wielki mrówkojad grzywiasty, potrafi zdusić jaguara w swych silnych łapach, lecz to wydaje nam się niemożliwem; jaguar z pewnością jest zręczny i silny, aby się pozwolił pochwycić, z przytoczonych zaś przykładów wnosimy, że to mu-

*) Ponieważ mrówkojad jest zwierzęciem nocnem, musi więc cierpieć, kiedy go światło olśniewa; dlatego, zmuszony wyjść w dzień ze swojej kryjówki, podnosi ogon i rozpościera nad sobą, jak gdyby parasol, ażeby osłonić się przed blaskiem bijącym mu w oczy: sądzimy, że prędzej dla tej przyczyny, niż z obawy deszczu, mrówkojad Guapa rozsunał swoją zasłonę; zresztą może szmer gałęzi, poruszonych przez Indyanina, zaniepokoił mrówkojada, tak, jak i każdy inny szmer, lub hałas, a ostrożność nakazywała mu usunąć się z tego miejsca.

siało być inne zwierzę, spokrewnione z jaguarem, tak jak on centkowane i zamieszkujące te same okolice, lecz nie wyrównyujące mu siłą, odwagą i wzrostem.

W Ameryce Południowej, oprócz mrówkojada grzywiastego, znajdują się jeszcze dwa lub trzy gatunki mrówkojadów; lecz te tak dalece różnią się od niego swą postacią i zwyczajami, że możnaby je zaliczyć do osobnego rodzaju: lażą po drzewach, żywią się mrówkami, zakładającymi swe gniazda na gałęziach i są opatrzone, stosownie do swego sposobu życia, nagimi i chwytynymi ogonami, jak niektóre małpy.

Do tej liczby należy mrówkojad *tamandua*, daleko mniejszy od poprzedzającego, gdyż ma zaledwie jeden metr i piętnaście centymetrów długości, kiedy mrówkojad grzywiasty jest często więcej, jak dwa razy dłuższy; pysk tamanduy jest także krótszy, nawet w stosunku do jego własnego ciała, pazury są krótsze i tak ułożone, że nie tylko dopomagają mu do włożenia na drzewo, ale jeszcze pozwalają przędko chodzić, gdyż może opierać się na nich.

Tamandua ma sierć krótką i miękką, zazwyczaj blado-żółtego koloru; jednak w ubarwieniu jego tak często spotykamy odmiany, iż sądzono, że ta rodzina zawiera kilka gatunków. Tamandua chętniej przebywa na drzewach, niż na ziemi i nie pogardza miodem, kiedy go dostać może; samica jego, tak, jak i powyżej opisanego mrówkojada, naraz jedno tylko miewa młode i jak w innych gatunkach nosi go na grzbiecie, dopóki samo nie potrafi się wyżywić. Nazywają go także mrówkojadem trójpalczastym, ponieważ ma

tylko trzy palce u nóg przednich, kiedy grzywiasty ma ich cztery.

Mniejszy jeszcze gatunek mrówkojada, ma tylko dwa palce u przednich nóg i dlatego nazywany *myrmecophaga didactyle*, mrówkojad dwupalczasty. Jest to małe zwierzątko, nie większe od starej wiewiórki; ogon ma chwytny, lecz nie całkiem nagi, a choć nie tak zwinne, jak tamandua, bez porównania jest żwawsze od mrówkojada grzywiastego. Żyje na drzewach, jada pszczoły i mrówki, a szczególnie ich poczwarki; język jego krótszy w porównaniu do reszty ciała, niż u innych gatunków. Przyczepiwszy się ogonem do gałęzi, przednimi łapami, jakby rękami, podaje sobie pożywienie.

Pokryty jest miękkim jedwabistym włosem, cząskami lekko kręconym. Zazwyczaj ubarwienie jego jest żółte, połyskujące, lecz na grzbiecie przechodzi w barwę brunatną; wiele jednak pod tym względem zachodzi odmian i często futerko śnieżystej białości pokrywa te zwierzątka: na ogonie ułożone są obrączkowato kolory, przemagające w ubarwieniu całego ciała.

XXVII.

Mrówkolew.

Słusznie możnaby uważać mrówki za plagę, trapiącą mieszkańców Ameryki Południowej: zasłużyły

na to swą żarłocznością, wstrętną powierzchownością, a nadewszystko bolesnemi ukąszeniami, gdyż nie kąsają tak, jak naprzykład osy, lecz gryząc szczękami, zapuszczają jad w ranę.

Z tego jednak nie wypada wnosić, że mrówki były stworzone bez żadnego celu. W cóżby się bez nich obróciła tak wielka ilość padliny, nagromadzona często w jednym miejscu? Rozkład tych zwierzęcych i roślinnych szczątków, sprowadziłby cięższą bez porównania plagę, zarazę; mrówki zaś przyczyniają się do czyszczenia powietrza, przerabiając te szczątki i przywracając je do życia pod nową postacią. Wiele jest gatunków mrówek, a największa ich część znajduje się w krajach gorących, t. j. tam właśnie, gdzie mogą być najużyteczniejsze. Obyczaje niektórych są tak ciekawe, że naturaliści na ich zbadanie i opisanie, poświęcają całe życie. Niepodobna mi opisać wam wszystkiego, czego dowiedziano się o sposobie ich życia; wspomnę tylko o prawdziwie zadziwiających budowlach, jakie wznoszą własnemi siłami; o tych piramidach, dochodzących do sześciu metrów, pięćdziesięciu centymetrów wysokości i tak silnie zbudowanych, że bez uszkodzenia ich, dziki wół może wejść na nie, i stanąć na wierzchołku. Inne znów mrowiska są w kształcie walcowatym i tylko na jeden, lub dwa metry wznoszą się ponad ziemią. Widzieliśmy także, że niektóre gatunki osiedlają się na drzewach, gdzie budują sobie komórki rozmaitych kształtów i zawieszają je na najwyższych gałęziach, kiedy inne zamieszkują w wypróchniałych pniach, a jeszcze inne w podziemnych korytarzach własnej swej roboty. —

Obyczaje każdego z tych gatunków, w zdumienie wprawiają badaczy: trudno pojąć, jak takie drobne stworzenia mogą mieć tyle rozumu, czyli, jak powszechnie nazywają, instynktu.

Gdyby człowiek był jedynym ich nieprzyjacielem, kto wie, czy w końcu nie wygnałyby go z tej ziemi, gdyż są tak nadzwyczaj mnożne, że pozostawione sobie samym, niezawodnie po jakimś czasie całą kulę ziemską zamieniłyby w olbrzymie mrowisko; lecz natura zapobiegła mądrze zbyt szkodliwemu rozmnażaniu się tych owadów, tworząc im licznych nieprzyjaciół. Na ich czele stoi człowiek, który nie tylko że je niszczy, aby się zabezpieczyć od wyrządzanej przez nie szkody, ale jeszcze zabija je na pokarm. W niektórych okolicach, wiele pokoleń indyjskich żyje prawie wyłącznie wysuszonymi i na proszek tartymi termitami, wyrobiwszy z nich coś podobnego do ciasta, które w piecu wypiekają. Niemi także żywią się wyłącznie mrówkojady i *pangoliny*, te łuskowate mrówkojady wschodniej półkuli; wiele ptaków żywi się niemi, a wśród nich szczególnie te, których są jedynym pożywieniem; pewne gatunki węzów i jaszczurek wytepiają niezliczoną ilość mrówek, a co dziwniejsza, służą one za pokarm także niektórym owadom.

Wszystkie te szczegóły, dona Izydora opowiadała właśnie córce, kiedy raz pozostała z nią w domu. Siedziały pod cieniem wielkiego bananu: dona Izydora szyla i zarazem doglądała obiadu, który w tak gorącym klimacie bardzo często gotują na dworze; Leonora zaś bawiła się przy matce, sprzeciwiając się

mrówkom, znienawidziwszy je od chwili, w której o mało co, nie stały się przyczyną śmierci Leona, a od wczoraj jeszcze więcej, gdy jedna z nich boleśnie ją ukąsiła.

W czasie tej rozmowy, dona Izydora spostrzegła na piasku owad, który wskazała córce, jako jednego więcej nieprzyjaciela mrówek. Była to gąsienica owalna, ze spłaszczoną głową, z dwoma kleszczami na głowie, mogąca mieć do trzech centymetrów długości; nadzwyczaj krótkie nogi niebardzo jej były użyteczne, gdyż wcale nie mogła posunąć się naprzód i czołgała się tylko, cofając się w tył, lub cokolwiek na bok; kolorem swym tak mało różniła się od piasku, na którym siedziała, że tylko zblizka można ją było zobaczyć.

— Co to jest? — zapytała Leonora, przypatrując się gąsienicy.

— Mrówkolew, moje dziecko.

— Lew, mamol! a ja sądziłam, że to robak?

— Bo też tak jest w istocie; lecz ten robak, czyli raczej ta poczwarka, otrzymała taką nazwę dla swej drapieżności, ponieważ względnie do swej wielkości, nędzna ta istota jest okrutniejszą i silniejszą od samego lwa.

— A dlaczego jest lwem mrówek?

— Ponieważ one są głównem jej pożywieniem.

— Ale jakże ona potrafi je schwytać, kiedy lazi tak wolno, a one są tak zwinne?

— Chwyta je podstępem; usiądź tu i patrz na niego, a wkrótce zobaczysz, jakim sposobem chwyta swoje ofiary.

Oczekując, nim gąsienica zechce rozpocząć polowanie, dona Izydora mówiła dalej:

— Mrówkolew (*myrmecoleon*) jest tylko gąsienicą owadu całkiem od niej odmiennego, zwanego mrówkolew-panna. Ma on skrzydła i bardzo długie nogi. Jest to owad *żyłkoskrzydły*, to jest mający żyłkowate skrzydła. Te skrzydelka są w czasie spoczynku dąszkowo złożone nad jego ciałem; żyłki są na nich ułożone siatkowato, a przyozdabiają je brunatne centki, odbijające się wyraźnie na tle jaśniejszem. Doskonały owad tak obyczajami, jak i powierzchownością odróżnia się od swej poczwarki: całe kilkodniowe swoje życie przepędza, przelatując z rośliny na roślinę i jest bez zaprzeczenia najniezgodliwszym ze wszystkich owadów, gdy przeciwnie, jako gąsienica.... Ale zaraz przekonasz się sama.

Dona Izydora wskazała Leonorze gąsienicę, która, cofnąwszy się trochę wstecz, zakreśliła kleszczykami na piasku koło, mogące mieć sześć do siedmiu centymetrów średnicy, i zaraz ze środka tego koła zaczęła wydobywać piasek; odgrzebywała go jedną z przednich nóg i nakładała na swą płaską głowę, którą potem wstrząsała tak silnie, że piasek upadał poza obrębem zakreślonego koła. Drobnutkie kamyczki chwytala kleszczami i odrzucała daleko, cięższe zaś, których nie mogła unieść kleszczykami, wkładała sobie na grzbiet, i potrząsając nim, ciskała zdala od siebie; tym sposobem po godzinnej pracy, wygrzebała lejkowaty dołek, jednakowej z szerokością otworu głębokości, poczem przyczaiła się na dnie

tej zasadzki, oczekując cierpliwie, póki mrówka nie nadejdzie.

Dona Izydora i Leonora z zajęciem śledziły wszystkie poruszenia gąsienicy: mrówki biegały wokół, szukając pożywienia; jedna z nich zbliża się na sam brzeg zasadzki i zagląda, czy w niej nie znajdzie jakiego dla siebie łupu; przepaść nie jest tak głęboka, aby nie potrafiła z niej wyjść z łatwością, jednak waha się jeszcze; wtem dostrzegła, że coś leży na dnie, żarłoczność przemaga nad ostrożnością, pochyla się wewnątrz otworu, lecz w tejże chwili tajemniczy przedmiot powstaje, wyciąga się w górę, i nim mrówka może pomyśleć o ucieczce, zasypuje ją gradem piasku, który ją strąca na dno przepaści. Tam mrówkolew chwytą ją kleszczykami, wysysa, a próżną z niej skórę kładzie na swej głowie i rzuca daleko od siebie. Potem mrówkolew ukrył się znowu na dnie zasadzki, oczekując, czy nie wpadnie w nią nowa jaka ofiara.

XXVIII.

Tatu-poyu i nieżywy jeleń.

Jak tylko Leon wrócił na obiad, siostra przywołała go do siebie, chcąc mu pokazać zasadzkę mrówkolwa; lecz on sam w tym dniu tyle widział dziwnych rzeczy, że zajęty ich opowiadaniem, nie miał czasu przyglądać się gąsienicy.

Tego właśnie poranku odkryli drugą *manszę* drzew chinowych, a idąc do niej, znaleźli wielkiego nieżywego jelenia, zwanego *cervus antisensis*; nadzwyczajne rozdęcie, skutkiem którego objętość jego prawie się podwoiła, dowodziło, że już przed kilku dniami utracił życie; w gorących krajach, zjawisko takie zdarza się powszechnie na zwłokach, pozostających czas jakiś pod gołym niebem. Leżał wśród kępy drzew, które, jak widać, zasłoniły go przed bystrym wzrokiem sępów, gdyż te ptaki, wbrew przeciwnym twierdzeniom, nie węchem, lecz wzrokiem wynajdują padlinę. Don Pablo dziwił się tylko, że dotąd nie rozszarpały go zwierzęta, żyjące padliną; lecz widocznie, Indyanin domyślał się czegoś, bo nic nie mówiąc, zbliżył się do jelenia i uderzył go siekierą: skóra zatrzęszczała i pękła, a podróżni przekonali się, że pokrywała sam szkielet, tak doskonale oczyszczony, że nie pozostało na nim ani śladu mięsa.

— Tatu-poyu — rzekł spokojnie Guapo.

— Armadila? — zapytał don Pablo.

— Bezwątpienia — odrzekł Indyanin — oto wejście do jego kryjówki.

Mówiąc to, wskazał dwa duże otwory: jeden tam, gdzie leżał jelen, drugi o kilka metrów dalej.

— Wszedł tędy — mówił dalej Guapo, zbliżając się do dalszego otworu — lecz teraz już go tu niema: wygryzł wszystko mięso, a gdy pozostał tylko szkielet, pokryty skórą, tatu-poyu powędrował dalej.

Don Pablo cieszył się, że ma sposobność sprawdzić to wszystko, co słyszał o armadilach, czyli pancernikach. Te zwierzęta z tak nadzwyczajną szybko-

ścią wykopują ziemię, jeśli im zagraża niebezpieczeństwo, iż możnaby sądzić, że się w nią zapadają. Ponieważ są szczerbate, a nawet niektóre z nich całkiem pozbawione zębów*), z konieczności muszą się żywić miękkimi pokarmami, wśród których najpierwsze miejsce trzyma zgniłe mięso; chcąc zaś napocząć upadłe zwierzę w najkruchszym miejscu, wkopują się pod niego tak, aby mogły od spodu przegryźć skórę, poczem wchodzą w środek i pozostają, dopóki nie zjedzą wszystkiej padliny.

Kaskarylerosi udali się w dalszą drogę, a Guapo, na żądanie don Pablo, opowiadał różne szczegóły o pancernikach, które znał doskonale, gdyż dawniej nieraz na nie polował i zjadał ze smakiem, nie zważając na to, że się żywią padliną. Prawdę mówiąc, i kreolowie bez wstrętu jedzą mięso pancernika, ale wybierają gatunki, więcej podług nich usposobione do przyjmowania pokarmów roślinnych. W pobliżu osad, niekiedy zwierzęta te podkopują się na ementarze i żywią się szczątkami ciał ludzkich. Mrówek jeszcze więcej niszczą, niż mrówkojady, gdyż nie poprzestają, jak tamte, na zrobieniu w mrowisku małego otworu, lecz wykopują w niem szeroką szparę i rzucają się na poczwarki, czyli, jak je pospolicie nazywają, mrówcze jaja; przyprowadzone tem do rozpaczki mrówki, dbające więcej o swe poczwarki, niż o własne życie,

*) Wszystkie gatunki armadili, z wyjątkiem pangolinów, które są mrówkojadami, mają wiele zębów; tatu, o którym mowa, ma ich trzydzieści ośm, a tatu, czarny, olbrzymi, aż dziewięćdziesiąt ośm.

nie poprawiają już gmachu, a cała osada, pozbawiona schronienia, wkrótce zupełnemu ulega zniszczeniu.

Myliłby się bardzo, ktoby, wnosząc z rodzaju pożywienia, sądził, że mięso pancernika jest niesmaczne, tak, jak na przykład gorzkie i twarde mięso tapira; tatu jest trochę podobny do prosięcia, a upieczony w swej łuskowatej skorupie, jak go zazwyczaj pieką Indianie, jest równie smaczny, a może nawet smaczniejszy od pieczonego prosięcia.

Guapo nie nazywał, jak don Pablo, pancernika *armadila*, gdyż jest to nazwa hiszpańska, pochodząca od *armado*, co znaczy uzbrojony, albowiem jest pokryty zbroją, jak dawni rycerze, ma hełm na głowie i całe ciało pokryte kościstą łuską, której ułożenie zmienia się stosownie do gatunku zwierzęcia i gęstości pokrywającej go sierci, tej zaś u jednych mniej, u drugich więcej wystaje pomiędzy kościstymi blaskami. Wprawdzie Indianin nie wiedział, że niegdyś ludzie chodzili w zbrojach, jak pancerniki, ale za to znał doskonale zajmujące szczegóły o wszystkich gatunkach tych zwierząt.

Opowiadał Leonowi, że jedne z nich nie są większe od szczura, drugie tak duże, jak baran; że niektóre chodzą bardzo wolno, a inne znów biegają prędzej, niż człowiek; że jedne są bardzo niskie i prócz tego mogą się tak rozpląszczyć, że albo ich wcale nie znać, albo się tylko zdaje, jakby w tem miejscu grunt był trochę wyższy (i do tego gatunku należał tatu-poyu, którego podziemne przejście widzieli przy nieżywym jeleniu), inne zaś mają kształt kulisty, to jest są prawie tak okrągłe, jak kula.



Polowanie na pancerniki.

XXIX.

Polowanie na pancerniki.

Podróżni doszli wreszcie do drzew chinowych i zabrali się do pracy z tem większym zapalem, że nowo odkryta mansza obiecywała im większe korzyści od poprzedzającej. Przechodząc przez łączkę, dotykającą do manszy, spotkali stado czarnych sępów, szarpiących padlinę z drugiego znów zdechłego jelenia. Pierwsze uderzenia siekiery spłoszyły je wprawdzie, lecz podróżni byli pewni, że wkrótce powrócą, wiedząc, iż zamurosy nie są bynajmniej dzikie i lękliwe.

W tem wszystkim nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby wygnańcy nie byli znaleźli w ciągu jednego poranku dwóch nieżywych jeleni. Kto je mógł zabić? Każde krwiożercze zwierzę zostawiłoby z nich tylko szczątki; a może to puma, który często więcej zabija zwierząt, niż pożera?

— Czy też one nie padły od strzały Indyanina? — rzekł don Pablo, zaniepokojony myślą, że może lada chwila jakie dzikie pokolenie zniszczy jego plantację, a co gorsza, napadnie na jego rodzinę. Guapo już tak dawno opuścił Montanę, że nie mógł wiedzieć, w której stronie znajdują się teraz koczujące plemiona Indyan; powiedział tylko, że Chunchosi zapuszczali się nieraz aż w te miejsca, co, jak się łatwo można domyślić, nie uspokoiło bynajmniej don Pabla, gdyż mściwi i okrutni Chunchosi są zawziętymi wrogami białych i oni to zazwyczaj niszczą za-

kładane misye. Guapo jednak upewniał don Pabla, że obecnie nie mogą znajdować się w pobliżu, gdyż inaczej byłby już znalazł jakie ślady ich pobytu; tem zapewnieniem zupełnie uspokoił swego pana, don Pablo bowiem wiedział, że wierny sługa nie byłby tak spokojny, gdyby jakie niebezpieczeństwo zagrażało ukochanemu panu, lub jego rodzinie.

Niezadługo znowu sępy zwróciły na siebie uwagę wygnańców. Obrzydłe ptaki obsiadły napowrót padlinę i chciwie szarpały ją dziobami; nagle wszystkie się zerwały, jakby czemś przestraszone, lecz tylko o kilka kroków oddaliły się od swego łupu, a stojąc z wyciągniętymi ku niemu szypami, zdawały się wskazywać, iż przyczyna ich przestachu ukrywała się wewnątrz jelenia. Zaciekawieni kaskarylerosi podeszli ku nim, sępy po krótkim namyśle wróciły do swej zdobyczy, zatapiając w niej dzioby; lecz prawie w tejże chwili zerwały się z takimi, jak przedtem, oznakami przestachu.

Guapo i teraz rozwiązał najpierwej zagadkę, wołając:

— Tatu-poyu!

— Gdzie? — zapytał don Pablo.

— Tam, panie, w środku jelenia.

Don Pablo zbliżył się i rzeczywiście spostrzegł pancernika, którego odkryły sępy, wyszarpawszy większą część padliny; żarłoczność przemogła obawę, zamurosy powróciły, i nie zważając na intruza, zjadły spokojnie; wszakże zgoda nie trwała długo. Nie umiem wam powiedzieć, co rozgniewało żarłoczne ptaki; może tatu przycisnął nogę którego z nich swą

kościstą tarczą, może je co innego rozdrażniło: dość, że uderzyły na pancernika, ten zaś nie mając się czem bronić, przysiadł na ziemi i całkiem ukrył się pod swą tarczą, której nawet dziób i szpony orla nie potrafiłyby przebić. Zrozumiały to widać zamurosy i zaprzestały walczyć, ale nie mogąc pozbyć się pancernika, postanowiły przynajmniej nie dopuszczać go do bankietu: ile razy zwierzę wysunęło głowę, chcąc pochwycić kawałek padliny, dziób jednego z sępów zmuszał do ukrycia jej napowrót. Tatu przekonany, że nie już uzyskać nie potrafi, zaczął grzebać ziemię przednimi nogami i w kilka sekund znikł z przed oczu zamurosov, równie zdziwionych tem nagłym zniknięciem, jak były przerażone niespodziewanem odkryciem armadili w środku jelenia.

Zaledwie ukończyła się ta ciekawa scena, spostrzeżono dwa pancerniki, przesuwające się około skał, sterczących nad brzegiem rzeki. Należały do jednego z większych gatunków i przybywały zapewne, aby się posilić swym ulubionym pokarmem. — Guapo lubił pieczeń z pancernika, pobiegł więc na przeciwko nich z siekierą w rękę, a don Pablo i Leon pośpieszyli za nim, chcąc wziąć udział w tem dziwnem polowaniu.

Pancerniki nie lękały się sępów, ale zawróciły się zaraz, skoro tylko spostrzegły myśliwych. Guapo zaczął biedz jeszcze prędzej i pochwycił pancernika za ogon, kiedy już do połowy zagrzebał się w ziemię; a choć wiedział, że nie potrafi go wyciągnąć z ziemi, postanowił przynajmniej niedozwolić, aby się całkiem schował.

Tatu, ścigany przez don Pabla i Leona, wyprzedził ich znacznie i stanął nad brzegiem przepaści, jakby się namyślał, co mu dalej czynić wypada; myśliwi cieszyli się, że go zapędzili w takie miejsce, z którego, podług nich, ucieczka była niepodobną, gdyż zatrzymał się na nagiej i prostopadłej skale, wznoszącej się o siedmnaście stóp nad powierzchnią wody. Już wyciągali ręce, aby go pochwycić, kiedy ku wielkiemu ich zdumieniu, tatu zwinął się w kłębek, jak kula, stoczył się ze skały i znikł w jakiejś szczelinie.

Pobiegli do Guapa, wołającego ich na pomoc. Chociaż tatu tylko do połowy zagrzebał się w ziemię, nie potrafiliby go wyciągnąć nawet wspólnymi siłami, i prędzej ogon pozostałby im w ręku, jak się to często zdarza polującym na pancerniki, niżby zwierzę dozwoliło wyrwać się ze swej nory. Wiedział o tem Guapo, i dlatego prosił don Pabla, aby przytrzymał tatu, sam zaś odgrzebał ziemię, pokrywającą jego głowę, rozciął ją siekierą i już bez trudu zabrał z sobą zwierzę.

XXX.

O s e l o t.

Przez całe lato don Pablo, Guapo i Leon pracowali bez przerwy około kory chinowej, odpoczywając tylko w niedzielę. Wygnańcy nasi byli prawdzi-

wie pobożni, wiedzieli, że Bóg zarówno jest obecny na pustyni, jak w pośród murów wielkiego miasta; że modły ich, zanoszone do Stwórcy wśród szumu liści, zarówno będą wysłuchane, jak wznoszące się do Niego w świątyniach, przy harmonijnym dźwięku organów.

W ciągu tygodnia, kiedy mężczyźni byli zajęci robotą w lesie, dona Izydora z małą Leonorą, oprócz zajęć gospodarskich, zajmowały się pracą, odpowiednią do ich siły i prawie równie korzystną, jak zbieranie kory chinowej.

W kilka dni po swem przybyciu w te strony, don Pablo znalazł w lesie poza ogrodem, roślinę, otaczającą pień prawie każdego drzewa; tę pasożytną roślinę, przypominającą bluszcz korzeniami swych gałązek, pokrywały kwiaty zielonawo żółte, z białymi środkami. Don Pablo poznał, że jest to gatunek pnączu, wydającego wanilię, nazywaną przez Francuzów *lec*, czyli prawdziwą, która pięknnością zapachu przewyższa wszystkie inne.

Ponieważ przy każdym drzewie znajdowało się po kilka krzaczków, a wśród nich nie było żadnej innej tego rodzaju rośliny, don Pablo domyślił się, że były tam zasadzone przez zacnego misjonarza, któremu zawdzięczali wszystkie bogactwa swego ogrodu.

Kwiaty opadły podczas lata, a miejsce ich zajęły strączki cokolwiek grubsze od labędziego pióra i blisko trzydzieści centymetrów długie. W środku tych, lekko spleczonych, żółtych i pomarszczonych strączków, znajduje się wielka ilość nasienia drobnego, jak ziarenka piasku, powleczonego soczystą substancją;

zapach wydają tak piękny, że za pół kilograma placą 250 franków. Dona Izydora zajmowała się właśnie konserwowaniem tych strączków.

Najprzód zbierały je jeszcze cokolwiek niedojrzałe i nawlekaly na nitkę, od końca, którym były przyczepione do gałązki, a po zanurzeniu ich przez chwilę we wrzącej wodzie (przez co bieleły), suszyły je przez kilka godzin na słońcu, przywiązawszy do dwóch drzew nitkę, na której wisiały; nazajutrz smarowały strączki piórkiem, lekko umaczanem w oliwie, i ażeby się nie otwierały, okręcały je bawełną, zmoczoną w oliwie. Po kilku dniach trzeba było pozdejnować je z nitki i nawlec drugim końcem, ażeby z gałązki łatwiej mogła wypłynąć napelniająca ją ciecz kleista; w tym celu robotnice przyciskały jeszcze lekko palcami każdy strączek. Wysychając, strączki traciły połowę swej pierwotnej objętości i przybierały czerwonawo-brunatną barwę; wówczas pociągano je po raz drugi bardzo lekko oliwą i układano w małe pudelka, wyrobione w tym celu z palmowych liści. Tym sposobem nietylko dona Izydora, ale i małutka Leonora przykładały się wiele do zapewnienia dobrobytu całej rodzinie.

Raz, kiedy dona Izydora układała wanilię w pudelka, a Leonora, siedząc przed domem, nawlekała świeże strączki na nitkę, zwierzę jakieś ukazało się na przeciwnym brzegu rzeki, a dziewczynka zawołała:

— Mamo, mamó! chodź, zobacz ślicznego kota.

Dona Izydora wybiegła przestraszona, sądząc, że to jaguar zbliża się do domu. Spojrzała w kie-

runku, wskazywanym jej przez córkę, i rzeczywiście zobaczyła zwierzę centkowane, podobne do kota, ale daleko większe od niego, choć nie dorastało jaguara. Zwierzę zbliżyło się do wody, jak gdyby pić chciało, lecz po chwili rzuciło się w rzekę, przepłynęło na drugi brzeg i biegło ku domowi. Przerażona tem biedna matka, uchwyciła Leonorę i uciekła z nią wewnątrz domu, potem zamknawszy drzwi, zatarasowała je, czem mogła; jednak była to słaba obrona przeciwko jaguarowi, którego potężnym pazurami nie długo by się opierały bambusowe ściany. Dona Izydora była odważną; nie straciła więc przytomności i uchwyciła pistolety don Pabla, wiedząc, że są nabite, i postanowiła do ostatniej chwili bronić swej ukochanej córki; ażeby zaś nie stracić najdogodniejszej chwili działania, przez szpary w ścianach śledziła ruchy zwierzęcia. Leonora ani na chwilę nie chciała odstąpić matki, chociaż wiedziała, że jej pomódz nie potrafi.

Zwierzę po dwóch skokach stanęło na brzegu, przybiegło do drzwi i zatrzymało się, jak gdyby się namyślało. Nie było zbyt wielkie, a jednak jego tygrysie oczy i białe zęby, wymykające się co chwila z pod drgającej wargi, mogły przerazić każdego.

Po chwilowym namyśle, zwierzę poruszyło się z miejsca, i obchodząc około domu, przypatrywało się ścianom, jakby szukając otworu, którymby mogło przecisnąć się wewnątrz. Dona Izydora ściagała go oczyma, ażeby wystrzelić, jak tylko zechce naruszyć ścianę.

Mu! jadł spokojnie, przywiązany do drzewa, ro-

snącego o kilka kroków od domu. Nie wiem, czy to dzikie zwierzę widziało już kiedy muła, sędzę jednak, że nie, gdyż, jak go tylko zoczyło, ciekawie ku niemu pobiegło, i to tak blisko, że aż dotknęło jego nogi, nie domyślając się, że go może spotkać jaka nieprzyjemność. Tymczasem muł, okropnie przestraszony, skorzystał z tak źle obranej przez nieprzyjaciela pozycji i kopnął go tak silnie, że potoczył się i upadł najmniej o dziesięć kroków dalej, a dona Izydora patrzyła z radością, jak powstawszy, uciekł z całej siły, przepłynął napowrót rzekę i znikł pomiędzy palmami.

Wynagradzając mułowi tak wielką przysługę, dona Izydora zaniósła mu orzechów murumuru i osypała go pieszczotami, które dobre zwierzę przyjmowało z widocznymi oznakami radości.

Po powrocie don Pabla, opowiedziano mu całe zdarzenie, a kiedy mu opisano zwierzę, poznał zaraz, że nie było jaguarem. Jaguar nie przeląkłby się muła, lecz przeciwnie, roztrzaskałby mu czaszkę i zawłókł z sobą do lasu, a może nie poprzestając na tem, wdarłby się jeszcze do domu, aby się nasycić krwią jego mieszkańek. Był to więc oselot, tak, jak jaguar centkowany, czyli raczej *oczekowany*, gdyż centki na jego futrze mają niejaki podobieństwo do oczu.

W Montanie znajduje się wiele gatunków zwierząt, spokrewnionych z kotami: jedne z nich są centkowane, jak lampart, drugie przegowane, jak tygrys, inne znów jednakowo na całym ciele ubarwione. — Wszystkie te gatunki są krwiożercze, ale wyjąwszy pumę i jaguara, nie napastują nigdy człowieka, jeśli nie są zaczepiane, w przeciwnym razie bronią się

rozpacznie i często zwyciężają przeciwnika. — Tak samo postępują dzikie koty, żyjące w Europie, kiedy są przywiedzione do ostateczności.

Kot jaguar (*felis onca*), zajmuje trzecie miejsce wpośród swych pokrewnych: pierwsze i drugie zajmują lew i tygrys, jako przewyższające go wzrostem i siłą; widziano wprawdzie tak wielkie, jak tygrys azyatycki, ale zwykle jest on mniejszy od niego, a pomimo to, tak silny, że konia, a nawet wołu może przeciągnąć przez pół kilometra drogi. Zamieszkuje we wszystkich zwrotnikowych spano-amerykańskich posiadłościach, gdzie powszechnie, lecz niewłaściwie tygrysem jest nazywany, albowiem skóra tygrysa nie jest centkowana, lecz przegowana.

Ze wszystkich zwierząt, należących do tego pokrewieństwa, lampart najwięcej zbliża się do jaguara ubarwieniem swej skóry. — Jednak u niego także centki są cokolwiek odmienne: nie są pierścieniowate, albo pierścienie są próżne, czego nie spotykamy u jaguara.

Nie wszystkie jaguary bywają jednakowo ubarwione; u najpiękniejszych tło futra jest żółto-pomarańczowe, u innych bledsze, a niekiedy nawet prawie białe. Znajdują się także czarne, czyli raczej ciemno kasztanowate; sądzą wszakże, że te stanowią oddzielny gatunek. Zamieszkują one w najgorętszych częściach Montany; mówią, że są dziksze i większe od żółtych, a mieszkańcy najczęściej ich się obawiają.

Jaguar jest despotycznym panem wśród wszystkich lasów Ameryki Południowej, gdzie żadne zwierzę nie śmie walczyć z nim o pierwszeństwo, lecz

przeciwnie, drży i ucieka, posłyszawszy straszny, śmierć zwiastujący ryk jego; głos ten przeraża samych nawet Indyan, gdyż co rok przynajmniej kilku z nich pada ofiarą okrutnego zwierzęcia.

Są jednak tak odważni Indianie, że nie obawiają się walczyć z jaguarem, i to nie połączonemi siłami, ale osobno, uzbrojeni tylko lancą, którą przebijają go zazwyczaj od pierwszego zamachu; zdarza się jednak, że czasem chybiają; w takim razie śmierć ich byłaby niezawodną, gdyby na lewej ręce nie mieli zawieszanej skóry baraniej, którą w tejże chwili podsuwają przeciwnikowi: rozwścieczone zwierzę rzuca się na nią i szarpie, a myśliwy tymczasem drugi raz go uderza i już prawie zawsze śmiertelnie.

Mieszkańcy nie tylko dla własnego bezpieczeństwa polują na jaguary; zachęca ich do tego także chęć zysku, gdyż za pyszną jego skórę płacą po kilka dolarów, a w wielu miejscach na głowę jego nałożono okup. Jednak chociaż co rok zabijają tysiące tych zwierząt, liczba ich nie zdaje się zmniejszać; wprowadzenie do Ameryki Południowej wielkich gatunków zwierząt ssących stało się dla jaguarów nadzwyczaj pożądanem, i wszędzie, gdzie tylko znajdują się napół dzikie trzody, jaguary są równie liczne, jak dawniej, pomimo wszelkich wytępiających je środków. Kto nie był nigdy w tamtych stronach, nie zdoła pojąć, jak wiele zwierzęta te wpływają na losy kraju: w niektórych częściach Ameryki Południowej, plantacye, a nawet całe wsie zostały opuszczone przez mieszkańców, niepokojonych napadami jaguarów.



Zabicie jaguara.

XXXI.

J a g u a r y.

Wygnańcy nasi nie trafili dotąd na ślady jaguarów, sądzili więc, że ich niema w tych stronach, gdy w końcu lata niespodziewany wypadek przekonał o ich obecności.

Już po tej stronie rzeki wszystkie pościnali drzewa i pozdejmowali z nich korę, a don Pablo odkrył nowe mansze na drugim brzegu, i kaskarylerosi tam znowu pracować zaczęli. — Pewnego dnia, kiedy sam Guapo udał się tam z Leonem, a don Pablo pozostał w magazynie, chcąc porobić potrzebną ilość pak, Indyanin musiał powrócić do domu, ażeby w nową rękojeść oprawić siekiere, ponieważ dawna pękła mu przy robocie. Leon pozostał sam przy pracy, a ukończywszy ją, poszukał dogodniejszego miejsca do spoczynku, usiadł u stóp prostopadłej skały i bawił się, patrząc na przelatujące nad jego głową tukany i papugi. — Po niejakić chwili posłyszał niedaleko coś podobnego do miauczenia; zaciekawiony, pobiegł w tamtą stronę i spostrzegł dosyć głębokie wydrążenie w skale: zajrzał wewnątrz i dostrzegł dwa małe, centkowane zwierzątka, które wziął za kocięta; uradowany tem odkryciem, rzekł sobie: «Mama żałuje, że niema kota w domu; te są prześliczne, zabiorę je i zaniosę jej w podarunku».

Wszedł na czworakach wewnątrz groty, zabrał kocięta, które koniecznie chciały go podrapać; Leon

nie dał się ustraszyć taką drobnostką, wziął je pod pachę i w tryumfie poszedł do domu.

Guapo naprawiał siekiere, don Pablo układał kore, a dona Izydora z córką zajmowała się zwykłą robotą, kiedy posłyszano za rzeką głos Leona:

— Patrz, mamó, co ci przynoszę! — wołał, pokazując zdaleka małe zwierzątka: — patrz, jakie to prześliczne kotki.

Don Pablo, posłyszawszy te słowa, wybiegł z magazynu, a miedziana twarz Guapa pobladła z przerażenia; pomimo dość znacznej odległości, poznali w kociętach małe jaguary.

— Boże! ratuj go! — zawołał don Pablo, śledząc osłupiałym prawie wzrokiem przeciwny brzeg rzeki.

— Prędko, mój mały panie — wołał Guapo — biegnij do mostku, uciekaj na tę stronę. Prędzej jeszcze! prędzej, bo będzie zapóźno!

Leon poznawał ze słów, a szczególnie z ruchów Guapa, że mu groziło jakieś niebezpieczeństwo, ale nie domyślając się, jakie, zawahał się przez chwilę.

— Biegnijże prędko, jaguary cię gonią — zawołał Indyanin.

Don Pablo nie jeszcze nie dostrzegł, lecz zaledwie Guapo wymówił te słowa, dwa rozwścieczone zwierzęta wypadły z lasu i ukazały się nad brzegiem jeziora. Trudno się było ludzi nadzieją: nie tylko ich pomarańczowa oczkowato-centkowana skóra, ale już sama wściekłość dowodziła, że to są jaguary. Po kilku skokach stanęły na przebieżonej przez Leona drodze, puściły się nią, wążąc ślady, pozostawione przez niego; przystawały czasami, lub prześcigały się

wzajemnie; machały ogonami, a te bezładne ich ruchy dowodziły, że doszły do najwyższego stopnia wściekłości. Na chwilę znikły wśród drzew palmowych i prawie w mgnieniu oka znów wybiegły.

Głos zamarł z przerażenia w piersiach dony Izydory i Leonory; Guapo, który szczęściem naprawił już swoją siekiere, pobiegł z nią ku mostowi razem z don Pablem, uzbrojonym w pistolety.

Guapo i Leon biegli równolegle po dwóch stronach rzeki.

— Panie! rzuć jednego, ale tylko jednego — krzyknął Indyanin.

Leon usłuchał, nie obejrzawszy się nawet za małym jaguarem.

— Teraz rzuć drugiego! — zawołał Guapo w kilka chwil później.

Szczęściem, Leon usłuchał w tej chwili, gdyż inaczej jużby się nie dostał na drugą stronę rzeki; kiedy rzucił pierwszego, jaguary były już zaledwie o dwadzieścia kroków za nim, lecz bujne zielska prawie całkiem go zasłaniały. Gdy dobiegły do miejsca, w którym leżało ich młode, zatrzymały się i zaczęły je lizać i pieścić; ale niezadługo samica pobiegła szukać drugiego, a wkrótce i samiec poskoczył za nią; znalazły je wkrótce i znów zatrzymały się tak samo, jak przy pierwszym.

Dona Izydora i don Pablo mieli nadzieję, że nie pójdą dalej, lecz zabrawszy młode, powrócą do jaskini; ale jaguar przyprowadzony do wściekłości, jest nieubłagany w swej zemście i nie zważa na żadne przeszkody.

Jaguary puściły się więc dalej za śladem, ale Leon dobiegł tymczasem do mostu, na którym Guapo już czekał na niego, a porwawszy go na ręce, przeniósł na drugi brzeg i kazał mu jak najprędzej uciekać do domu. Sam Indyanin nie mógł jeszcze myśleć o ucieczce, gdyż wiedział, że jaguary przebiegną most ze zręcznością wiewiórki, jeśli przed tem nie potrafi go zniszczyć. Pochwycił siekierę i zabrał się do pracy; uderzenia następują po sobie z nadzwyczajną szybkością, drzewo już głęboko zanurzone, już nawet trzaski zaczyna, kiedy jaguary ukazały się na przeciwnym końcu. Wygnańcy struchleli z przerażenia, ale mężny Guapo podwaja usiłowania; jaguar stanął na moście, zatrzymał się; siekiera coraz głębiej zatapia się w drzewo; jaguar jednym skokiem stanął na środku chwiejącego się już mostu. Indyanin jeszcze raz uderza z całej siły, a drzewo osuwa się z trzaskiem i wraz z jaguarem spada na dno potoku, najeżone ostrymi odłamkami skały. Indyanin krzyknął radośnie, już pozbył się jednego przeciwnika. Samica leżała na dnie przepaści, ale pozostał jeszcze samiec, a po jego szalonej wściekłości i rozpaczem postanowieniu znać było, że się domyśla, kto był przyczyną jej śmierci: jednym rzutem oka zmierzył odległość, dzielącą go od nieprzyjaciela; już go nie zastrasza żadne niebezpieczeństwo, pragnie tylko pomścić swą towarzyszkę. Cofnął się o kilka kroków, skurczył i podniósł grzbiet w górę, ażeby z większym zapędem mógł skoczyć na brzeg przeciwny. Guapo oczekuje go, stojąc na drugiej stronie, jaguar rzuca się naprzód, i jak strzała przelata nad przepaścią, ale

pazurami tylko dosięga brzegu, całem ciałem zawisa nad przepaścią, a jednak nie wątpi, że mu się uda pochwyć zdobycz. Biada Indyaninowi, jeżeli nie uprzedzi jeszcze jednego rzutu tego zwinnego zwierzęcia, bo za chwilę jaguar krwią jego nasycić się będzie! Lecz teraz Guapo poskoczył naprzód i siekierą uderzył go w głowę; raz był źle wymierzony. Indyanin zbliżył się, chcąc uderzyć go znowu, lecz jaguar podniósł łapę i zagłębił mu pazury w nogę. Biedny Guapo byłby z pewnością padł ofiarą swego poświęcenia, gdyby w tejże chwili don Pablo strzałem z pistoletu nie strącił jaguara w przepaść, poczem wzięwszy na ręce wiernego sługę, zaniósł go do domu, gdzie dona Izydora opatrzyła natychmiast głęboką jego ranę.

XXXII.

T r a t w a.

Chociaż spotkanie z jaguarami tak bardzo przeżyło wygnańców, uznali jednak, że pomyłka Leona szczęśliwy wzięła obrót, gdy uwolnili się od straszliwych sąsiadów; Guapo zaś zaręczał, że już teraz nie potrzebują obawiać się jaguarów, gdyż prawdopodobnie nie było ich więcej w okolicy. Ponieważ jednak koczujące życie tych zwierząt nie dawało im zupełnej pod tym względem pewności, przedsięwzięto wszelkie ostrożności przeciwko tym, które mogły osiedlić

się w tej stronie lasu, i postanowiono tak działać, jak gdyby już znajdowały się w pobliżu.

Młode jaguary, rzucone przez Leona po drugiej stronie, byłyby bezwątpienia stały się pastwą jakiego dzikiego zwierzęcia, lub drapieżnego ptaka, gdyby Guapo nie postanowił inaczej o ich losie: przepłynął rzekę wplaw, udusił obydwu, związał je, potem przewiesił sobie przez ramię, przebył napowrót rzekę i zaniósł je do domu; a kiedy już wszyscy przypatrzyli im się do woli, zdjął z nich skórę, którą przeznaczał na swój wyłączny użytek,

W kilka dni potem Guapo z Leonem schwycili w lesie śliczne zwierzątko, wielkości wiewiórki, które odrazu zostało ulubieńcem całej rodziny.

Szli obydwaj do roboty, kiedy jakiś niezwykle szmer doszedł ich uszu; udali się zaraz w tę stronę, z której dochodził do nich, i na gałęzi dość niskiego drzewa, spostrzegli dwanaście malutkich malpeczek, zwiniętych w jeden kłębek i przytrzymujących się wzajemnie chwytynymi ogonami. Drugie tyle zwierzątek kręciło się około gałęzi, próbując, czy im także nie uda się przyczepić, a nie mogąc tego dokazać, jęczały żałośnie. Leon i Guapo podbiegli ku nim i złapali trzy zwierzątka, nim uciec zdołały; wszakże jedno tylko przyniesli do domu, gdyż inne wkrótce żyć przestały. Było to śliczne zwierzątko, zwane *saimiri*, lub *titi*; pokrywało je piękne, miękkie i lśniące zielonawo oliwkowe futerko, a piękne, duże i wyraziste oczy, to napelniały się łzami, to błyszczały wyrazem radości, jak oczy dziecięcia.

Kaskarylerosi pracowali gorliwie jeszcze przez

jedno lato i tyle drzew chinowych znaleźli niedaleko, że wyrobili znaczną ilość kory.

W końcu jednak to życie dzikie, choć nieogłocone ze wzruszeń i przyjemności, znużyło don Pabla i jego żonę; nie mieli nigdy zamiaru osiedlić się na puszczy, konieczność zmusiła ich szukać tam schronienia, a gdyby nie spotkali na swej drodze drzew chinowych, staraliby się jak najprędzej las ten opuścić. Dziś nie sama tylko chęć powrócenia do życia towarzyskiego zachęcała ich do opuszczenia Montany, ale także niebezpieczeństwo, grożące ich dzieciom: jaguary, pumy, węże, a nawet ludzie, mogli lada chwila pozbawić ich życia.

Wprawdzie nie dostrzeżono dotąd nigdzie śladu Indyan, ale zdarza się nieraz, że całe pokolenia mieszkają obok siebie przez kilka lat i nic o tem nie wiedzą, jeśli tylko oddzielają je te nieprzebyte zarosła, które tak łatwo spotkać w tym lesie. Ślusznie więc nasi wygnańcy mogli obawiać się niespodziewanego napadu Indyan, a ta myśl napelniała don Pabla i Izydorę śmiertelną trwogą. Postanowili więc za nadęściem wiosny zbudować tratwę i puścić się z biegiem wielkiej rzeki, która prawdopodobnie doprowadzi ich do Amazonki. Guapo nie podróżował nigdy w górę, ani w dół tej rzeki, ale przypominał sobie, iż niegdyś mówili mu Indianie jego pokolenia, że ta rzeka nazywa się Purus, i że wpada do Amazonki, przy ujściu Madeiry i Koary.

Tak więc przed upływem kilku miesięcy, nasi wygnańcy wsiadą na tratwę, z nadzieją powrotu na łono społeczeństwa, z którego wygnano ich tak okru-

tnie; — lecz i tego czasu nie chcieli tracić marnie: wprawdzie pora nie była stosowna do zbierania kory, ale odkryli nowe źródło bogactw: *kolcowój* (*smilax officinalis*), wyrastał obficie nad brzegami rzeki, wpośród różnego gatunku pnączów. Kolcowój jest to roślina pnąca się i wiciowata, należąca do rodziny szparagowatych, a korzenie jej nazywają: *sassaparilla*. Don Pablo wykopał kilka korzeni, a przyjrzawszy im się dokładnie, poznał, że należą do najlepszego gatunku, gdyż znajduje się wiele roślin, dostarczających lepszej lub gorszej *sassaparilli*. Kolcowój, o którym mówimy, jest rośliną pnącą, czyli raczej wiciowatą, wypuszcza wielką ilość długich i pomarszczonych korzeni, grubości mniej więcej gęsiego pióra. Zbieranie *sassaparilli* nie jest zbyt utrudnione: trzeba tylko wykopać korzenie, ususzyć je i powiązać w paczki pewnym gatunkiem niewielkiego, lecz bardzo mocnego pnącza. Don Pablo, Leon i Guapo zajmowali się tą pracą aż do dnia wyjazdu i tak im się poszczęściło, że przy końcu zimy nie było już ani kawałka pustego miejsca w obszernym magazynie, zbudowanym na skład chin.

Zanim jednak udali się w tę nową i tak niebezpieczną drogę, don Pablo wysłał w góry wiernego sługę, aby tam od swego przyjaciela Wakerosa z Puny dowiedział się, czy nie zaszła jaka szczęśliwa zmiana, pozwalająca wygnańcom wrócić do ojczyzny. Lecz, niestety! z tej strony żadnej nie było nadziei; ten sam wicekról rządził Peruwianami, a na głowę don Pabla dotąd nałożony był okup, jakby na głowę złoczyńcy. Po odebraniu tak niepomyślnych wiadomości, trzeba

było zabierać się do wyjazdu i jak najspieszniej budować tratwę. Ułożono pnie cejby, dawno już w tym celu poćcinane, na nich postawiono chatkę z palm i bambusów, pokrytą wielkimi liśćmi bussu; mała łódka zastępowała szalupę, a dwie większe przyczepiono po bokach, aby tratwa była lżejszą. Ładunek rozłożono w przeznaczonem na ten cel miejscu i pokryto starannie palmowymi liśćmi.

Konia i mula niepodobna było zabrać z sobą, a żal było zostawiać je na pastwę jaguarom. Guapo zaprowadził więc mula w góry i w imieniu don Pabla, oddał go pasterzowi z Puny. Nad losem konia długo się namyślano: pozostawiony na miejscu, najdalej za kilka dni stałby się ofiarą dzikich zwierząt, a Guapo nie chciał przystać na to; koń, karmiony owocami murumuru, upasł się, jak wieprzak, a ponieważ Indianie lubią mięso tak upasionych koni, Guapo zabił swojego, chociaż żałował go bardzo. Mięso, pokrajane w sztuki i ususzone, przeniesiono na tratwę, razem z innymi artykułami żywności.

Wygnańcy, opuszczając domek, zabrali z sobą prawie wszystkie narzędzia i sprzęty; doszedłszy do końca doliny, ostatniem spojrzeniem pożegnali schronienie, w którem niejedną miłą przepędzili chwilę, poczem udali się w dalszą drogę, w towarzystwie *saimiri*, siedzącego na ramieniu Leonory, a wkrótce potem wsiedli na tratwę i popłynęli z biegiem rzeki.

XXXIII.

Opieka brata.

Rzeka płynęła z szybkością czterech mil na godzinę, podróżni więc posuwali się równie prędko, płynąc z pędem wody, za pomocą szerokiego wiosła, przy-mocowanego z tyłu tratwy, które im za ster służyło. Don Pablo i Guapo zmieniali się przy niem kolejno, a praca ta wtenczas tylko była utrudzającą, kiedy trzeba było okrażyć jaki klin ziemi, lub wyminąć jakie niebezpieczne miejsce; wtedy pracowali połączonemi siłami i nieraz z trudnością pokonywali, powstrzymujące ich przeszkody. Potem, kiedy tratwa spokojnie posuwała się na falach rzeki, podróżni, siedząc obok siebie, przypatrywali się nadbrzeżnym widokom, a czas upływał szybko na rozmowie, przepłatanej uwagami o przesuwających się przed ich oczyma przedmiotach. Jużto spostrzegali wysmukłe palmy, wznoszące się do zadziwiającej wysokości, to znów inne wielkie drzewa, których olbrzymie pnie opasywały pnące, oplecione około nich, niby potworne węże; dalej następowały zarośla, tak gęste, że wśród nich nogi nie było gdzie postawić, a gałęzie spuszczały się aż w wodę; gdzieniegdzie ukazywały się ławy piasku, lub prawie nagie wysepki, a za nimi znów gęste lasy, pokrywające inne wyspy.

Choć w ogóle okolica była zupełnie równa, kiedyniekiedy spotykali małe wzgórza, zniżające się nieznacznie aż do płaskich brzegów wody. Piękne ptaki,

nieznane zwierzęta i drzewa, ożywiały i urozmaicały ten piękny krajobraz.

Do wieczora przepłynęli około dwudziestu mil drogi. Czas było pomyśleć o spoczynku, przybili więc do brzegu, spostrzegłszy miejsce zarosłe drzewami, a niepokryte zaroślami, któreby im wylądować nie dozwoliły. Był to las wielkich drzew, wznoszących się w górę, jak kolumny, podpierające olbrzymie sklepienie zieleni; wkrótce odzywać się zaczęły głosy nocnych zwierząt, zamieszkujących te knieje. Małpy nie przestraszały naszych podróżnych, ale przerażał ich ryk jaguara, grzmiący wśród tego okropnego chóru rozmaitych głosów. Rozłożyli więc w półkole ogromne ognisko, przytykające do rzeki obydwoma końcami, a w środku pozawieszali hamaki; ponieważ jednak ogień niezawsze odstrasza jaguara, postanowiono, że mężczyźni będą czuwać po kolei nad bezpieczeństwem rodziny. Leon, który już nieraz dał dowody przytomności i odwagi, miał najpierwej pozostać na straży; po dwóch godzinach zastąpi go Guapo, a po nim don Pablo zobowiązał się czuwać aż do rana. Leonowi zalecono, ażeby w razie choćby najmniejszego niebezpieczeństwa, obudził śpiących.

Usiadł przy hamaku siostry, jako więcej od innych potrzebującej opieki; położył przy sobie nabite pistolety, ażeby ich użyć w razie potrzeby, co potrafiłby wykonać odważnie i z zimną krwią.

Już blisko pół godziny zostawał na swem stanowisku, spoglądając kolejno na rzekę lub ciemny las, który chwilami zdawał mu się ożywiać pod zawezwaniem tego szatańskiego chóru tysiąca dzikich głosów,

pomieszanych ze skrzeczeniem żab i przenikliwym brzęczeniem owadów. Chwilami głębokie milczenie przerywało tę straszną wrzawę; zaledwie słyhać było brzęczenie mustyków, lub odzywające się niekiedy bolesne skargi drapieżnego ptaka, które zjednały mu poetyczną nazwę *alma perdidá* (zgubionej duszy).

Pomimo tak strasznej wrzawy, powieki Leona zamykały się mimowolnie; byłby chętnie położył się na ziemi, nie zważając na pająki, niedźwiadki i węże; lecz chociaż potrzeba snu przemagała w nim troskliwość o własne bezpieczeństwo, nie zapomniał, że powierzono mu ważny obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem innych, że honor nie dozwalał mu zdradzić zaufania tych, którzy, ufając jego słowu, zasypiali spokojnie. Przetarł oczy, wstał, zbliżył się do rzeki, umaczał w niej ręce i powrócił na swoje stanowisko. Senność znów go ogarniała, a głowa pochylała się na piersi, kiedy krzyk Leonory rozbudził go zupełnie: podniósł głowę, i zdawało mu się, że hamak kołysze się lekko, chociaż Leonora nie poruszała się i spała głęboko.

— Biedna siostrzyczka! — rzekł półgłosem — śni zapewne o węzach lub jaguarach! Może ją obudzić?... Ale nie: tak smacznie zasnęła....

Spoglądał ciągle na hamak i spostrzegł na odkrytej nóżce Leonory czerwoną prążkę, ciągnącą się od kostki aż pod stopkę; zbliżył się i poznał z przerażeniem, że to krew się sączy.

Przezorność nie pozwalała mu wołać o ratunek: któż mógł wiedzieć, czy nieznane zwierzę, które potrafiło wśliznąć się do hamaku, nie rozdrażni się jego



Strasznydło wampir.

krzykiem i ofierze swej nie zada niebezpieczniejszej rany? Lepiej było, zaczaiwszy się na nieprzyjaciela, schwytać go, lub zabić z pistoletu.

XXXIV.

Straszydło wampir.

Leon, pochylony nad głową siostry, słyszał jej równy i spokojny oddech, a uspokojony tem nieco, zaczął szukać troskliwie, czy wewnątrz hamaku, lub we faldach koldry nie odkryje sprawcy niepokojącej go rany.

— Ach! mój Boże — pomyślał — może to wąż koralowy, lub żmija.

W tej chwili dało się słyszeć leciuchne trzepotanie skrzydłami, jak gdyby sowa przeleciała. Leon więcej czuł, niż słyszał, że coś unosi się nad jego głową i nieraz aż jego włosów dotyka, lecz nie mógł rozpoznać, co przemyka się ciągle przed jego oczyma: dziwaczna ta postać lotem, kolorem i spojrzeniem różniła się od sowy.

Myśląc nad rozwiązaniem tej zagadki, spojrzał znów na hamak i zadrżał, spostrzegłszy potworne stworzenie, zawisłe w powietrzu nad nóżką Leonory, z której chciwie krew wysysało, pokazując białe zęby i błyskając w cieniu złośliwemi oczkami, które blask oślepia.

Przy blasku ogniska można było dojrzeć rudawą

sierć, pokrywającą jego ciało, i błonowate skrzydła, nadające temu szkaradnemu zwierzęciu jeszcze bardziej odrażającą postać. Był to wampir (*vampirus sanguisugo*), a kiedy pierwsze minęło wrażenie, widok tego obrzydliwego stworzenia uspokoił Leona, gdyż wampir nie jest jadowity, a zadane przez niego rany wtedy tylko są niebezpieczne, jeśli z nich zbyt wiele krwi upłynie; pomimo to, schwycił pistolet i uderzył kolbą potworne zwierzę, które padając, piskliwie krzyknęło i obudziło podróżnych. Widok krwi, sączącej się z nogi Leonory, przestraszył obudzonych, lecz przerażenie znikło, skoro tylko poznało przyczynę; opatrzono zaraz ranę, która po kilku dniach zupełnie się zagoiła.

Ukąszenie wampira, nie sprowadza, jak to już widzieliśmy, natychmiastowej śmierci, gdyż mała ilość krwi, którą naraz wysysa, może zaledwie osłabić cokolwiek zwierzę; ale jeśli z tej rany i następnych nocy wampir wysysa ją będzie, biedne zwierzę staje się w końcu ofiarą jego żarłoczości. Na rozległych pastwiskach Ameryki Południowej giną tym sposobem tysiące wołów i koni, gasną powoli, nie wiedząc nawet, kto je zabija, gdyż ukąszenie wampira nie sprawia bólu, i rzadko się zdarza, aby obudził napadnięte przez siebie zwierzę.

Łatwo zrozumieć, jakim sposobem wysysa krew swoich ofiar, przyjrzawszy się jego pyszczkowi i otaczającej wargi pomarszczonej i w kształcie liścia wyciętej skórze; lecz nie tylko naturaliści i podróżni, ale nawet krajowcy, których kosztem żyje, nie wiedzą, jakim sposobem zadaje rany. Zdaje się, że nie zębami, gdyż te są dosyć szerokie i wydają się nieodpowie-

dnimi do tego użytku; zresztą szerokość otworu nie zgadza się z ich objętością, a ukąszenie musiałoby koniecznie obudzić ofiarę, a jednak wampir nie ma ani pazurów, ani żądła, któremby mógł przebić ciało; jakimże więc sposobem wydobywa krew na wierzch? Różne o tem krążą mniemania: jedni sądzą, że dochodzą do tego celu, pocierając pyszczkiem skórę swej ofiary; drudzy, że obracając się szybko wokół, zapuszczają w nią koniec swego długiego i silnego kła, gdy jednoczesne poruszenie skrzydeł chłodzi śpiącego i nie pozwala mu uczuć bólu. Prawdę mówiąc, trudno rozstrzygnąć, kto ma słuszość, gdyż ci złoczyńcy zdradziecko i w ciemnościach dokonywają swych zbrodni.

Wielu naturalistów zaprzeczało istnienia wampirów, twierdząc, że przytaczane o nich fakty zbyt są potworne i bajeczne, aby mogły być prawdziwe; lecz zaprzeczenie, nie poparte dowodami, jest właściwą cechą półmędrków, a bajeczne podania opierają się czasem na rzeczywistych faktach.

Wiadomo powszechnie, że mustyki zapuszczają trąbkę w ciało ludzkie, ażeby się krwią nasycić; cóż więc tak niepodobnego w mniemaniu, że niedoperz czyni tak samo!

Niektórzy znów uczeni dowodzą, że wampir nasycza się tylko krwią zwierząt, a ludzi nigdy nie napada; my zaś sądzimy, że wcale na to nie zważa, czy jego ofiara chodzi na dwóch, lub czterech nogach. Mogłoby to być prawdopodobne w okolicach zaludnionych, gdzie człowiek wypowiedział wampirom zaciętą wojnę; ale dla czogóżby go unikał w puszczy,

skoro nie lęka się napastować największych czworonogów, jak o tem przekonują tysiące zwierząt, które co rok giną od wampirów?

Słyszeliśmy, że w przeciągu sześciu miesięcy padło z tego powodu kilkaset sztuk z licznej trzody bydła, a wakerosi, którym płacą za głowę każdego wampira, zabili ich blisko siedm tysięcy w ciągu roku. Właściciele bydła tak dobrze wynagradzają wyniszczających te potworne zwierzęta, że są ludzie utrzymujący się jedynie z tego rodzaju polowania.

Wampiry dokuczają bardzo Indyanom i podróżnym; niektórzy, pomimo duszącego gorąca, przykrywają się całkiem koldrami, aby się uchronić od ich napaści. Kąsają najczęściej w koniec wielkiego palca u nogi, może dlatego, że go częściej napotykają odkryty. Zdarza się często, że osoby śpiące tuż przy sobie, jedno podlegają ukąszeniu, drugie nie, jak to zresztą bywa z ukąszeniami mustyków i komarów; widocznie zachodzi jakaś różnica smaku w krwi tych osób, którą to odrażające te stworzenia poznać i ocenić umieją. Dla odstraszenia wampirów, Indianie pocierają sobie ciało pieprzem z Kajeny, lecz środek ten nie zawsze jest skuteczny; nim także leczą rany, zadawane przez te zwierzęta.

W Ameryce Południowej, oprócz wampirów, znajduje się bardzo wiele gatunków niedoperzy i słusnie rzec można, że jak wśród zwierząt ssących, rzed błonoskrzydłych dzieli się na najwięcej gatunków i pokrewieństw, tak w Ameryce zwrotnikowej znajduje się więcej tych szkodliwych stworzeń, niż w innych okolicach ziemi. Jedne gatunki żyją owa-

dami, inne roślinami, ale wszystkie są zarówno brzydkie i odrażające, a oprócz tego, niektóre rodzaje wydają jeszcze nadzwyczaj smrodliwą woń, co bynajmniej nie przeszkadza Indyanom, a nawet kreolom z Guyany, zjadać z największym smakiem ugotowaną z nich zupę.

Widać, że i Guapo lubił niedoperze, bo jak tylko zajął miejsce Leona, podniósł wampira, wsadził go na kij, jakby na rożen, upiekł przy ognisku i zjadł na gorąco.

Nazajutrz podróżni zdziwili się, zobaczywszy czternaścioro tych zwierząt, rozciągniętych na ziemi; Guapo ukarał je śmiercią za chęć zakosztowania krwi naszych wygnańców. Ale jeszcze dziwniejsze mieli zobaczyć rzeczy: zbliżając się do tratwy, spostrzegli jakieś dziwne drzewo, całe pokryte gniazdami, czy też jakimś szczególniejszym mchem, wyglądającym niby porozwieszane lachmany. Dopiero przysunawszy się bliżej, poznali, że to były niedoperze, pozawieszane na gałęziach w najrozmaitszych pozycjach: jedne wisiały głową na dół, drugie, zaczepione za jedno, lub dwa skrzydła; inne, obok nich, tylko końcem ogona trzymały się gałęzi, a jeszcze inne obsiadły pień, zagłębiwszy pazury w popękana kora.

Podróżni, przypatrzwszy się śpiącym wampironom, wsiedli na tratwę i popłynęli dalej z biegiem rzeki.

XXXV.

M a r y m o n d y.

Wygnańcy przepłynęli już dwadzieścia mil i byliby popłynęli dalej, gdyby nie to, że jeszcze na kilka godzin przed zachodem słońca, napotkali bardzo dogodnie na nocleg miejsce. Był to klin ziemi całkiem огоłocony z roślinności, który w czasie deszczów woda całkiem zalewała, lecz obecnie zupełnie suchy, i jak gdyby strutowany przez zwierzęta. Rzeczywiście było to miejsce spoczynku świnek morskich (*cavia*), kiedy szły do rzeki, lub od niej wracały. Znać także było ślady tapira, pekary i błotnych ptaków, które zapewne tam przychodziły, wprzód, nim ziemia wyschła.

Wprawdzie nie było drzew do zawieszenia hamaków, ale ponieważ grunt był równy, można było położyć się na ziemi i spać, nie obawiając się niedo-perzy, zamieszkujących gęste lasy, i węzów, nie lubiących żyć w miejscach огоłoconych z roślinności. Don Pablo zauważył także, że jaguary nie zabłądzą zapewne aż w te strony, i głównie dla tej przyczyny postanowił wylądować w tem miejscu. Umieszczono więc tratwę tak, aby jej nie porwał prąd wody, a jak tylko stanęli na lądzie, Guapo udał się z Leonem po drzewo do lasu, najwięcej o sto metrów odległego.

W drodze spotkali nieznaną im dotąd palmę: wysoki jej pień wieńczyły liście, podobne do wielkich piór, tak ułożonych, że ponad pnem tworzyły bryłę

kulistą. Pień ten, bardzo cienki w stosunku do swej wysokości, pokrywały długie kolce w kształcie igły, osadzone na nim równo i obrączkowato, a ponad globem z liści wyrastały nadzwyczaj wielkie grona owoców, dużych jak morele i podobnych do brzoskwini, i dlatego nazwano tę palmę *pupunha*, to jest palma brzoskwiniowa; w niektórych okolicach Ameryki Południowej, drzewo to, należące do rodzaju *gullielmo*, nosi nazwę *pirijao* *). Guapo wiedział, że ugotowane owoce tej palmy są bardzo smaczne i dlatego postanowił zerwać je na wieczernę, ale nie było to tak łatwe do wykonania. Indyjanie, którzy nadzwyczaj lubią te owoce i wokoło swych wiosek zakładają wielkie plantacye pupunhy, przywiązują żerdzie od drzewa do drzewa, i wstępując po nich, jak po drabinie, zrywają te piękne i smaczne grona. Guapo nie mógł użyć tego sposobu, i chcąc mieć owoce, musiał

*) Albo wzięto to za jakieś dwa, bardzo zbliżone do siebie gatunki, albo natura pupunhy zmienia się stosownie do okolicy, w której się znajduje, to tylko pewno, że tam, gdzie ją nazywają *pirijao*, pień jej nie jest koleczasty, — nie umiemy jednak powiedzieć, czy nigdy nie był pokryty kolecami, lub też utracił je wskutek okoliczności, sprzyjających jego rozwojowi, gdyż często zdarza się widzieć, że dzikie gatunki, uprawiane przez człowieka, zrzucają z siebie kolce. Zdanie to zdaje się potwierdzać piękność owoców *pirijao*, większych od powyżej opisanych, zwłaszcza, jeżeli zauważymy, że prawie zawsze są płonne z powodu zbyt bujnego wzrostu wydającej je palmy. Owoce te są żółte, w niektórych miejscach czerwone, więcej powierzchownością, niż smakiem, podobne do brzoskwini; są mączyste i tak, jak kartofle i banany, mogą być przyprawiane na różne sposoby.

ściąć rodzące je drzewo; w tym celu wybrał jedno z najmłodszych, gdyż zielone jeszcze drzewo tej palmy jest już bardzo twarde i trudne do ścięcia, a gdy zestarzeje się i uschnie, nabiera czarnego koloru i tak twardnieje, iż zatępia ostrze siekiery. Zdaje się, że jest to najtwardsze drzewo ze wszystkich rosnących w Ameryce Południowej. Indyjanie kolcami jego nakłuwają sobie ciało przy tatuowaniu, a z innych części rozmaite rzeczy wyrabiają. Zdaje się, że aury i wszystkie owocożerne ptaki przekładają owoc pupunhy nad owoce innych palm; jednak kolce tak utrudniają przystęp do nich, nawet najzręczniejszemu się po drzewach, że z wyjątkiem ptaków i człowieka, jeden tylko gatunek małp potrafi dostać się do nich, kiedy tylko zechce.

Guapo i Leon powrócili z lasu obciążeni drzewem i owocami, rozpalono więc suty ogień, przystawiono kociołek, a podróżni, oczekując na wieczerzę, rozmawiali o różnych rzeczach, gdy wtem posłyszeli jakiś dziwny hałas. Były to pomieszane razem piszki, krzyki, wycie, ujadanie i szczebiotanie, połączone z trzaskiem łamiących się suchych gałęzi i szelestem gwałtownie wstrząsanych liści. Podróżni nie potrafiliby odgadnąć przyczyny tej wrzawy, gdyby Guapo nie poznał po krzyku, że to jest przechód pewnego gatunku małp, zwanych *marymondy*.

Marymondy nie są prawdziwymi wyjcami, chociaż do jednej ze stentorami należą rodziny; zaliczają je także do czepiaków, odznaczających się brakiem wielkiego palca u rąk przednich; jakby na wynagrodzenie tego braku, czepiaki, ze wszystkich małp, ob-

darzonych chwytными ogonami, posiadają w tych członkach najwięcej siły i zręczności; posługują się nimi, przechodząc z drzewa na drzewo, chwytają przedmioty, których nie mogłyby dosięgnąć rękami, śpią, przyczepione nimi do gałęzi i często nawet po śmierci pozostają w tej postawie.

Kilka jest gatunków czepiaków, różniących się między sobą wzrostem i kolorem, ale charakter i obyczaje wszystkich są jednakowe; gatunki te nazywają się: *miriki*, *mono*, *chameck*, *coaita*, *cayou*, *marimonda*, *chuva*, *macao*, *monacheir*.

Stojąca marymonda może mieć metr wysokości i liczy się do największych małp Nowego Świata; ogon jej bardzo długi i bardzo gruby przy podstawie, ścienia się coraz bardziej ku końcowi, a w części chwytnej jest nagi i pod spodem stwardniały. Wogóle marymonda wcale nie jest piękną; ma długie i cienkie ramiona, zakończone rękami bez wielkiego palca, i ogon nad miarę długi, przez co wydaje się bardzo chuda i nieproporcjonalnie zbudowana; jest czerwono-brunatnego koloru na grzbiecie i wyższych częściach ciała, przód zaś i gardło są jaśniejsze i przypominają kolor skóry metysów, pochodzących z rasy murzyńskiej i indyjskiej, i stąd w niektórych częściach Ameryki hiszpańskiej, nazywają marymondę *mono-zambo*, gdyż tam nazwą *zambo* oznaczają mularzy tego pochodzenia.

Coraz większy hałas dochodził podróżnych od strony rzeki, co dowodziło, że małpy zbliżają się od tej strony, i rzeczywiście spostrzegli je tam niezadługo i mogli przypatrzeć się ich ciekawemu pocho-

dowi. Marymondy nie schodzą nigdy z drzew, na których poruszają się ze zwinnością wiewiórki i lekkością ptaka, posługującego się skrzydłami; jeśli chcą przebyć przestrzeń, oddzielającą je od jakiegoś drzewa, przyczepiają się ogonem do gałęzi najbliższej od niego będącej, wprawiają ją w ruch, a kiedy posłuszna ich woli, podrzuci je w żądanym kierunku, chwytają długimi rękami za najpierwszą gałązkę.

Samice tem się odznaczały od innych marymondów, że trzymały na swym grzbiecie młode, przyczepione do nich bardzo silnym już w tym wieku ogonem. Czasami matka kazała schodzić stamtąd młodemu i uczyła go skakać z gałęzi na gałąź, sama idąc naprzód, aby mu pokazać, jak ma postępować. Jeśli odległość od drzewa była tak znaczna, że trudno ją było przebyć samicom, niosącym swe dzieci, samce czepiali się przeciwnych gałęzi, i wyciągając do nich ręce, ułatwiali im przejście; wszystkim ich ruchom towarzyszyła nieustająca rozmowa, połączona z radosnymi krzykami i ożywionem świegotaniem.

Część lasu, w której obecnie znajdowały się marymondy, przytykała do przylądka, po którego przeciwnej stronie rosły palmy pupunha; kiedy już przybyły na skraj lasu, zatrzymały się, i jak to często czynią, świegocąc, zawiesiły się na gałęziach głową na dół. Widać było, że się naradzają nad jakimś ważnem postanowieniem; ogólny krzyk zakończył narady, i wszystkie małpy zeszły na ziemię i zaczęły iść ku palmom. Chodziły tak niezgrabnie, iż to samo już dowodziło, że nie były stworzone do biegania po

ziemi; dłonie ich, przeznaczone do chwytania gałęzi, nie mogą rozciągać się na płask, i dlatego chodząc, składają je zupełnie, i jak kaleki, wloką się na pięściach. Zbliżyły się wkońcu do palm, i rozmawiając ciągle, spoglądały chciwie na owoce; zapewne zapytywały się wzajemnie, jakim sposobem możnaby dostać się do nich. Każdy pień był pokryty kolcami, a z ziemi dostać niepodobna. Jednak te nieprzelamane napozór przeszkody nie powstrzymały marymondów; obok palm rosło bardzo wysokie drzewo *zamang*, należące do rodzaju czulkowych, a zarazem do najpiękniejszych drzew Ameryki Południowej; gałęzie jego, pokryte delikatnie pierzastymi liśćmi, rozciągały się prostopadle o dwadzieścia cztery metry ponad ziemią. Po chwili, największe i najsilniejsze marymondy siedziały już na nich; ta, która wyprzedziła inne, uczepiła się ogonem do gałęzi, sterczącej w najprostszym kierunku ponad pupunhą i usiłowała dosięgnąć jej owoców, lecz nadaremnie, gdyż jeszcze znaczna przestrzeń oddzielała ją od nich. Po niej inne, równie bezskutecznie próbowały szczęścia, i Leon sądził, że odejdą z próżnemi rękami; lecz wkrótce przekonał się, że marymondy umieją pokonywać podobne przeszkody.

Kilka z nich zebrało się w pewnym punkcie, stojąca najbliższej brzegu, znów ogonem uczepiła się gałęzi i zawisła w powietrzu, druga z kolei weszła na jej grzbiet i uwiesiła się na niej, okręciwszy swój ogon około jej ciała; trzecia tak samo przyczepiła się do drugiej, a czwarta dosięgnęła już owoców, zrywała je rękami i zębami, i rzucała na ziemię. Mary-

mondy, stojące na ziemi, zbierały i pożerały brzośkwinię, krzycząc radośnie, a ich żywicielki, uwieszone u gałęzi, widząc, że dla tak znacznej gromady trzeba zerwać dużo owoców, oberwawszy wszystkie z jednego drzewa, porzucały je, rękami i nogami wprawiały w ruch wahadłowy ten żywy łańcuch, którego same były ogniwami, dopóki koniec jego nie dosięgnął innej pupunhy, obciążonej gronami. Kiedy już ogłodziły z owoców wszystkie pobliskie drzewa, ta, która je zrywała, wróciła na gałąź po grzbietach swych towarzyszek, które naśladowały ją kolejno i wkrótce zeszły na ziemię, aby wziąć udział w tym wspólnym bankiecie.

XXXVI.

Samica marymonda.

Guapo, przypatrując się marymondom, uczył nieprzewyciężoną ochotę posilenia się małpią pieczęcią i pewno byłby zaraz użył swej sarbakany, gdyby go nie powstrzymał don Pablo, śledzący ciekawie wszystkie ich ruchy. Skoro więc marymondy przestały zrywać owoce i, zajądając je spokojnie, siedziały na ziemi, Guapo powstał i zaczął zbliżać się do nich pocichu, w towarzystwie nieodstępного Leona; nieszczęściem, miejsce było zupełnie odkryte, małpy spostrzegłszy go, zaczęły uciekać i, nim strzały Indyanina mogły ich dosięgnąć, już siedziały na drzewach, ukryte

wśród pnączów i liści. Pomimo to, Guapo pobiegł do lasu, a kiedy stanął pod drzewami, marymondy przyjęły go gradem drobnych gałęzi, kawałków kory, niedojrzałych owoców, a nawet pewnych rzeczy, bardzo niemiłą woń wydających. Trudniej jest, niżby się wydawało, doścignąć małpy w lesie; nieprzebyte zarośla, co chwila powstrzymują myśliwego, gdy tymczasem małpy bez przeszkody przeskakują z drzewa na drzewo i prawie zawsze ujęć zdołają; pewnie i nasz Indyanin byłby powrócił z niczem, gdyby wypadkiem nie dostrzegł biednej marymondy, która pozostawszy poza wszystkimi, starała się bardziej ukryć przed jego wzrokiem, niż w ucieczce szukać ratunku: przyczaiwszy się wpośród gałęzi, siedziała cicho i nieruchomie. Guapo zaledwie widział kawałek jej ciała, ale też więcej nie żądał; przyłożył do ust sarbakane, strzała świsnęła, bolesny krzyk rozległ się w powietrzu, liście zaszeleściały gwałtownie, jakby poruszone konwulsyjnym miotaniem: marymonda wydała krzyk ostatni, towarzyszki zawtórowały jej w oddali, a ciało nieżywej zawisło w powietrzu, przyczepione do gałęzi ogonem, którego siły nawet śmierć zniweczyć nie potrafiła.

Guapo wiedział, że jeśli nie potrafi zdjąć z drzewa swej ofiary, to pozostanie na niem, dopóki nie rozpadnie się w kawały, lub też nie stanie się pastwą drapieżnych ptaków i mrówek; już więc zamyslał ściąć drzewo, na które wejść było niepodobna, kiedy mała małpeczka, tego samego gatunku, ukazała się wśród liści, zsunęła się z gałęzi, zawisła na martwym ciełe,

jęknęła żałośnie i z oznakami najwyższej boleści zarzuciła ręce na szyję swej matki.

Leon głęboko był wzruszony widokiem jej rozpaczki, ale Indyanin już zakładał strzałę, aby nią ugodzić sierotę, kiedy na wyższej gałęzi ukazał się samiec, przywołany ostatnim krzykiem swej towarzyszki, a odgadując instynktowo, że już jej pomódz nie zdoła, uchwycił śpiesznie ogonem małą małpeczkę, zarzucił ją sobie na grzbiet i znikł, nim Guapo mógł wypuścić strzałę.

Rozgniewany tem niepowodzeniem, Indyanin, pocieszył się widokiem zabitej małpy, ściał drzewo, zabrał marymondę, a gdy za powrotem zdjął z niej skórę, przerażająco była podobną do małego dziecka.

Guapo chciał się uraczyć marymondą doskonale przyrządzoną na sposób indyjski; ułożył więc małe rusztowanie z kawałków pupunhy, której drzewo jest tak twarde, że bezpiecznie mogło leżeć w ogniu przez czas potrzebny na upieczenie marymondy; na tem rusztowaniu posadził małpę, jak gdyby na krześle, głowę jej pochylił na założone na piersiach ręce, a pod nią rozpałił suty ogień. Wkrótce kłęby dymu otoczyły tę obrzydliwą pieczeń, lecz amatorowie utrzymują, że to właśnie czyni ją smaczniejszą.

Teraz trzeba było czekać cierpliwie, gdyż według przepisów indyjskiej sztuki kucharskiej, marymonda wtenczas jest dopieczoną, kiedy jej mięso zwęgleje, a przez to staje się suchem, i można je przechowywać przez kilka miesięcy.

Biali mieszkańcy tych okolic jadają także małpy, a nawet niektórzy utrzymują, że mięso ich jest wy-



Gość niespodziany.

borne, ale przyrządzają je inaczej, niż Indyanie: odcinają im głowę i ręce, aby nie były tak podobne do dziecka.

Nie wszystkie gatunki małp mają zarówno delikatne mięso i niektórych kreolowie nie chcieliby nawet pokosztować; lecz Indyanie chciwie zjadają wszystkie, nie zważając, czy to są *wyjce*, *czepiaki*, *matolki*, *saju*, *saki*, lub *uistiti*; dla nich małpy są tem samem, czem barany dla Anglików, gdyż jako mięso, stanowią główne ich pożywienie. Wprawdzie, w takich okolicach trudno znaleźć inną zwierzynę, a z wyjątkiem ryb i ptaków, mieszkańcy nie mogą zaopatrzyć się w inne zwierzęce pokarmy.

XXXVII.

Gość niespodziewany.

Guapo siedział cierpliwie przy swej marymondzie, a inni podróżni, siedząc zdala od ogniska, przypatrywali się rozmaitym ptakom, przylatującym nad brzeg rzeki. Były tam czerwonaki karmazynowe, różne gatunki ibisów, żórawie centkowane, pokryte pierzem ubarwionem i centkowane tak samo, jak skóra jaguara; *ciganos*, igrające wpośród wysokich trzcin nadbrzeżnych, a czubem swym przypominające bażanty, lecz tylko na oko, gdyż mięso mają tak gorzkie, że nawet Indyanie jeść go nie chcą.

Na suchej gałęzi, wystającej ponad wodą, sie-

dział samotny *zamorodek*, a wielki rybołów, łowiący ryby, tak, jak spokrewniony z nim orzeł z białą głową, żyjący w Ameryce Południowej, bujał ponad samą wodą, szukając pożywienia, w górze zaś przelatywały liczne stada piżmowych kaczek.

Opodal, na gałęzi siedział równie samotny, jak *zamorodek*, *rakojad łódkodziób*, ciekawy ptak, do jednej z czapłą należący rodziny, którego dziób jest podobny do dwóch łódek, przewróconych dnem do góry i zwróconych ku sobie od wklęsłej strony. Łódkodziób zeskakiwał czasami w niezbyt głęboką w tem miejscu wodę i zręcznie szerokim dziobem porywał małe rybki, skorupiaki i żaby.

Spostrzegli także ptaka, przypominającego powierzchniowością i obyczajami kurkę wodną; była to *wierna jakana*, lub *chusa*, jak ją gdzieindziej nazywają, której kilka gatunków żyje w Ameryce Południowej i w okolicach zwrotnikowych starego świata.

Jakana, której słusznie nadano przydomek wiernej, jest prawie tej wielkości, co zwyczajna kura, lecz ma dłuższą szyję i wyższe nogi, tak, że stojąca ma czterdzieści pięć do pięćdziesięciu centymetrów wysokości. Ciało jej pokrywają brązowe pióra, a na wierzchu głowy, ma czubek, złożony z dwunastu czarnych piórek, długich na siedm do ośmiu centymetrów; jest uzbrojona ostrogami długimi na półtora centymetra, ale używa ich tylko do obrony, jest bowiem łagodna i nigdy nie zaczepia nikogo. Ze wszystkich jednak cech zewnętrznych, najczęściej zwraca uwagę długość stóp jakany, złożonych z trzech palców z przodu i jednego z tyłu, i tak długich, że zajmują

przestrzeń, równającą się prawie wielkości całego ciała, co utrudnia jej chód po ziemi, ale za to dozwala biegać po liściach lilii i innych wodnych roślin, bez zanurzania się w wodzie, a przez to łatwiej może chwycić znajdujące się na nich owady i poczwarki, stanowiące główne jej pożywienie. Jakana, zwykle milcząca, wydaje głośny krzyk w razie choćby najmniejszego niebezpieczeństwa, a słuch ma tak doskonały, że zdaleka posłyszysz odgłos choćby najbliższych kroków; oswojona przez Indian, strzeże ich w nocy i ostrzega o zbliżaniu się nieprzyjaciela. — Spano-Amerykanie powierzają wiernej jakanie opiekę nad swym drobiem, a ta strzeże go od napaści drapieżnych ptaków; chodzi wszędzie za powierzonym sobie stadem, broni go odważnie i w żadnym razie nie opuszcza swego stanowiska.

Podróżni, oprócz szczudłowatych i żywiących się rybami, widzieli tam jeszcze inne ptaki; papugi przylatywały stadami, ary skakały po gałęziach drzew wraz z tukunami, blisko z niemi spokrewnionemi; dalej, na drzewie obciążonem owocami, siedziało liczne stado *casmaynychos'ów*, wielkości szpaka i białych, jak śnieg; dziób mają szeroki, a przy jego nasadzie znajduje się mięsista narośl, na sześć do siedmiu centymetrów długa i wisząca, jak u indyka. Dźwięczna i czysta nuta, jaką ten ptak wydaje w południe, kiedy cała natura jest uśpiona, lub milcząca, zjednała mu nazwę *ptaka-dzwonu*.

Don Pablo, korzystając z tak urozmaiconego widoku, opowiadał swej rodzinie tyle ciekawych rzeczy, że nikt nie pomyślał udać się na spoczynek. Guapo

oczekiwał ciągle na swoją pieczeń; usiadł naprzeciwko marymondy, a ciesząc się, że już niezadługo dostatecznie zczernieje, napawał się tymczasem wychodzącą z niej wonią.

Skoro już pieczeń była gotowa, Guapo powstał, i trzymając w jednej ręce nóż, w drugiej, zamiast widelca, kij, zakończony dwiema gałązkami, pochylił się nad marymondą, aby ją zdjąć z ognia, gdy wtem z wielkiem jego przerażeniem, ziemia zatrzęsa się pod jego nogami, a nim odzyskał przytomność, głośny huk rozległ się w powietrzu, ziemia podniosła się i rozwarła, a rusztowanie, głównie, węgle, małpa, a nawet Guapo, potoczyli się, każde w innym kierunku. Wygnańcy sądzili z początku, że to trzęsienie ziemi, lecz wkrótce przekonali się, że ich mniemanie było mylne: wpośród mułu wytryskującego z rozpadliny, wędrowcy ujrzeni z przerażeniem olbrzymiego krokodyla.

Potwór ten, należący do gatunku odznaczającego się wielkością, miał przeszło sześć metrów długości, a otwierając długą, na kilka stóp paszczę, pokazał wielkie swe zęby. Odetchnął ciężko i wydał ryk, przypominający zarazem ryk wolu i kwiczenie wieprza; w powietrzu rozszedł się mocny zapach piżma, wychodzący z całego jego ciała. Przestraszone ptaki połączyły swe krzyki z krzykami towarzyszków Guapa.

Jak tylko Indyanin poznał przyczynę wstrząśnienia, odzyskał zimną krew, pobiegł po leżącą opodal siekiere, zbliżył się cicho do krokodyla, ażeby uderzyć go nią przy nasadzie ogona, jako w jedyne miejsce, w które ten potwór może być ranionym: być może, że krokodyl odgadł grożące mu niebezpieczeństwo,

gdyż obrócił się w tej chwili zapomocą tego silnego, sprężystego ogona. Guapo odskoczył szybko, jednak mimo to, potwór dosięgnął go samym końcem ogona i odrzucił o kilka kroków dalej; szczęściem, krokodyl wychodził dopiero z długiego odrętwienia, gdyby był w całej swej sile, połamałby mu kości takim uderzeniem. Guapo, choć nieco potłuczony, zerwał się prędko, zaczął szukać około siebie siekiery, ażeby atak powtórzyć, ale jaszczurka, może już od kilku miesięcy zagrzebana w ziemi, spostrzegłszy wodę o parę kroków, skierowała się ku niej i po chwili skryła się w nurtach rzeki.

XXXVIII.

Kapibara i krokodyl.

Guapo był w złym humorze: krokodyl pozbawił go wyśmienitej wieczerzy, musiał więc poprzestać na bananie i kawałku ugotowanego końskiego mięsa; kiedy spożywał swój skromny posiłek, wędrowcy przypatrywali się ciekawie głębokiej rozpadlinie, z której przed chwilą wyszedł krokodyl. Olbrzymi płaz przebył tam, zagrzebany w mule, pierwsze miesiące upałów i bezwątpienia byłby tam pozostał aż do pory dżdżystej, gdyby go nie rozbudził ogień, właśnie nad jego głową rozpalony.

Don Pablo powiedział, że to był prawdziwy krokodyl z długą głową, nie zaś aligator; długo mnie-

mano, że krokodyl żyje tylko w Starym Świecie, lecz teraz przekonano się, że przebywa w Antylach i różnych częściach Ameryki hiszpańskiej. Aligatorów są trzy gatunki: aligator żyjący w Mississipi, znany pod nazwą *kajmana*, aligator *sclerops*, czyli w okularach, tak zwany z powodu obrączek, otaczających jego oczy, i mniejszy od nich *bawa*, żyjący w jeziorze Walencya i w wielu rzekach Ameryki Południowej. Indianie polują na niego często, ponieważ jest smaczniejszy od innych aligatorów, chociaż i z tamtych jedzą niektóre części.

Podróżni, przerażeni ukazaniem się krokodyla, postanowili czuwać kolejno nad wspólnem bezpieczeństwem, gdyż potwór mógł powrócić, a w takim razie biada temu, kogoby dosięgnął swą paszczą lub ogonem!

Noc jednak przeszła spokojnie, i z wyjątkiem głośnego pluskania, przypominającego niekiedy obecność krokodyla, nic nie zakłóciło spokoju podróżnych; wstali więc razem ze słońcem i zajęli się przyrządzeniem śniadania. Obróciwszy się ku rzece, spostrzegli stojące rzędem nad samą rzeką czerwonaki; niektóre z nich stały na jednej nodze i przy niepewnem jeszcze świetle dziennem, zdawały się nadzwyczaj wysokie, lecz kiedy słońce zupełnie rozproszyło ciemności, dostrzeżono, że stały na pniu obalonego drzewa, i dlatego wydawały się większymi, niż zazwyczaj.

Zadziwiło to Guapa i Leona; pewni byli, że gdy wczoraj przechodzili tamtędy, nie spotkali obalonego drzewa, zkadże dziś się tam wzięło? Przypatrywali się więc uważnie i poznali, że wczorajszego krokodyla wzięli za leżące drzewo. Leon nie wierzył wła-

snym oczom, ale Guapo zapewnił go, że się nie myli, gdyż nieraz był świadkiem tego dziwnego faktu, który łatwo widzieć mogą podróżujący nad Amazonką i Orenoką.

Czerwonaki były zupełnie spokojne, wiedziały, jak widać, że choć krokodyl może koniec swego ogona opuszczać na dół, ile razy mu się podoba, nie potrafi nim dosięgnąć stojącego na swym grzbiecie, a że wtenczas tylko jest straszliwym, kiedy zdoła pochwycić w paszczę, lub uderzyć ogonem. Oprócz czerwonaków, inne jeszcze nadbrzeżne ptaki lubią siadać na luskowatym grzbiecie krokodyli i aligatorów.

Słońce coraz bardziej wzbijało się w górę, a czerwonaki stały ciągle na swym potwornym postumencie, nie lękając się głosu podróżnych; znać, że dotąd nigdy nie ścigali ich ludzie, gdyż w stronach, gdzie na nie polują, są bardzo dzikie. Nagle całe stado z głośnym krzykiem zerwało się w górę; plaz poruszył się także, lecz to nie mogło spowodować ucieczki czerwonaków, gdyż widziano je nieraz stojące na idącym krokodylu; widocznie przestraszył je hałas, dochodzący od krzaków, z których po chwili wyszło ze dwadzieścia zwierząt, wielkością i kształtem bardzo podobnych do świń i pokrytych twardą, rudawą szczecina. Nie były to jednak wieprze, gdyż głowy miały podobne do królika i palce u nóg opatrzone pazurami, nie zaś kopytami, jak to widzimy u świni; a chociaż nie tak ciężką miały powierzchowność, nie mogły biedz tak szybko, jak wieprze. Cała rodzina знаła doskonale te zwierzęta, pospolite nad brzegami rzek Ameryki Południowej: były to *kapibary*, czyli *wodoświnki* (*cavinea*).

Kapibary są bardzo podobne do świni indyjskiej, tylko trochę od niej większe i jednokolorową sierścią pokryte; pomimo tego podobieństwa, zaliczono je do innego gatunku i utworzono trzeci pośredni, pomiędzy nimi gatunek, w którym zamieszczono podobne do nich powierzchownością i obyczajami zwierzę, zwane *moko*, pokryte szaro-oliwkową siercią.

Wszystkie te trzy gatunki należą do gryzących; największa z nich, kapibara, równie jak tapir, jest zwierzęciem ziemnowodnym i dlatego żyje tylko nad brzegiem rzek; możnaby nawet powiedzieć, że lepiej lubi żyć w wodzie, niż na ziemi, może dlatego, że tam uważa siebie za bezpieczniejszą, chociaż, jak to zaraz zobaczymy, biedne to stworzenie wszędzie spotyka nieprzyjaciół.

Kapibary usiłowały, jak najprędzej, stanąć na brzegu rzeki, gdzie właśnie leżał krokodyl, ale widząc, że ich czarne, wielkie i wypukłe oczy, były utkwione w jakiś inny punkt, gdyż go spostrzegły wtenczas dopiero, kiedy pierwsze z nich potrafiły się o łuskowatą jego skórę. Zatrzymały się natychmiast z największym przerażeniem, potem jedno z nich przeskoczyło przez nieprzyjaciela, drugie zawróciwszy się, zaczęły uciekać. Krokodyl, który, jak widać, od samego rana oczekiwał na tak szczęśliwą sposobność i ułożył się nad brzegiem w kształcie półkola, zaczął na obie strony ciskać ogonem i wkrótce dosięgnął nim uciekającą kapibarę; biedne zwierzę już prawie nieżywe, potoczyło się o kilka metrów dalej, gdzie w jednej chwili dobiło go powtórne uderzenie ogonem.

XXXIX.

Jaguar i krokodyl.

Inne kapibary wskoczyły do rzeki i natychmiast skryły się w wodę; w dziesięć, lub dwanaście minut ukazywały się znów na powierzchni, lecz już w takiej odległości, że nie potrzebowały lękać się nieprzyjaciela.

Podróźni zwrócili teraz oczy na krzaki, z których wybiegły kapibary, gdyż po niezwyklej im bezładnych ruchach, pełnem przerażenia spojrzeniu i najeżonej sierści, domyślali się, że je stamtąd wypędza jakieś niebezpieczeństwo. Ale jakież ściga je zwierzę? Może *jaguarundi*, może oselot, albo nawet jakieś mniejsze z tego gatunku zwierzę, gdyż bezbronne kapibary są dla nich wszystkich łatwą zdobyczą.

Kiedy się nad tem zastanawiali, poruszyły się gałęzie i głowa jaguara ukazała się wśród liści. — Pyszny zwierz zatrzymał się, jakby dla rozpoznania miejscowości, potem wyszedł z krzaków i znów się zatrzymał, ale już tylko przez kilka sekund. Krokodyl otwierał właśnie paszczę, aby w nią pochwycić kapibarę; jaguar ryknął straszliwie i jednym skokiem rzucił się na zdobycz potwornej jaszczurki. Olbrzymi płaz i srogi jaguar, stali naprzeciwko siebie, oddzieleni tylko tą wspólną zdobyczą, której, jak widać było z ich postawy, żaden z nich nie myślał ustąpić drugiemu. W ponurem spojrzeniu krokodyla, malowała się sroga dzikość, a żółte oczy jaguara ciskały

błyskawice; czas jakiś wpatrywali się w siebie, jeden drgającym ze wściekłości ogonem uderzał czasami o swe boki, drugi znowu zaokrąglając swój, przygotowywał straszną broń, której użyje przy pierwszej sposobności.

Wkońcu jaguar nie mógł już powstrzymać wzbuchu wściekłości: on, król lasów, napotkał na swej drodze stworzenie dość śmiałe, aby mu zaprzeczać prawa do zdobyczy, którą porwać postanowił! Trzeba było zemścić się i ukarać taką śmiałość. Ale jak dojść do tego celu z przeciwnikiem, którego prawie niepodobna ranić? Jak tu zapuścić zęby, lub pazury w jego luskowaty pancerz? Jaguar wiedział, gdzie trzeba ugodzić krokodyla, nie wypuszczając więc kapibary, oczekiwał stosownej chwili do ataku, a kiedy mu się zdawało, że już nadeszła, podniósł łapę, chcąc zapuścić pazury w oczy potwora; lecz krokodyl odgadł jego zamiary, uniósł się trochę i pokrytą łuskami nogą odparł cios zdradliwy. Jaguar cofnął się i znowu uderzył, ale bezskutecznie: walka przedłużała się z coraz większą zaciętością przeciwników, lecz zwycięstwo nie przechylało się na żadną stronę. Miejsce walki było zaledwie o dziesięć kroków odległe od rzeki, a krokodyl, zwrócony do niej przodem, korzystał z każdej sposobności przybliżenia się do niej nieznacznie, gdyż wiedział, że w jej nurtach z pewnością weźmie przewagę nad swym nieprzyjacielem, jeśli ten odważy się rzucić za nim. Każdy mniejszy krokodyl byłby już dawno rzucił swą zdobycz i schronił się w rzekę przed jaguarem; lecz ten, ufny w swą siłę, a może

i w słuszność swej sprawy, postanowił aż do ostatka bronić praw swoich.

Jaguar sądził się także pokrzywdzonym; wszakże gdyby on nie wypłoszył całego stada z zarośli, krokodyl nie dosięgnąłby swej ofiary, zresztą któż mu nadał prawo polowania na stałym lądzie? Król lasu sądził, że ma prawo ukarać go za podobne nadużycie.

Krokodyl chcąc koniecznie dostać się do wody, popychał przed sobą zdobycz, a wraz z nią jaguara; przeciwnik jego, doprowadzony do wściekłości, nie zważał, jaki obrót bierze walka, starał się tylko, aby dla wroga stała się śmiertelną. Raptem tylne jego nogi zanurzyły się w wodzie; jaguar, jakby dotknięty iskrą elektryczną, puścił zdobycz, przychylił się całym ciałem do ziemi i jednym skokiem stanął na grzbiecie płazu, chcąc ogon jego odłączyć od kadłuba, gdyż wiedział dobrze, że po oczach, jest to jedyna część ciała, w którą może być raniony, i że odcinając go, pozbawi krokodyla głównego środka obrony.

Gdyby znajdowali się przynajmniej o dziesięć metrów od rzeki, jaguar dopiąłby pewno swego celu; lecz teraz zabrakło mu czasu do działania, gdyż krokodyl, widząc, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, porzucił także kapibarę, i jak strzała rzucił się do rzeki, wciągając z sobą przeciwnika.

Woda zapieniła się, a po chwili, wśród wiru, spowodowanego upadkiem walczących, ukazała się centkowana szata jaguara, który jeszcze śledził oczyma, czy nie zobaczy gdzie wroga, a gdy go nigdzie nie dostrzegł, wyszedł na brzeg, przez chwilę

groźnem okiem spoglądał na rzekę, jakby przysięgał zemstę kryjącemu się w niej nieprzyjacielowi; potem zwrócił się do poszarpanej w ciągu walki kapibary, z największą łatwością zarzucił ją sobie na grzbiet, zwrócił się do lasu i wkrótce znikł w krzakach.

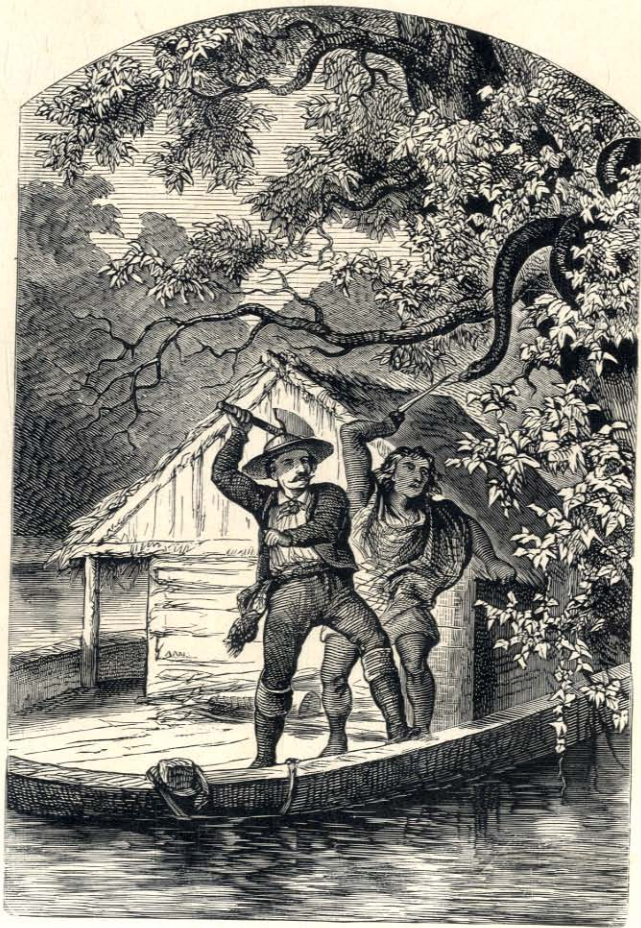
Podróżni zaraz po ukazaniu się jaguara, zebrali coprędzej swoje rzeczy, schronili się na tratwę i odpłynęli, nie czekając końca walki, obawiając się, aby, jeśli jaguar będzie zwyciężonym i pozbawionym łupu, nie zechciał na którym z nich powetować zawodu.

XL.

A n a k o n d a.

Przez kilka następnych dni żaden ważniejszy nie zaszedł wypadek. Podróżni dostrzegli kilka razy Indyan, siedzących nad brzegiem rzeki, lecz ci, jak widać, przerażeni wielkością tratwy, wraz ze znajdującą się na niej chatką, schronili się do swych *malokkas*, czyli obszernych domów indyjskich, zamieszkałych przez kilka rodzin. Wygnańcy nie mieli zamiaru wchodzić w stosunki z dzikimi pokoleniami i obawiali się spotkania z nimi; szczerze więc cieszyli się, widząc ich uciekających, a wybierając miejsca spoczynku, starannie omijali te, na których dostrzegali jakiegobądź ślady ich pobytu.

Pewnego dnia szukali właśnie odpowiedniego miejsca na nocleg, lecz ciągle widzieli tylko wybrzeża



Przygoda z anakondą.

tak gęstym pokryte lasem, że trudno było myśleć o wylądowaniu; dopiero przepłynąwszy kilka mil, spotkali małą przystań, a w niej naturalną tratwę, utworzoną z wielkich pni drzew, naniesionych pędem rzeki. Miejsce to nie było bardzo dogodne na nocleg, ale w braku lepszego, trzeba było na miejscu pozostać.

Już wszyscy posiadali na klocach, kiedy Guapo, obejrzawszy się wkoło siebie, zawezwał ich, aby co prędzej wracali na statek, gdyż miliony czerwonych mrówek zbliżają się już do niego. Słowa te przeraziły wygnańców, wiedzieli bowiem, jak straszną poniosą klęskę, jeśli mrówki dostaną się na tratwę; wiedzieli, że te żarłoczne stworzenia mogą w kilka godzin zniszczyć zapasy chin, wanilii i sassaparilli, a wraz z nimi zniweczyć nadzieję szczęśliwej przyszłości. Wszyscy więc spieszenie wrócili na tratwę, a kiedy don Pablo i Guapo z całej siły robili wiosłami, aby jak najprędzej oddalić się z tego zgubnego miejsca, dona Izidora wraz z dziećmi zalewała wodą te mrówki, które już zdążyły wejść na statek.

Chociaż wygnańcom udało się szczęśliwie uniknąć niebezpieczeństwa, drżeli na każdą myśl, że mogli zasnąć, nie wiedząc o tak zgubnem sąsiedztwie, a przebudziwszy się, nie zastać nawet śladu ze wszystkich swoich zbiorów, jak to się trafia często kupcom i osadnikom Ameryki Południowej.

Po jakimś czasie przywiązano tratwę do drzew nadbrzeżnych z zamiarem przepędzenia na niej nocy, gdyż nie tylko niebezpiecznie, ale i niepodobna było przedzierać się przez zarośla. Wprawdzie i na statku

nie mogli spodziewać się wygodnego noclegu; w chatce, zbudowanej jedynie dlatego, aby podróżni mogli się schronić przed skwarem słońca, nie można było zawieszać hamaków, a cały pokład tak był założony pakami, że nie było gdzie położyć się wygodnie. Dlatego też, zaledwie dzień zaświtał, podróżni wybrali się w dalszą drogę.

Odwiązując tratwę, zauważyli, że gałąź rosnącego niedaleko drzewa wystaje poziomo nad rzekę, a widząc, że pęd wody właśnie w tę stronę ich zaniesie, obawiali się, aby, zaczepiwszy o dach, nie zerwała z niego pokrycia.

Don Pablo, przypatrzwszy się lepiej, osądził, że nie było się czego lękać, gdyż była to gałąź zamanga, która rzeczywiście wznosiła się wyżej, niż się zrazu zdawało, ponieważ jej długie liście opuszczały się na dół; odwiązano więc statek i puszczono się w drogę.

Teraz znów nadzwyczajna niespokojność ulubionej małpeczki, malej Leonory, zwróciła uwagę podróżnych: biedne zwierzątko z krzykiem wskakiwało na dach, schodziło z niego i znów wchodziło, przypatrując się ze strachem gałęzi zamango, jakby jej stamtąd groziło jakie niebezpieczeństwo. Don Pablo i Guapo spojrzeli w tamtą stronę, chcąc zbadać przyczynę jej przerażenia i spostrzegli ogromnego węża, ukrytego do połowy wśród liści i pnączów, otaczających drzewo: głowa gadu wystawała za koniec gałęzi, co było dostateczne, aby poznać, że to jest anakonda, czyli wielki boa wodny.

Widoczna część ciała potwornego gadu była grubości ludzkiego uda, czarne centki, odbijające się na

ciemno-żółtem tle jego skóry, polyskiwały się za każdym poruszeniem, ponieważ czołgał się na gałęzi, wypuszczając, jak żądło, swój widelkowaty język. — Krew ścięła się w żyłach nieszczęśliwych wygnańców, gnanych pędem wody na jego spotkanie.

Jednym rzutem potwór mógł spuścić się na tratwę, lub nie opuszczając dotąd zajmowanego miejsca, pochwycić jednego z podróżnych, opasać zwojami potwornego cielska i zgnieść go przez samo tylko skurczenie swych mięśni, gdyż nieraz już tym sposobem gruchotał kości sarny, tapira, a może nawet jaguara.

Wędrowcy znali dobrze straszną moc węża i wiedzieli, jakie grozi im niebezpieczeństwo: don Pablo porwał siekiere, Guapo schwycił za nóż, dona Izydora cofnęła się z dziećmi do chaty. Zaraz potem przód tratwy, na którym znajdował się don Pablo z Indyaninem, podpłynął pod gałąź, a głowa węża przez chwilę była na równi z ich głowami: podnieśli broń swą w górę, chcąc nią uderzyć węża, lecz płaz cofnął się, a unoszący ich prąd nie dozwolił ponowić ataku. Straszny leb znów się ukazał, zwrócony ku chacie; okropna to była chwila dla wygnańców: potwór wyraźnie szukał w pośród nich ofiary; głowa jego już prawie drzwi dosięgała, a oczy błyszczały straszliwie.

— Boże! zlituj się nad nami! — krzyknął don Pablo, padając na kolana.

W tej chwili rozległ się krzyk przejmujący: biedna saimiri, siedząca wewnątrz chaty na ramieniu swej pani, postrzegła głowę węża, a pociągnięta

jego magnetycznym wzrokiem, wybiegła z krzykiem naprzeciwko niego. Potwór schwycił ją w paszczę i wraz z nią znikł wpośród gałęzi.

Tratwa oddalała się szybko od zamanga, a don Pablo, uściskawszy żonę i dzieci, podziękował Bogu za tak cudowne ocalenie.

XLI.

Uczta w lesie.

Jak wiemy, podróżni nasi bardzo źle spali poprzedniej nocy, tego więc dnia prędzej, niż zwykle, zatrzymali się na nocleg, znaleźli piękne i prawie odkryte miejsce w porównaniu z gęstwiną, ciągnącą się już tak długo. Ta zmiana tem przyjemniejszą była dla nich, iż po tak długim pobycie na tratwie, potrzebowali przejść się trochę; posiliwszy się więc, wyszli na przechadzkę.

Kiedy już uszli kilkaset kroków, usłyszeli zgiełki krzyki różnych głosów, jak gdyby wszystkie zwierzęta z lasu zeszyły się w jedno miejsce i rozmawiały z sobą. Chcąc zbadać przyczynę tego wrzasku, przeszli dość rzadkie krzaki i znaleźli się nad brzegiem malej łączki, na środku której znajdowała się wielka juwia, pokryta owocami, zawierającymi smaczne orzechy i już tak dojrzałymi, że zaczynały opadać z drzewa.

Wokoło juwii licznie zebrane różne gatunki

zwierząt i ptaków, dziwny i niezwykajny przedstawiał widok.

Były tam najprzód trzy gatunki gryzących, kaletniki (*coelogenus paca*, kaletnik *paka*), aguty (*chloromys*) i morświnki. Paka podobny jest do zająca, tylko większy cokolwiek i z krótszemi uszami: jest on ciemno-brunatny na grzbiecie, na piersiach i pod spodem białawy, a po bokach ma regularne pręgi białych plam; ogon jego jest nadzwyczaj krótki, a wąsy ma białe i długie. Aguti jest bardzo do niego podobny, tylko mniejszy i nie ma żadnych plam na ciemnym futrze, cieniowanem czerwono-brunatnym kolorem. Te dwa gatunki zwierząt żyją w całej Ameryce Południowej, gdzie wraz z szinszlą wiskaczą, o których wspominaliśmy powyżej, zajmują miejsce królików i zające, znajdujących się w północnych strefach. *Setlersi* *) europejscy nazywają je nawet tak samo i polują na nie w ten sposób, jak na zające lub króliki. Mięso tych zwierząt jest bardzo smaczne i zarówno cenione przez krajowców i cudzoziemców.

Oprócz kapibary, spokrewnionej z temi zwierzętami, było tam także kilka gatunków małp, wśród których odznaczała się *brachyurus chiropotes*. Jest to duża, na jeden metr wysoka małpa, cała pokryta kasztanowatym włosem, mająca szeroki, niechwytny ogon, gęstym obrosły włosem. Jest silniej zbudowana od czepiaków, i choć tak, jak one, żyje na drzewach, częściej schodzi na ziemię; szczególnie głową i twa-

*) Setlersami nazywają zakładających pierwsze osady w miejscach jeszcze niezamieszkaných.

rzą różni się od swych pokrewnych. W całej Ameryce niema drugiej małpy tak podobnej do człowieka: ma ona wąsy i wielką, na piersi spadającą brodę, zupełnie taką, jak noszą mieszkańcy Wschodu, a nad czołem kępkę włosów, stojących do góry.

Pod juwią znajdowało się tylko kilka tych małp, gdyż one nie żyją towarzysko, jak wiele innych gatunków; samice łatwo było rozróżnić po niższym wzroście, a szczególnie po krótszej brodzie; lecz tak jedno, jak drugie, zdawało się przywiązywać wielką cenę do tej cechującej je ozdoby, która była dla nich przedmiotem szczególniejszych starań: samiec od czasu do czasu podnosił do niej rękę, jakby jaki dandy, zakonchany w swych pięknie ułożonych wąsikach.

Niedaleko stamtąd płynął mały strumyczek. — Małpy kilka razy przez ten czas chodziły tam ugaścić pragnienie; lecz nie piły tak, jak inne zwierzęta, tylko czerpały wodę ręką, skąd nazwano je *chiroptes* (pijące z ręki) i do ust sobie podawały, strzegąc się pilnie, aby ani jedna kropla nie spadła im na brodę. Ten gatunek małpy tak często pić potrzebuje, że z tego powodu otrzymał w niektórych okolicach nazwę małpy pijaka.

Cokolwiek dalej siedziały osobno inne małpy, podobniejsze od poprzednich do czepiaków; te miały długie ogony, ku końcowi nagie ze spodu i chwytne, jak u marymondy. Były to wyjce, zwane *guaribas*; są to małpy prawie czarne, z rękami żółtą siercią obrosłymi; dlatego niektórzy naturaliści nazywają je *stentor flavimanus* (wyjec złotoreki). Siedząc, tworzyły koło, a jedna z nich, będąca, jak widać, naczelnikiem ca-

lej gromady, zdawała się mówić o czemś bardzo ważnem; dźwięki, które wydawała z nadzwyczajną szybkością, były tak różnobarwne, iż można było sądzić, że wszyscy jej słuchacze mówią razem, co też niekiedy trafiało się w istocie, a wtenczas hałas był tak wielki, że można go było słyszeć z odległości półtora kilometra. Guaribasy mają również, jak wszystkie wyjce, przy nasadzie języka rodzaj kościstego bębena, przez co zdają się mieć wole w szyi, i stąd także ich głos jest przeraźliwie donośny.

Prócz powyższych, znajdowały się tam jeszcze inne małpy, jak *uistiti*, czyli matolka pospolita, *koaita*, czyli czepiak czarny, należące do rodzaju czepiaków. Wśród nich skakały papugi, ary i inne owocożerne ptaki, a w powietrzu szybował orzeł, oczekując sposobności pochwycenia paki, lub aguti, stanowiących zwykle jego pożywienie.

Podróżni, ukryci za krzakami, przypatrywali się ciekawie temu dziwnemu zgromadzeniu; zaraz z początku zauważyli, że żadne z będących tam zwierząt nie stało pod drzewem, ale przeciwnie, wszystkie gromadziły się poza obrębem jego gałęzi. Zanim jeszcze mieli czas wyrazić swoje zadziwienie, jeden z owców juwii upadł na ziemię z hałasem, dowodzącym jego ciężkości; teraz już znali przyczynę ostrożności zwierząt: każda z tych kul, spadając z wysokości, wynoszącej dwadzieścia metrów, mogłaby roztrzaskać głowę człowieka. Gdy już owoce te dojrzeją, Indianie zbierają je, pokrywając głowę rodzajem drewnianego hełmu, opierającego się na ramionach. Jak wi-

dzicie, niebezpieczna to zabawka zbierać orzechy, rosnące na takim drzewie, jak juwia.

Całe zgromadzenie przyjmowało każdy spadający owoc oznakami szalonej radości, lecz jeszcze trzeba go było otworzyć: drzewiasta skorupa, zawierająca w sobie ziarna, także twardą lupiną pokryta, ma co najmniej cztery centymetry grubości i tylko piłą otworzyć ją można. Leon zapytał Guapa, jakim sposobem ptaki, lub małpy mogą wydobywać te ziarna?

— Zaraz to zobaczymy — odpowiedział Guapo, i oczy wszystkich zwróciły się na zwierzęta.

Zadziwili się bardzo, widząc, że małpy i ptaki nie poruszyły się nawet z miejsca, jakby nie potrzebowały zajmować się tą pracą; lecz kiedy paki, aguty i kapibary, wygryzły potrzebny otwór w twardej skorupie swymi ostrymi zębami i trójkątne ziarenka rozsypywały się na ziemię, wszystkie zwierzęta rzuciły się na nie, porywając, co które mogło, a biedne paki i kapibary, ogołocone z owoców swej pracy, musiały czekać, póki inny orzech nie spadnie, aby znów pracowały więcej dla innych, niż dla siebie. Wprawdzie i małpy nie próżnowały: skoro tylko spadł owoc, jedna z nich, wysłana przez inne, biegła po niego pod drzewo, pchała go, jak można najprędzej przed sobą, z oznakami najżywszego przestachu; gdy tylko wyszła z pod gałęzi, inne przyłączały się do niej, wszystkie razem chwytaly za orzech i ciskały go na kamień; powtarzały to kilka razy, i czasem udawało im się rozłupać lupinę, jeśli nie była zbyt twarda. Najczęściej jednak musiały wzywać pomocy gryzących, które potem bez miłosierdzia obdzierały ze wszyst-

kiego; szczęściem, żniwo było tak obfite, że każdy mógł spodziewać się obfitej dla siebie uczty.

Przerażający krzyk, zagłuszający całą tę wrzawę, zakończył wreszcie wesołą biesiadę: był to krzyk jaguara, i już nawet słychać było trzeszczenie gałęzi, które ten wróg wszystkiego i wszystkich, łamał w swym przechodzie.

W jednej chwili wszystko ucichło w dolinie: kapibary zanurzyły się w wodzie, paki i aguty skryły się w swych norach, małpy siedziały na wierzchołkach drzew, ptaki uleciały w powietrze, a u stóp drzewa pozostały tylko wypróznione lupiny.

Podróżni nasi powrócili także szybko nad brzeg rzeki i przez całą noc starannie utrzymywali ogień, aby nim odstraszyć jaguara, którego ryk budził ich kilka razy w ciągu tej nocy.

XLII.

Jaja na przestrzeni kilku akrów.

Nazajutrz zatrzymali się przy ławie piasku, ciągnącej się kilka mil po jednej stronie rzeki. Piasek suchy i bardzo miękki mógł im służyć za materace; lecz za to nie było drzewa w pobliżu, nie mogli więc palić ognia w nocy i musieli czuwać kolejno.

Leonowi, jak zazwyczaj, poruczono straż z wieczora, ponieważ są to godziny najmniej niebezpieczne w ciągu nocy; usypał więc sobie siedzenie z piasku

i usiadł na niem z mocnem postanowieniem gorliwego czuwania nad śpiącymi. Z początku szło mu jak najlepiej, ale kiedy już siedział blisko godzinę, powieki zaczęły mu się kleić, i chociaż starał się usilnie wybić ze snu, głowa opadła mu na piersi i zasnął głęboko. Może w pół godziny potem, poruszył się przez sen i upadł na piasek; przebudzony tem raptownie, zerwał się szybko, wyrzucając sobie swą słabość i obejrzał się wkoło, chcąc się przekonać, czy jakie niebezpieczeństwo nie zagraża śpiącym. Spojrzał najprzód ku lasowi, tam wszystko było spokojne; lecz kiedy zwrócił oczy ku rzece, dostrzegł przy świetle kilku palących się głowni, dwoje błyszczących oczu, zwróconych na niego; za chwilę zobaczył przy nich drugie dwa, za niemi trzecie, czwarte i tak dalej, tak, iż w końcu zdawało mu się, że siedzi w środku koła, którego obwód tworzyły jakieś błyszczące żrenice. Oczy te były bardzo małe, a przy słabem świetle gasnącego ogniska, zdawało się Leonowi, że są osadzone w głowach czołgających się węzów. Podobny domysł nie mógł go uspokoić, tembardziej, że lękał się poruszyć z miejsca, aby choćby najlżejszym szmerem nie wywołać napadu wszystkich razem gadów. Kiedy jednak w końcu podniósł się ostrożnie i przypatrzył się lepiej, że wszystkie te głowy były przyczepione do szerokich i owalnych ciał, które pokrywały całe wybrzeże, wydawały się, jakby wielkie czarne plamy na białem tle piasku, kiedy tymczasem ich oczy, oświecone blaskiem księżyca, błyszczały, jak rozżarzone iskry.

Leon nie mógł pojąć, co to być mogło, gdyż ni-

gdy nie podobnego nie widział; obudził więc śpiących a spłoszone ich poruszeniem zwierzęta co prędzej ukryły się w rzece.

— *Carapas* — rzekł Guapo, spojrzawszy za uciekającymi.

— Żółwie? — zawołał don Pablo.

— Tak, panie; jak widać, przychodzą tu składać swoje jaja.

Guapo zapewnił podróżnych, że żółwie są zupełnie nieszkodliwemi stworzeniami, lecz przestraszeni nagłem przebudzeniem, czuli, że już zasnąć nie potrafią, i podniósłszy się, słuchali Indyanina, opowiadającego im ciekawe rzeczy o tych zwierzętach.

— Wielkie to żółwie — rzekł — zwane w Ameryce Południowej *arraus*, lub niekiedy *tortugas*, łączą się co rok w wielkie stada, jak na przykład to, któreśmy dopiero widzieli; każde takie stado wybiera sobie miejsce stosowne do złożenia jaj i miejsce to zwiedzają przez kilka dni przed zniesieniem ich; lecz nie wychodzą na brzeg, tylko wyciągnawszy głowę do góry, przypatrują się bacznie. Jeśli przekonają się, że wybrane miejsce łączy w sobie wszystkie żądane warunki, udają się tam w nocy wielkimi gromadami, i każda samica zakrzywionemi pazurami swoich nóg tylnych, wygrzebuje w piasku dołek, głęboki na sześćdziesiąt, a szeroki na dziewięćdziesiąt centymetrów, w którym składa od siedmdziesięciu do stu dwudziestu jaj białych, bardzo twardą pokrytych skorupą. Jaja ich są cokolwiek większe od gołębic, a mniejsze od kurzych; samica, zniósłszy je, pokrywa pia-

skiem i starannie wygładza to miejsce, aby nie zdradzało ich obecności sępom, jaguaram i innym, chciwie pożerającym je zwierzętom; następnie wszystkie wracają do rzeki i rozprzeczają się w różne strony.

Słońce dokonywa reszty, a po sześciu blisko tygodniach, młode żółwie, mając blisko trzy centymetry średnicy, wylażą na piasek i zaraz idą do wody. Najprzód przebywają w stawach i jeziorach, gdzie woda nie jest tak głęboka, i chociaż często wody te są dość odległe od miejsca ich urodzenia, mimo to, jest dowiedzionem, że w nich, a nie w wielkich rzekach, spędzają pierwsze lata życia. Jakim sposobem odkrywają te jeziora? czy idą tam same, lub prowadzone przez matki, jak młode krokodyle i aligatory, to dotąd nierozwiązaną jest jeszcze zagadką. Dla krokodyla jest to rzeczą łatwiejszą, gdyż każda samica składa jaja w osobnem miejscu, a we właściwym czasie wraca do swych młodych, zwołuje je głosem i prowadzi do stawu, w którym pozostają do pewnego wieku. Lecz jakimże sposobem żółwie rozpoznająby swoje dzieci wpośród tysiąca innych, wyległych na tem samem miejscu i razem wchodzących do rzeki? Wprawdzie nieraz zdarzy się widzieć samice prowadzącą za sobą około stu młodych żółwi, lecz czyż one wistocie są jej dziećmi, lub czy je tylko na traf wybrała z pośród wspólnego potomstwa? Zdaje się to niepodobnem, aby mogła odróżnić swoje pomiędzy tylu innymi, a jednak, kto wie, czy uczucie macierzyńskie nie ochrania jej od pomyłki.

Żółwie słusznie ukrywają tak starannie swoje

jaja, gdyż co rok miliony ich wykradają liczni nieprzyjaciele, na których czele stoi człowiek.

Skoro tylko Indianie odkrywają miejsce, w którem żółwie złożyły jaja, udają się tam gromadnie i wybierają co do jednego.

Indianie poszukują tych jaj na podwójny użytek: jedzą je i wyrabiają z nich oliwę, zwaną masłem żółwiem, które otrzymują w następujący sposób: Kładą jaja w duże koryto, roztłukują je rodzajem drewnianej kopyści, potem mieszają przez kilka chwil, a następnie trzymają na słońcu, dopóki oliwa nie spłynie na wierzch; wtenczas zlewają oliwę, przesmażają czas jakiś, a nakoniec przelewają w naczynie, zwane *botijas* i wynoszą na targ. Oliwa taka jest przeźroczysta, blado-żółta, i wiele osób stawia ją na równi z najdoskonalszą oliwą; dobroć jej wiele zależy od czasu, w którym zbierano jaja, gdyż łatwo sobie wystawić, jak szkaradny ma zapach, jeśli te już zaczęły się zalegać.

Trudno nawet uwierzyć, jak wielką liczbę jaj składają żółwie każdego roku; — wyrachowano, że w trzech tylko miejscach nad brzegami Orenoki, zebrano ich w jednym roku więcej, niż trzydzieści trzy miliony, ogólną zaś liczbę tych, z których wyrabiają żółwie masło, obliczają na sto milionów rocznie. — Wyobraźcie sobie teraz, co by to było, gdyby z tych stu milionów jaj wyległy się zwierzęta, z których każde, dorosłszy, waży od dwudziestu pięciu do trzydziestu kilogramów i które są tak mnożne; potem otrzymaną stąd liczbę pomnożcie przez liczbę lat, do których dochodzą zazwyczaj żółwie, a przekonacie

się, że wkrótce zaległyby całe łożyska rzek, i jak powiedział niegdyś Ojciec Gumilla: «równie trudno byłoby policzyć je, jak ziarnka piasku nad brzegami Orenoki».

Natura zapobiegła temu, dając żółwiom takich nieprzyjaciół, jak jaguary, krokodyle, sępy i żorawie.

Karapa ma nogi żółte: z wierzchu jest ciemnozielona, a ze spodu pomarańczowa. W rzekach Ameryki Południowej jest wiele innych gatunków żółwi, lecz samice ich nie składają jaj wszystkie w jednym miejscu. Mięso i jaja niektórych z najmniejszych gatunków, jak *terekay*, jest daleko więcej cenione, niż karapy; lecz ponieważ trudno wynaleźć ich jaja, gdyż ich w jednym miejscu nie znoszą, nie wyrabiają z nich oliwy, lecz tylko gotują i jedzą. Samo tylko żółtko służy na pokarm i ma być równie dobre, jak w kurzych jajach; białko nie ścina się w gotowaniu. Indyjanie jedzą różne gatunki żółwi, mięso ich duszą w żółwiem maśle; po wystudzeniu przekładają w inne naczynia i tym sposobem długo chronią od zepsucia.

Zanim Guapo dokończył opowiadania, podróżni ochłonęli z przestachu, i sen zaczął sklejać im powieki; skoro więc przestał mówić, położyli się na piasku, a Indyanin czuwał nad nimi aż do rana.

XLIII.

W a l k a.

Jak tylko podróżni wstali, Guapo poczęstował ich żółwiemi jajami, które ugotował im na śniadanie;

prócz tego spostrzegli pół tuzina żółwi, leżących na grzbiecie, a Indyanin powiedział, że zamierza zakonserwować ich mięso i przenieść z sobą na tratwę.

Wszystkie żółwie schroniły się już w rzekę, co nie zawsze się zdarza; często wiele z nich nie zdąży przykryć jaj przed wschodem słońca, a wtenczas tak są zajęte tem ważnem zatrudnieniem, że biedaczki nie spostrzegają obecności najgroźniejszych swych wrogów. Indyjanie tak nieostrożne żółwie nazywają szalonemi.

Tego dnia ani jedna samica nie spóźniła się nad brzegiem; jednak kiedy podróżni spojrzeli nieco dalej, spostrzegli, że pewna liczba żółwi leży przewrócona do góry nogami, tak, jak schwytane przez Guapa. Poszli zaraz w tę stronę, chcąc zbadać, jakim sposobem zostały przewrócone, i z zadziwieniem przekonali się, że z kilku została tylko sama skorupa. — Guapo zaspokoił ich ciekawość, mówiąc, że to jest sprawka jaguara, który przy zdarzonej sposobności przewraca, jak może najwięcej żółwi, wiedząc, że przewrócone na wznak, nie mogą poruszyć się z miejsca, a nasyciwszy się niemi dowoli, pozostawia sobie inne na potem; ale zazwyczaj ktoś inny korzysta z jego pracy. To mówiąc, zabrał żółwie nietknięte przez jaguara, utrzymując, że dobrze przyprawione, długo dadzą się przechować i będą daleko smaczniejsze od suszonego końskiego mięsa.

Wracając, byli świadkami zaciętej walki: prowadził ją mały aligator z żółwiem, należącym do największego gatunku. Krokodyle i kajmany niszczą wiele żółwi, kiedy te nie mogą im się obronić, a stare

znów żółwie przy każdej sposobności pożerają młode krokodyle wszystkich gatunków; zdaje się jednak, że powodem tego nie jest chęć zemsty, lecz wrodzona żarłoczność tych obydwóch gadów, tak dalece, że same pożerają często nawet swoje potomstwo.

Żółw, walczący z kajmanem, należał do najbardziej krwiożerczego gatunku, a dla swej srogości został nazwany żółwiem okrutnym (*testudo ferox*). Pożera ryby, skorupiaki i wszystkie żyjące stworzenia, jakie tylko w rzece pochwycić może. Ukryty wśród irysów i lilii wodnych, czatuje na ryby, a kiedy która nadpłynie, chwytą ją szybko, wyciągnawszy głowę. Co raz pochwyci w szczękę, tego już mu wyrwać nie można, chyba uciawszy mu głowę, lub jeśli przez silne ściśnięcie sam oderwie kawałek trzymany w szczękach; widziano, jak ten gatunek żółwia przecinał tym sposobem grubą łaskę z taką łatwością, jak gdyby to była cieniutka trzcinka.

Opowiadano nam, że kiedy raz w nocy złodziej zakradł się do spiżarni, a spostrzegłszy w niej ogromny kosz, wsunął do niego rękę, chcąc wyciągnąć znajdującą się w nim, jak mniemał, żywność, siedzący w nim żółw, pochwycił go za palce i trzymał za nie tak silnie, że żadną miarą nie mógł ich wyciągnąć, aż w końcu mieszkańcy, przebudzeni tem szamotaniem, przybiegli i przytrzymali przestraszonego złodzieja.

Mówiliśmy już, że walczący żółw był bardzo duży, gdyż miał blisko metr średnicy; kajman był zaledwie na dwa metry długi i nie ważył więcej od swego przeciwnika. Z pewnością, żaden z przeciwni-

ków nie rozpoczął walki w zamiarze pożarcia swego wroga; lecz zapewne żółw musiał spotkać aligatora, wygrzebującego jaja z piasku, i to obudziło w nim gniew i chęć zemsty.

Wnosząc ze śladów odbitych na piasku, walka już oddawna była zaczęta, a zapaśnicy walczyli tak zacięcie, że nawet nie dostrzegli obecności podrózných. Kajman usiłował koniecznie pochwycić głowę żółwia, ten zaś, za każdym natarciem wroga, chował ją pod skorupę, a w chwilę później, wysuwając ją szybko, ostremi szczękami chwytął aligatora za gardło i za każdym razem wyrwał mu kawałek mięsa; wszakże nie zadowoliło to jeszcze żółwia i starał się zbliżyć do ogona swego nieprzyjaciela. Kajman, odgadując jego zamiary, usiłował temu zapobiedz; lecz ze wszystkich ruchów, jakie może wykonywać na lądzie, najtrudniej mu odwrócić się w inną stronę, równie, jak innym jego pokrewnym, gdyż jego kość pacierzowa jest tak zbudowana, że odwracając się, musi swem ciałem zakreślić koło. To właśnie dozwoliło żółwiowi dojść do upragnionego celu: podniósł się w górę, rzucił się cały na ogon aligatora i pochwycił go silnie szczękami.

Kajman ze swej strony, nie mogąc wyrwać się nieprzyjacielowi, usiłował przynajmniej przewrócić go, rzucając rozpaczliwie swym silnym ogonem: żółw z całej siły trzymał się na swych szerokich nogach; wiedząc, że raz przewrócony, nie zdoła ocalić życia. Zmęczony aligator odpoczywał czasami przez kilka sekund, a żółw, korzystając z tego czasu, polykał kawałki jego ogona, a wtenczas ból sprowadzał do

oczu kajmana te lzy krokodyla, które nie płyną nigdy, lecz napelniając oczy, zwiększają ich blask posępny. Wkońcu zrozpaczony kajman skierował się ku rzece i pomimo oporu żółwia, zdołał zanurzyć się w jej nurtach, pociągając za sobą przeciwnika, tracącego wiele na takiej zmianie placu boju, gdyż aligator korzystniej może walczyć we wodzie, niż na ziemi.

Podróźni nie dowiedzieli się wcale, na którą stronę przechyliło się zwycięstwo, lecz podług wszelkiego prawdopodobieństwa, obaj zapaśnicy utracili życie, wskutek tej bitwy.

XLIV.

Odważne sępy.

Zdaje się, że różne rodzaje łuskowatych gadów upodobały sobie tę część rzeki, na której teraz znajdowali się nasi wędrowcy. Spotykali tam rozmaite gatunki żółwi, a między innymi żółwia, zwanego malowanym, ponieważ skorupa jego pięknymi przyozdobiona kolorami, zdaje się być wyłożona emalią; prócz żółwi ukazywał im się kilka razy czarny krokodyl (*jacare nigra*). Ogromny ten gad, dochodzący często do sześciu stóp długości, nie jest samowładnym panem rzeki i nawet pomiędzy ptakami liczy potężnych nieprzyjaciół, przed którymi musi co prędzej ukrywać się we wodę.

Raz, kiedy statek płynął około wielkiej lawy piasku, wygnańcy dostrzegli, blisko o dwieście metrów przed sobą, krokodyla, zbliżającego się ku rzece, Widać, że dopiero co wyszedł z odretwienia, gdyż całe jego ciało było pokryte zeschniętym mułem, w którym przepędził lato, tak samo, jak ten, który dawniej przewrócił Guapa, pięknego marymonde.

W tejże chwili dwa cienie prześliznęły się na lawie piasku, a dwa ogromne ptaki, zakreślając w powietrzu szerokie koła, wyciągnęły szyję ku ziemi, jak gdyby przypatrywały się krokodylowi.

Gad, spostrzegłszy je, zatrzymał się nagle i z widocznym przerażeniem rozplaszczyl się na piasku, jakby chciał ukryć się przed ich wzrokiem. Po śnieżnej białości ich pierza i jasno pomarańczowem ubarwieniu głowy, don Pablo poznał w tych ptakach sępy, zwane królami sępów (*sarcoramphus papa*).

Ile razy ptaki wzbijały się w górę, krokodyl poruszał się i dążył ku rzece; kiedy zaś spuszczały się ku ziemi, znów się zatrzymywał i usiłował ukryć w piasku. Już najdalej o sto metrów był oddalony od rzeki, kiedy sępy spuściły się na ziemię i usiadły naprzeciwko niego; wkrótce potem, jeden z nich poskoczył naprzód i stanął tak blisko, że potwór otworzył paszczę, aby go schwycić, lecz ptak jednym poruszeniem skrzydeł uniknął niebezpieczeństwa. Tymczasem drugi sęp stanął po przeciwnej stronie, i teraz już obydwa rozpoczęły walkę, a kiedy krokodyl odpiął uderzenia, zadawane mu z jednej strony, sęp, stojący z drugiej, skorzystał ze stosownej chwili i zatopił ostry swój dziób w polyskującej gniewem żre-

nicy potworu. Krokodyl ryknął boleśnie i konwulsyjnie miotał ogonem. Te oznaki wściekłości nie przerażyły sępów, odsunęły się wprawdzie o kilka metrów, aby uniknąć zębów i pazurów przeciwnika, lecz po chwili powróciły z zamiarem zupełnego oślepienia swej ofiary. Napróżno krokodyl zwracał ku nim swą groźną paszczą, napróżno obracał głowę na obydwie strony: zawsze dziób któregoś z wrogów zagrażał pozostałemu jego oku. Bardzo słaby w tem miejscu bieg wody, dozwolił podróżnym przypatrzeć się całemu przebiegowi walki; długo jeszcze widzieli olbrzymią jaszczurkę, tarzającą się w piasku wpośród nieodstępujących jej sępów; lecz głowa jej nie była już odwrócona ku rzece, w której mogłaby znaleźć schronienie, nieszczęśliwa dążyła do lasu, nie wiedząc o tem, bo już zupełnie była ślepa.

Guapo powiedział, że sępy nie odlecą, dopóki całkiem nie wydrą mu oczu, dla których jedynie prowadziły całą walkę; potem zaś stanę się prawdopodobnie pastwą jaguarów, lub innych mniej silnych krwiożerczych zwierząt, których dawniej był postrachem.

Indyanin długo jeszcze mówił o krokodylach i zapewnił, że ten potwór straszniejszy jeszcze od rekina, pożerał co rok wiele osób, kąpiących się niebezpiecznie w rzekach, zapelnionych krokodylami. Powiedział także, że te olbrzymie gady nie wszędzie są zarówno okrutne; być może, że to wypływa z różnicy gatunku, zamieszkującego tę lub ową rzekę, a często nawet tę lub ową część rzeki. Jest naprzykład prawdziwy krokodyl ze splaszczonym pyskiem i szero-

kim wystającymi kłami, i kajman z szerszą od poprzedniego paszczą, przypominającą kształtem pysk szczupaka. Obydwa żyją często w jednej rzece, lecz pływają oddzielnymi stadami; krokodyl jest odważniejszy od aligatora i częściej od niego, napada na ludzi; stąd różnica zdań co do usposobienia tych gadów, które jedni uważają za nieszkodliwe, kiedy drudzy zapewniają, że przekonali się naocznie o ich ludożerczej żarloczności. Rzeczywiście, w każdej wiosce nad brzegami Amazonki, można napotkać ludzi, pozbawionych przez krokodyli ręki, lub nogi, a krajowcy za żadną cenę nie chcieliby przepłynąć wpław zapelnionej nimi rzeki.

Guapo dodał jeszcze, że człowiek, schwytany przez krokodyla, wtenczas tylko może być uratowanym, jeśli ma dość przytomności, aby mu zagłębić palce w oczach, gdyż to go takim przejmuje strachem, że natychmiast puszcza swą zdobycz; lecz łatwo pojąć, że trzeba mieć wielką przytomność umysłu, ażeby korzystać z tego środka, tem więcej, że potwór nie tylko zębami rozszarpuje swą ofiarę, ale jeszcze wciąga ją z sobą na dno rzeki; wszakże nie raz już, nie tylko mężczyźni, ale nawet kobiety wrywały się tym sposobem z paszczy krokodyla.

XLV.

G a p o.

Podróźni zbliżali się już do Amazonki, lecz teraz rzeka rozdzielała się tak często na odnogi, toczące

swe wody w różnych kierunkach, że często nie wiedzieli, w którą stronę mają popłynąć, ponieważ często ramiona rzeki były szersze od głównego jej koryta, a omyliwszy się, mogli zapłynąć w jakie niepodobne do przebycia miejsca, z których trudnoby im się było wydostać. Znajdowali się obecnie w okolicy, zwanej Gapo, i niezwykle przedstawiającej widok: jest to rozległa przestrzeń rozciągająca się nad brzegami Amazonki i niektórych rzek wpadających do niej, corocznie przez kilka miesięcy zalana wodą, a przedstawia dziwny widok lasu, rosnącego w wodzie, na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów kwadratowych.

Po większej części rosną tam nieznane w innych okolicach gatunki drzew i pomimo tak długiego wylewu wody, nie utracają swej zieloności. Na ich gałęziach zamieszkują ptaki, nie potrzebujące lękać się powodzi; niektórzy utrzymują nawet, że istnieją pokolenia Indian, budujące sobie domy na tych drzewach i z małpią prawie zręcznością przeskakujące z gałęzi na gałąź. W każdym razie nie byłoby to rzeczą niepodobną do prawdy, gdyż nie ulega wątpliwości, że przy ujściu Orenoki, Guarani, przez cały czas powodzi zamieszkują wierzchołki palmy *morichi* (*mauritia flexuosa*). Zakładają tam platformy, a na nich budują małe domki, pokryte dachem, w których ulepiają małe ogniska z mocno ubitej ziemi; czółnami przepływają z miejsca na miejsce, a siedząc w nich, łowią ryby, stanowiące główne ich pożywienie.

Maurycya należy do najpiękniejszych palm na świecie; wyrasta przeszło na trzydzieści trzy metry

w górę, rośnie towarzysko i tworzy nad brzegami rzek, lasy, ciągnące się często przez kilka mil drogi. Liście jej nie są pierzaste i podobne do olbrzymich pióropuszków, jak u wielu powyżej opisanych; lecz rozwijają się w kształcie wachlarza przy końcu gałązki, czyli ogonka, podobnego swym rozmiarem do małej belki, gdyż w przeciwnym końcu na trzydzieści centymetrów grubości, a długości trzy do czterech metrów. Wachlarz, zakończający ogonek tak niezwykle rozmiarów, ma trzy metry średnicy, a człowiek nie uniesie więcej naraz nad jeden taki liść.

Wyobraźcie sobie, jak pięknie wygląda wysmukły pień maurycyi, uwieńczony takimi dwudziestu wiecznie zielonymi i połyskującymi liśćmi!

Użyteczność tego drzewa dorównywa jego piękności. Indianie użytkują jego liście, owoce, pień, zgoła wszystkie części. Lekkie i elastyczne po wysuszeniu ogonki liści są napełnione rdzeniem, który przeryniają na łaty od dwóch do trzech centymetrów grube i wyrabiają z nich okiennice, pudelka, klatki, przepierzenia, a często nawet ściany, z otaczającej go zaś kory wyplatają koszyki i żaluzye. Z naskórka liści kręcą sznury, z owoców przypominających swym smakiem jabłka, a kształtem szyszkę sosnową, czerwonych z wierzchu, a żółtych we środku, wyrabiają smaczny napój.

W środku pnia znajduje się także rdzeń, który można używać w miejsce sago, a z lekkiego jego drzewa krajowcy budują czółna.

Chociaż woda nie zalewała całej okolicy, w chwili, kiedy podróżni tam się znajdowali, jednak rzeka wy-

lewała się ze swego łóżyska, i tak trudno było im znaleźć miejsce na nocleg, że często musieli nocować na tratwie, mocno do drzewa przywiązanej. Podróżowali wolno pośród tego labiryntu rzek i klinów ziemi, zmuszeni często płynąć w głąb jakiej *igaripe*, czyli przystani, aby znaleźć kawałek stałego lądu i odpocząć na nim; zapasy żywności wyczerpywały się coraz bardziej, a nie było sposobności zaopatrzenia się w nową, nigdzie nie spotykali pekary, czyli piżmowych świń, ani kapibary, bo chociaż te zwierzęta pływają z łatwością, żadne z nich nie przychodzi nad brzeg rzeki, dopóki ta nie wróci do swego łóżyska. Czasem Guapo zabił z sarbakany papugę, arę, lub *arakarysy*, lecz to nie mogło wystarczyć na długo. — Wyjce często dawały się słyszeć, ale gdzieś z daleka; podróżni zaś byli w tak smutnem położeniu, że ze smakiem posililiby się nawet małpią pieczeńią.

Raz wieczorem wpłynęli do przystani, na której brzeg można było wysiąść; przystań ta niewiele była szersza od tratwy, a na jej brzegach rosły wysokie drzewa. W wielu miejscach *kolczasta jacitara*, palma, będąca zarazem rośliną pnącą, czepiając się gałęzi, przerzucała się prawie na drugą stronę; podróżni musieli starannie unikać zetknięcia się z tym szczególnego rodzaju pnączem, ponieważ gdyby kolce jego zaczepiły o suknię którego z nich, uniosłyby go w powietrze, lub przynajmniej rozszarpały na nim odzienie.

XLVI.

A r a g u a t o s y.

Podróżni przyrzadzali właśnie swój skromny posiłek wieczorny, kiedy w oddali usłyszeli wycie gromady małp. Jest to rzecz tak zwyczajna w nadbrzeżnych lasach Amazonki, szczególnie o wschodzie i zachodzie słońca, lub przed burzą, iż wygnańcy nie zwróciliby na to uwagi, gdyby krzyki wyjców nie odzywały się coraz bliżej, co obudziło w Guapie nadzieję, że chociaż raz będzie miał sposobność ubicia swej ulubionej zwierzyny. Sądził, że chcąc dostać się na przeciwny brzeg, będą musiały okrażyć przystań, gdyż przeskoczyć jej nie byłyby w stanie.

Może w pół godziny później, cała gromada ukazała się na drzewach, nie dalej, niż o pięćdziesiąt metrów od tratwy. Małpy były dosyć wysokie i chude, jak wszystkie małpy z chwytными ogonami; lecz nie były to czepiaki, jak marymondy, lecz prawdziwe wyjce, czego dowodziły ich przerażające krzyki. Różne są gatunki wyjców, te zaś Guapo nazwał *aragutosami*. Na grzbiecie i na łopatkach pokryte były czerwono-brunatnym włosiem, na przodzie ciała co najmniej jaśniejszym; twarz naga, pokryta zmarszczkami i niebieskawo-czarna, wyrazem swoim przypominała rysy starca.

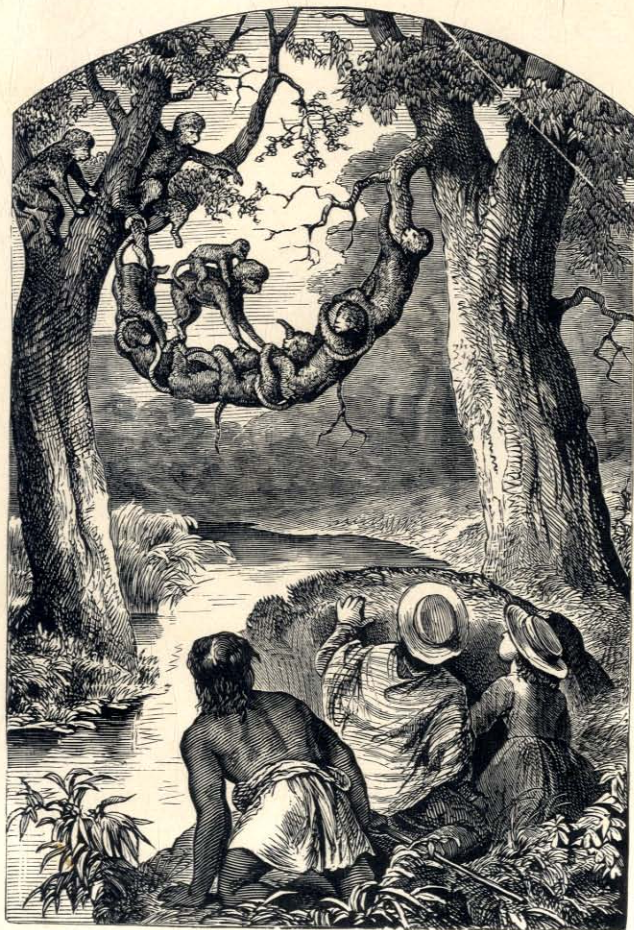
Ich gęsty i puszysty włos nadaje im pewne podobieństwo do niedźwiedzia i dlatego naturaliści nazwali je *simia ursina*. Aragutos ma blisko metr dłu-

gości do początku ogona, znacznie dłuższego od całego ciała.

Cała gromada, licząca około pięćdziesięciu sztuk, zatrzymała się nad brzegiem przystani, na wierzchołku najwyższego drzewa. Jedna z małp, większa i silniejsza od innych, zdawała się być naczelnikiem całej gromady, wśród której łatwo było poznać samice niosące na plecach młode małpiątka, jak to czynią Indyanki i inne dzikie kobiety, piastujące swe dzieci. Młode aragutosy siedziały na grzbietach matek, zarzuciwszy im ręce na szyję, z ogonem okręconym około ich ogona, nogami zaś w pól je trzymając, co chroniło je od spadnięcia w czasie przeskakiwania samicy z gałęzi na gałąź, a szczególnie z drzewa na drzewo.

Małpy, jak widać, nie spodziewały się spotkać takiej przeszkody na swej drodze, gdyż z widocznym niezadowoleniem zatrzymały się nad przystanią. Pomyslicie, że łatwo im było przepłynąć ją wpraw, kiedy była tak wązka; w takim razie mylicie się bardzo: te dziwne stworzenia, przepędzające swe życie nad brzegami rzek, na drzewach kąpiących gałęzie w ich nurtach, jak ognia boją się wody, na którą ciągle patrzą. Kot nie tak bardzo, jak małpa, obawia się zmaczać nóg, lub choćby tylko końcem palców dotknąć się wody; ale też kot umie pływać, czego małpa nie potrafi.

Nie jestże to zadziwiającą rzeczą, że najpodobniejsze do człowieka zwierzę, jest równie, jak on, pozbawione wrodzonej umiejętności pływania, jaką posiadają wszystkie inne zwierzęta?



Most z małp.

Jak to już mówiliśmy, wszystkie ruchy małp dowodziły ich niezadowolenia z tak niespodziewanej przeszkody; zaczęły więc naradzać się, co im dalej wypadło czynić. Na najwyższej gałęzi siedział naczelnik całej gromady, przemawiał do swych towarzyszy donośnym głosem, popierając, jak widać, swoje twierdzenia ruchami głowy, rąk i ogona. Porównano podobne rozprawy tego gatunku małp do trzeszczenia źle nasmarowanego wozu, połączonego z turkotem kół; wędrowcy nasi uznali słuszność tego porównania.

Zgromadzenie słuchało swego naczelnika z wzorową uwagą i przyzwoitością, nieznana w parlamencie angielskim i w amerykańskich kongresach. Czasem, kiedy która z małych małpeczek krzyknęła, lub wyciągnęła rękę dla schwytania mustyka, matka klappsem, lub silnem wstrząśnięciem przywoływała ją do porządku, i odtąd małpiątko siedziało spokojnie.

Kiedy dowódzca skończył mowę, powstał krzyk, jakiego jeszcze nie slysano w żadnem zgromadzeniu; zdawało się, że każda z małp śpieszyła się wypowiedzieć swoje zdanie, nie czekając, aż jej głos przynaję, a turkot wszystkich wozów i wszystkich razem kół na świecie nie może dać wyobrażenia o podobnej wrzawie.

Jednak na skinienie przydującego, całe zgromadzenie ucichło i znów słuchało go z uszanowaniem. Zdaje się, że przywoływał ich uwagę na obecne sprawy i wskazywał sposób przebycia przystani, gdyż

wskazywał ją palcem, a oczy słuchaczów zwróciły się zaraz w tym kierunku.

XLVII.

Most małpi.

Na obydwóch brzegach, tuż nad samą wodą, rosły naprzeciwko siebie dwa drzewa, których gałęzie, wznoszące się wysoko, lecz równolegle ponad wodą, oddzielała przestrzeń, wynosząca zaledwie sześć do siedmiu metrów. Araguatosy zdawały się zwracać na nie szczególniejszą uwagę, i widocznie mówca, wspólnie ze swymi słuchaczami, obrachowywał odległość pomiędzy ich wierzchołkami.

— Sądzę, że nie zamierzają przeskakiwać z drzewa na drzewo — rzekł Leon do Guapa — do przebycia takiej przestrzeni, musiałyby mieć skrzydła.

Zanim Indyanin miał czas odpowiedzieć, już małpy zabierały się do wykonania wspólnego postanowienia. Na rozkaz dowódcy, kilkunastu najsilniejszych wyjców skoczyło na wskazaną gałąź; jeden z nich przyczepił się do niej ogonem, a inne jeden za drugim przyczepiały się także do siebie ogonami, tak, jak to czyniły marymondy, aby zerwać owoce pupunhy. Kiedy ten żyjący łańcuch był już dostatecznie długi, tworzące go małpy zaczęły jednocześnie uderzać nogami w inne gałęzie, a tym sposobem wprawiły go w ruch wahadłowy, który, zwiększając się

coraz bardziej, dozwolił wkońcu ostatniemu araguatosowi uchwycić za gałąź rosnącego naprzeciwko drzewa, do której też zaraz przyczepił się silnie — i most był gotów. W tejże chwili odezwały się radośne krzyki małp, przypatrujących się dotąd w milczeniu, z wyjątkiem dowódcy, który głosem i ruchami przewodniczył araguatosom.

Teraz rozpoczęła się przeprawa: najprzód przeszły dwa stare samce, jakby dla przekonania się o trwałości mostu; potem puściły się samice z małpiątkami na plecach, a za nimi już cała gromada przeszła na przeciwną stronę.

Widok ten bawił podróżnych; często nie mogli się powstrzymać od śmiechu, widząc, że małpy tworzące most, wykrzywiały się dziwacznie pod ciężarem swych towarzyszek, albo ukąsiwszy którą w ogon lub nogę, wywoływały jej krzyki. Naczelnik gromady poszedł na ostatku, jako mężny dowódzca, więcej myślący o ocaleniu osady, niż o swem własnem bezpieczeństwie. Chód jego powolniejszy, niż innych małp, odznaczał się powagą, właściwą jego godności, a żadna z małp nie ośmieliła się ukąsić go w nogę, ani wyplatać jakiegobądź figla.

Teraz przyszła kolej na małpy, tworzące ogniwa mostu, które także z największą łatwością mogły się dostać za innemi na drzewo: ta, która tworzyła pierwsze ogniwo po stronie, z której przybyły małpy, potrzebowała tylko odczepić się od gałęzi, a cały łańcuch pozostałby przyczepiony do drzewa, rosnącego na przeciwnej stronie. Lecz Guapo nie chciał pominąć tak dobrej sposobności zaopatrzenia się w ży-

wność, podniósł więc sarbakane, a za chwilę już strzała utkwiała w szyi aragatos, przyczepionego do galezi na przeciwnym brzegu. W kilka zaledwie sekund, biedna małpa ulegając działaniu kurary, opuściła ręce, a w tejże samej chwili znajdująca się na przeciwnym końcu, puściła także gałąź, sądząc, że już czas odczepić z tej strony łańcuch, i cały most zanurzył się w wodę, pośród krzyków i wycia aragatosów, oczekujących na swych towarzyszków, aby się wraz z nimi udać w dalszą drogę. Guapo wsiadł co prędzej w czołno i wkrótce dopłynął do małp, usiłujących napróżno wydobyć się na brzeg. — Wszakże kilka znajdujących się bliżej brzegu, zdołały dostać się do niego i uciec: trzy schwycił Guapo, a reszta utonęła.

Podróżni mieli czem posilić się tego wieczoru, ale za to wycie aragatosów, oplakujących swych towarzyszków, nie dozwoliło im zasnąć przez noc całą.

XLVIII.

R y b o - k r o w a.

Przez dwa następne dni podróżni nie kłopotali się o żywność, mając małpy, kassawę i trochę suszonych bananów; trzeciego dnia Guapo zabił wielkiego żółwia, co powiększyło i urozmaiciło zapasy żywności.

Właśnie zbliżali się już do brzegu z zamiarem

wylądowania, kiedy Leon zobaczył jakiś mały brunatny punkt, którego byłby pewno nie dostrzegł, gdyby poruszając się, nie poruszał zarazem wody.

— Wąż! — zawołał — a przynajmniej coś podobnego.

— Zdaje mi się, że to żółw — rzekła dona Izidora, zwróciwszy z przestrachem oczy na miejsce wskazane przez syna.

— Tak, to żółw — rzekł Guapo, przyjrawszy się dobrze — nie poruszajcie się z miejsca, a mam nadzieję, że go schwytamy.

Żółw znajdował się przynajmniej o trzydzieści kroków, i prawie niepodobna było trafić z sarbakany w koniec pyska, wystający ponad wodę, ani też myśleć, żeby trucizna przeniknęła przez twardą jego skorupę. Lecz Guapo miał jeszcze inną broń — łuk, który sobie zrobił w chwilach wolnych od pracy; schwycił go więc i naciągnął strzałę. Podróżni nie pojowali, dlaczego spodziewał się zabić prędzej żółwia strzałą z łuku, niż z sarbakany, nie mieli więc nadziei, aby jego zamiary uwieńczył pożądany skutek. Zdziwili się bardzo, widząc, że Guapo, zamiast celować do żółwia, wypuścił strzałę w powietrze, lecz ta, doszedłszy do pewnej wysokości, odwróciła się końcem na dół i spadła na grzbiet żółwia, który w tejże chwili ukrył się pod wodą z wielkim niezadowolaniem podróżnych.

Strzała pływająca osobno na powierzchni rzeki, a pomimo to, Guapo wsiadł w łódkę i popłynął ku niej, jak gdyby chciał ją wziąć napowrót; lecz kiedy się zbliżał, strzała oddaliła się, jakby ją co pociągało

za sobą. Ostrze strzały pozostało w grzbiecie żółwia, ale gdy zwierzę zanurzyło się raptownie, przeciwny jej koniec przelamał się pod naciskiem wody, a ponieważ był przywiązany do ostrza na długim sznurku, żółw, pociągając go za sobą, wskazywał Indyaninowi, w której znajduje się stronie. Guapo uchwycił wkońcu za sznurek i po kilku zręcznych obrotach wyciągnął na brzeg swoją zdobycz, a don Pablo poznał w niej żółwia, zwanego *jurara tataruga*, lub wielki żółw portugalski, którego skorupa miała blisko metr średnicy.

Indianie z nad brzegów Amazonki używają często tego sposobu chwytania żółwi, lecz oprócz tego łowią je także zapomocą harpunów, lub bardzo mocnych sieci. Strzały wypuszczają zawsze prostopadłe i tak doskonale umieją obliczyć linię, którą przelecieć powinny, że ich ostrze prawie zawsze utkwii w skorupie. Dobry łucznik rzadko kiedy chybia w ten sposób tatarugę, która uciekłaby niezawodnie, gdyby wprost do niej celował, gdyż ten gatunek żółwia tylko sam koniec szczęk wystawia ponad wodę, a strzała, choćby najrzęczniejsz wyrzucona poziomo, musiałaby ześliznąć się po jego skorupie.

Do miast, leżących nad brzegami niższej Amazonki, przynoszą na targ żółwie, w których skorupie prawie zawsze widzieć można czworokątny otwór, wyrobiony ostrzem strzały.

Guapo, nie tracąc czasu, zrobił z mięsa żółwia rodzaj siekanki, którą potem dosyć często posilali się wieczorem.

Następnego dnia schwytali nieznana im dotąd i daleko ważniejszą zdobycz, to jest krowę. A więc

pomyślicie, musieli już dopłynąć do jakichś posiadłości, gdyż dzikie bydło nie mogłoby utrzymać się w lasach, zamieszkanym przez pumy, jaguary i wampiry.

Bynajmniej; aby dopłynąć do jakiejbądź osady, potrzebowali jeszcze przebyć kilkaset kilometrów drogi; ale też zwierzę, o którym mówimy, ma tylko to wspólnego z krową, że równie, jak ona, żywi się trawą. Jest to gatunek ryby, nazywanej czasem niewłaściwie *morską krową*; żyje także w rzekach Ameryki Południowej. Portugalczycy nazywali ją *pexe boi* (rybo-krowa), a Francuzi: *lamantin*.

Ciekawe to zwierzę ma przeszło dwa metry długości i półtora metra obwodu w najgrubszej części ciała, zwązającego się w płaski, równoległy z resztą ciała i nawpół okrągły ogon; przy ramionach ma dwie silne pletwy, służące mu za ręce; szyi prawie nie ma, a niezbyt szeroka głowa, zakończona pyskiem z mięsistymi wargami, ma niejaki podobieństwo do głowy krowiej, i stąd pochodzi zapewne nazwisko, nadane jej przez Portugalczyków. — Wierzchnią jej wargę pokrywa twarda szczecina, a całe ciało porośnięte bardzo rzadką siercią. Uszy ma nadzwyczaj małe, w stosunku do swej wielkości, a pomimo to widzi i słyszy doskonale, jak tego dowodzi trudność zbliżenia się do niej. Ubarwiona jest ciemnym, szaro-olowym kolorem, który na brzuchu jest centkowany cielistymi plamami; pod skórą ma grubą warstwę tłuszczu, wydającego rodzaj bardzo smacznej oliwy. Nie ma wcale niższych członków, lecz bardzo rozwinięte pletwy, czyli, jak mówiliśmy, ręce, opatrzone kośćmi, odpowiadającymi kościom, znajdującym się

w ręku człowieka i zakończone pięciu palcami z wyraźnymi stawami, które jednak pozbawione są właściwych im ruchów, gdyż pokrywa je rodzaj niezgijnającego się futerału.

Najważniejszą jednak różnicę między rybo-krową a innymi rybami stanowi to, że należy do zwierząt ssących, a samica ma piersi umieszczone tak, jak u człowieka. Zwierzę to żywi się rzecznoziolami i pływa bardzo prędko. Łowią je, zastawiając bardzo mocne sieci przy ujściu rzek, lub przy wejściu do przystani, lecz częściej jeszcze chwytają je harpunami, czyli dużymi hakami. Mięso jego, przypominające swym smakiem wołowinę i wieprzowinę, powszechnie jest cenione, a ugotowane i usmażone we własnym tłuszczu, można równie, jak żółwie, przechować przez kilka miesięcy.

Nazajutrz po schwyceniu tatarugi, podróżni spostrzegli nieznane im dotąd zwierzę, trzymające na ręku dwa małe, zupełnie do siebie podobne stworzonka i karmiące je swemi piersiami.

Cała rodzina przyglądała się z zajęciem tak niezwykłym, u zwierząt tak blisko spokrewnionych z rybami, dowodom miłości macierzyńskiej, kiedy coś błyszczącego przeleciało nad ich głowami i zanurzyło się w rzece. Woda zafarbowwała się krwią, a biedne zwierzę, szamocąc się, ze wszystkich sił usiłowało wydrzeć się z mocy nieznanego nieprzyjaciela; lecz zarzucony przez Indyanina harpun, głęboko uwiązał w jego ciele, i wkrótce potem Guapo z pomocą don Pabla, wyciągnął je na brzeg, gdzie zaraz pokrajano je i zakonserwowano w tłustości. Wszystkie naczynia

zapełniono jego mięsem i tłuszczem, a w kilka godzin później wygnańcy zapewnieni, że już długo nie zabraknie im żywności, wypłynęli na środek rzeki i w dalszą puścili się drogę.

XLIX.

Zakończenie.

Po wielu dniach utrudzającej żeglugi, podróżni dopłynęli wreszcie do Amazonki, której żółtawo-oliwowe wody przebiegają jeszcze dwa tysiące trzysta kilometrów, zanim połączą się z falami morza. Pęd wody był silny, i podróżni robili siedmdziesiąt pięć do ośmdziesięciu kilometrów dziennie, wśród okolicy płaskiej, której widok mógłby się wydać zbyt monotonnym, gdyby nie nagle zwroty rzeki wśród pysznej i urozmaiconej roślinności nadbrzeżnej.

Prawie codzień mijali ujście którejs z rzek, wpadających do Amazonki, a niektóre z nich wydawały im się równie szerokie, jak ona. Wody każdej z tych rzek odznaczały się odmiennym kolorem: niektóre z nich były białe z lekkim odcieniem oliwkowego koloru; drugie niebieskie i przejrzyste; inne czarne, jak atrament, jak na przykład woda rzeki Rio Negro, z której wypływająca Cusiquire, łączy Amazonkę z Orenoką.

Rzeki te nazywają białemi, niebieskimi, lub czarnymi, stosownie do koloru ich nurtów; czerwone,

tak często spotykane w Ameryce Północnej, nie istnieją w tych okolicach.

Tę różnaitość barw przypisują naturze gruntu, tworzącego koryto rzek; nie sądźcie jednak, aby oliwkowate fale Amazonki, lub prawie mlecznej białości wody Rio Bianco, zawdzięczały swą barwę jedynie unoszącemu się wśród nich mułowi, gdyż zaczerpnięta z ich łożyska woda, nie utracą koloru, choć cały osad ustoi się na dnie naczyń; zresztą niebieskie rzeki płyną w skalistych łożyskach i nie nie zamąca ich wód przeźrocza. Czarne rzeki najwięcej zasługują na uwagę: jeśli są głębokie, patrzącemu zdaje się, że widzi toczące się fale atramentu, przez które piaszczyste zazwyczaj ich dno wydaje się, jakby wysypane złotem. — Zaczerpnięta z nich woda, zachowuje w naczyniu swą posępną barwę i jest podobna do znajdującej się w sadzawkach na torfiastym gruncie. Wnoszą, że kolor ten pochodzi od korzenia sassaparilli, rosnącej nad ich brzegami, i być może, iż roślina ta i liście wielu innych, wywołują ten fenomen, którego dotąd nie umiano sobie wytłómaczyć inaczej, tylko przez rozkład substancji roślinnych, unoszonych biegiem wody. Rzeki te płyną rzeczywiście wśród najgęstszych zarośli, obejmujących je lasów.

Dodamy jeszcze, że nad brzegami rzek czarnych, niema mustyków*), a jest to fakt ważniejszy,

*) Humboldt, mówiąc o czarnych rzekach, tak się wyraża: „Niema w nich krokodyłów, ale także i ryb; temperatura chłó-

niżby się zdawało, gdyż ten drobny, lecz srogi i zawsze chciwy krwi owad jest prawdziwą plagą Ameryki Południowej, groźniejszą jeszcze od pumy, węzów, krokodyłów, a nawet od jaguara, i nieraz już zmuszał kolonistów do porzucenia swych osad.

Dni upływały szybko, a podróżni po rozlicznych przygodach, minęli szczęśliwie ujście Rio Negro i znaleźli się wśród zupełnie odmiennej, niż dotąd okolicy. Zbliżając się do ujścia wielkiej rzeki, spotykali grunt coraz nierówniejszy; w dali rysowały się szczyty gór, ciągnących się na północ ku Guyanie, a na południe ku Brazylii.

Miesiąc minął od czasu wpłynięcia na Amazonkę, a przeszło dwa od chwili, w której opuścili domek w lesie, kiedy nareszcie przybyli do brazylijskiego miasta Belem, stolicy prowincyi Para. Tam już don Pablo był zupełnie wolny, i mógł stosownie do swej woli rozporządzać swym towarem. Wynał do wspólki okręt, wiozący towary do Ameryki

dniejsza, mustyków znacznie mniej, powietrze zdrowsze: oto główne cechy okolic, przerzynanych czarnymi rzekami. Zdaje się, że na szczególny kolor tych wód wpływa wiele bogactwo zwrotnikowej roślinności, węglowodory znajdujące się w tych wodach i mnóstwo roślin rosnących w ich łożyskach. Uważałem — mówi dalej — że na zachodniej pochyłości Chimborasso, blisko morza Południowego, wody Rio de Guayaquil, wylewające się na łąki, przybierają po kilku tygodniach kolor kawowy.

»Wody: zwane powszechnie *czarnymi wodami* (pisze dalej ten sam uczony, mówiąc zawsze o łożysku Orenoki), koloru kawowego, w cieniu krzaków wydają się czarne, jak atrament, a zawarte w przeźroczystym naczyniu są zlocisto-żółtego koloru«.

Północnej i wraz ze swą rodziną popłynął do New-Yorku, gdzie sprzedawał chinę, sassaparillę i wanilię. Po opłaceniu kosztów przewozu, zostało mu dwadzieścia tysięcy dolarów, z którymi osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, do dnia oswobodzenia Peru z pod jarzma ciemniejących.

W dziesięć lat później, hiszpańskie prowincje Ameryki powstały w imię niepodległości, a przez dziesięć lat następnych don Pablo wraz z Leonem, brali czynny udział w tej świetnej walce. Obaj walczyli mężnie przy boku Boliwara w pamiętnej bitwie pod Junin, która ostatecznie przechyliła zwycięstwo na stronę powstańców.

Przy końcu wojny, don Pablo był generałem dywizyi, a Leon dosłużył się stopnia pułkownika, lecz kiedy już się wszystko uspokoiło, podali się do dymisyi: don Pablo poświęcił się wyłącznie naukom, Leon zaś został kaskarylerosem. — Stał na czele urzędzonej przez siebie wyprawy, udał się napowrót do Montany, a po kilkoletnim w niej pobycie, powrócił z tak znacznym zapasem chin, że sprzedawszy ją, został najbogatszym z *ricos*ów peruwiańskich.

Guapo, na którym lata nie pozostawiły prawie żadnego śladu, objął zwierzchnictwo nad kaskarylerosami, a w częstych podróżach z Kuzko do Montany miał nieraz sposobność spożywania koki ze swym przyjacielem Wakerosem.

Dona Izydora żyła długo, kochana i szanowana od wszystkich, a Leonora została najslawniejszą pię-

knością w Kuzko. Poszła za mąż w swoim rodzinnym mieście, gdzie także ożenił się Leon, i gdybyście dziś tam pojechali, znaleźlibyście mnóstwo małych Leonków i Leonerek z wielkimi czarnymi oczyma i ciemnymi, wijącymi się w pierścienie włosami, pochodzących w prostej linii od naszych wygnańców.

K O N I E C.



264839

SPIS RZECZY.

Rozdział	Str.
I. Największy las na świecie	1
II. Wygnańcy	3
III. Drzewa trujące	9
IV. Wieczerna Guapa	13
V. Puna	17
VI. Spotkanie z bykiem	21
VII. Wakeros	25
VIII. Lamy, alpaki, wigonie i gwanaki	30
IX. Polowanie na wigonie	35
X. Schwytywanie kondora	39
XI. Peruwiańskie drogi w górach	41
XII. Spotkanie nad brzegiem przepaści	45
XIII. Krzyż w lesie	48
XIV. Opuszczone misya	54
XV. Guako i wąż koralowy	57
XVI. Lasek palmowy	61
XVII. Domek palmowy	65
XVIII. Tapir	70
XIX. Zatrute strzały	75
XX. Drzewo mleczne	80
XXI. Drętwa elektryczna i rybki ludożercze	85
XXII. Drzewo chinowe	90
XXIII. Powolna para	93
XXIV. Kaskarylerosi	98
XXV. Puma i mrówkojad grzywiasty	101
XXVI. Napad białych mrówek	106

XXVII. Mrówkolew	110
XXVIII. Tatu poyu i nieżywy jelen	115
XXIX. Polowanie na pancerniki	119
XXX. Oselot	122
XXXI. Jaguary	129
XXXII. Tratwa	133
XXXIII. Opieka brata	138
XXXIV. Straszydło wampir	141
XXXV. Marymondy	146
XXXVI. Samica marymonda	152
XXXVII. Gość niespodziewany	155
XXXVIII. Kapibara i krokodyl	159
XXXIX. Jaguar i krokodyl	163
XL. Anakonda	166
XLI. Uczta w lesie	170
XLII. Jaja na przestrzeni kilku akrów	175
XLIII. Walka	180
XLIV. Odważne sepy	184
XLV. Gapo	187
XLVI. Araguatosy	191
XLVII. Most małpi	194
XLVIII. Rybo-krowa	196
XLIX. Zakończenie	201

